

**Gerald Durrell**

## **Menażeria**

*(Fillets of Plaice)*

*przełożyła Monika Stnipinska*

*Dedykuję tę książkę mojemu bratu Larry'emu, który zawsze zachęcał mnie do pisania i bardziej niż ktokolwiek inny radował się z każdego mojego sukcesu.*

„Ten dzieciak oszalał! Nosić ślimaki w kieszeni!”

*Lawrence Durrell, 1931*

„Ten dzieciak oszalał! Trzymać skorpiony w pudełku od zapalek!”

*Lawrence Durrell, 1935*

„Ten dzieciak oszalał! Pracować w sklepie zoologicznym!”

*Lawrence Durrell, 1938*

„Ten chłopak oszalał! Chce być dozorcą w zoo!”

*Lawrence Durrell, 1945*

„Ten człowiek oszalał! Włóczyć się po opanowanej przez węże dżungli!”

*Lawrence Durrell, 1952*

„Ten człowiek oszalał! Chce założyć własne zoo!”

*Lawrence Durrell, 1958*

„Ten człowiek oszalał! Zaprosz go do domu, a wsadzi ci orła do piwnicy!”

*Lawrence Durrell, 1967*

„Ten człowiek oszalał!”

*Lawrence Durrell, 1972*

## I

### Powstanie tytułu

Był to jeden z tych jasnych, błękitnych i bezwietrznych dni, które, spośród wszystkich krajów świata, można spotkać tylko w Grecji. Cykady grały na cytrach, morze przybrało barwę ciemnoniebieską, stając się jakby drgającym odbiciem nieba. Skończyliśmy właśnie obfity i długi lunch w cieniu drzew oliwkowych o grubych poskręcanych gałęziach, rosnących prawie nad samym brzegiem morza, na jednej z najpiękniejszych plaż Korfu. Panie poszły popływać, a ja zostałem z Larrym. Rozłożyliśmy się leniwie, stawiając między sobą ogromną butelkę w wiklinowym koszyku z retsiną o smaku terpentyny. Popijaliśmy w ciszy, głęboko zadumani. Ten, kto sądzi, że spotkanie dwóch pisarzy polega na wymianie dowcipnych i kąśliwych uwag, grubo się myli.

– Całkiem niezła retsina – odezwał się wreszcie Larry, w zamyśleniu napełniając swoją szklaneczkę. – Gdzie ją dostałeś?

– U tego niskiego faceta, który ma sklep na jednej z uliczek prowadzących z St Spiridion Square. Dobra, prawda?

– Owszem – przytaknął Larry, podnosząc szklaneczkę do światła. Zajarzyła się ciemnozłotym blaskiem. – Poprzednia butelka, którą nabyłem w mieście, zawierała coś, co przypominało siki muła. I prawdopodobnie tak było.

– Jutro będę tędy przejeżdżał. Mogę przynieść ci flaszkę, jeśli chcesz.

– Mhm... – mruknął. – Najlepiej kilka.

Wyczerpani intelektualną dysputą, napełniliśmy ponownie szklaneczki i pograżyliśmy się w milczeniu. Mrówki buszowały wśród resztek naszego jedzenia. Te małe czarne, wiecznie zajęte i te duże czerwone, na długich nogach, z odwłokami sterczącymi ku górze niczym lufy dział przeciwlotniczych. Po korze drzewa oliwkowego, o które się opierałem, przechadzały się stada dziwnych larw. Drobne, pokryte meszkiem żyjątka przypominały miniaturowe misie polarne o niezbyt czystym futerku.

– Nad czym teraz pracujesz? – odezwał się wreszcie Larry. Spojrzałem na niego zaskoczony. Obowiązywała nas nie pisana umowa, że nigdy nie rozmawiamy ze sobą na temat, określany przez nas jako „nasza sztuka”, gdyż prowadzi to tylko do sprzeczek i wzajemnych uszczypliwości.

– W tej chwili nic nie piszę, ale pewne myśli chodzą mi po głowie. Prawdę mówiąc natchnął mnie twój „Duch miejsca”.

Larry skrzywił się. Książka ta była zbiorem jego listów do przyjaciół, solidnie przygotowanym i wydanym przez naszego starego przyjaciela Alana Thomasa.

– Nie rozumiem, w jaki sposób mogło cię to natchnąć – zdziwił się Larry.

– No cóż, myślałem o czymś w rodzaju kompilacji. Mam mnóstwo materiałów, których do tej pory nie mogłem wykorzystać. Chcę zebrać to w jedną całość.

– Dobry pomysł – rzekł Larry, dolewając sobie wina. – Nigdy nie marnuj dobrego materiału.

Podniósł szklaneczkę do światła podziwiając jej kolor, po czym spojrzał na mnie z błyskiem w oku.

– Wiesz co – uśmiechnął się. – W takim razie daj jej tytuł „Menażeria”.

I tak właśnie uczyniłem.

## II

### Przyjęcie urodzinowe

Lato było wyjątkowo długie i gorące, nawet jak na klimat Korfu. Przez kilka miesięcy nie spadła nawet kropla deszczu. Od wschodu do zachodu słońca z jasnego nieba lał się żar. Wszystko wyschło doszczętnie, upał prażył. Był to dla nas bardzo wyczerpujący okres. Larry z typową dla siebie hojnością zaprosił sporą gromadkę swoich znajomych. Pojawili się takim stadem, że matka musiała zatrudnić dwie dodatkowe pomoce i większość czasu spędziła w wielkiej, ponurej kuchni, biegając od jednego pieca do drugiego, aby cała ta armia pisarzy, poetów, artystów czuła się syta i szczęśliwa. Pozbywszy się ostatniego gościa, nasza rodzinka rozsiadła się wygodnie na werandzie i popijała herbatę z lodem, wpatrując się w nieruchome, błękitne morze.

– Dzięki Bogu, że to już koniec – odetchnęła matka i poprawiła okulary na nosie. – Larry, kochanie, naprawdę nie powinieneś ich tu wszystkich zapraszać. Czuję się zupełnie wyczerpana.

– Nie byłoby problemu, gdybyś wszystko lepiej zorganizowała – zauważył Larry. – Poza tym sami chcieli pomóc.

Matka rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

– Czy możesz sobie wyobrazić ten tłum starający się mi pomóc? – spytała. – Miałam ich dosyć w czasie posiłków, a jeszcze gdyby zaczęli mi się pętać pod nogami w kuchni? Nie, do końca lata pragnę tylko spokoju. Nie chcę już nic robić. Jestem wykończona.

– Nikt ci przecież nie każe.

– Na pewno nikogo więcej nie zaprosiłeś? – upewniała się matka.

– Nic o tym nie wiem.

– W każdym razie, jeśli się pojawią, równie dobrze mogą zatrzymać się w hotelu. Ja mam dosyć.

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś tak wojowniczo nastawiona – powiedział Larry z urazą. – To są przemili ludzie.

– Nie ty musiałeś dla nich gotować – wytknęła mu matka. – Po prostu nie chcę już oglądać kuchni w tym stanie. Mam ochotę gdzieś pojechać i oderwać się od tego wszystkiego.

– Doskonały pomysł!

– Co? – spytała zaskoczona matka.

– Żeby się oderwać i gdzieś pojechać.

– Ale dokąd? – spytała podejrzliwie.

– Możemy się wybrać łódką na ląd.

– Na Jowisza! Świetna myśl – odezwał się Leslie.

– Doskonała! – ucieszyła się Margo. – Och, zróbmy to, mamó! O, już wiem! W ten sposób

uczczymy twoje urodziny!

– No cóż – rzekła matka niepewnie. – Sama nie wiem... ale dokąd konkretnie pojedziemy?

– Wynajmiemy *benzina* – powiedział lekko Larry – i popłyniemy wzdłuż brzegu zatrzymując się, gdzie będziemy chcieli. Zabierzemy jedzenia na dwa, trzy dni, poleniuchujemy, pobawimy się, odpoczniemy.

– Brzmi cudownie. Myślę, że Spiro zorganizowałby łódkę.

– O tak! – potwierdził Leslie. – Spiro na pewno się tym zajmie.

– Muszę powiedzieć, że to byłaby pewna odmiana, prawda?

– Nie ma nic lepszego na znużenie niż morskie powietrze – oznajmił Larry. – Uspokaja i dodaje sił. Może weźmiemy ze sobą jeszcze kilka osób, tak dla zabawy, żebyśmy się nie nudzili.

– O nie, tylko nie kilka! – sprzeciwiła się matka.

– To znaczy myślałem o jednej osobie. Na przykład Teodor.

– On z nami nie pojedzie. Przecież wiesz, że cierpi na chorobę morską.

– Nie wiadomo. Jest jeszcze Donald i Max. Matka zawahała się. Bardzo ich lubiła.

– Hm... Chyba mogliby pojechać.

– Do tego czasu wróciliby już Sven – dodał Larry. – On też by się wybrał, jestem pewien.

– Właściwie nie mam nic przeciwko temu. Lubię go.

– A ja mógłbym zaprosić Mactavisha – wtrącił Leslie.

– O Boże, tylko nie tego okropnego człowieka – prychnął Larry.

– Nie rozumiem, dlaczego tak o nim mówisz – zaperzył się Leslie. – My musimy wytrzymać z twoimi koszmarnymi przyjaciółmi, więc dlaczego ty nie możesz z naszymi?

– No, no kochani – uspokajała matka – nie kłóćcie się. Myślę, że możesz zaprosić Mactavisha, jeśli bardzo chcesz, ale naprawdę nie rozumiem, co ty w nim widzisz, Leslie.

– Jest bombowy – powiedział Leslie krótko, jakby to było wystarczające wyjaśnienie.

– A ja mogłabym zaprosić Leonorę – oznajmiła radośnie Margo.

– Dość tego! Natychmiast przestańcie! – zawołała matka. – Nie zdążycie jeszcze wszystkich usadzić, a łódka już zacznie tonąć z przeciążenia. Wydawało mi się, że mieliśmy się dokądś wybrać i oderwać od ludzi.

– Ale to nie są zwykli ludzie – zauważył chłodno Larry – tylko przyjaciele. A to wielka różnica.

– W takim razie zostanemy przy tej liczbie. Będę miała dość pracy przy przygotowywaniu jedzenia na trzy dni.

– Dowiem się, czy Spiro może zorganizować łódkę – zaproponował Leslie.

– A co z przenośną lodówką? – spytał Larry.

Matka ponownie założyła okulary i spojrzała na niego.

- Lodówką? Nie mówisz poważnie.
- Jak najbardziej. Będziemy potrzebować lodu do drinków, masła i tym podobnych rzeczy.
- Ależ, kochanie. Nie bądź śmieszny. Chyba pamiętasz, ile wysiłku kosztowało nas wstawienie jej do domu. Nie możemy jej teraz ruszać.
- Nie rozumiem, dlaczego. Trzeba się tylko dobrze zorganizować.
- Co oznacza – wtrącił Leslie – że ty wydajesz polecenia, a reszta je wykonuje.
- Bzdura – odparł Larry. – To bardzo proste. Poza tym, jeśli udało się nam ją wnieść, tak samo można ją wynieść.

Wspomniana lodówka była chlubą i radością mamy. W tamtych czasach na Korfu żaden z okolicznych domów nie mógł się pochwalić elektrycznością i jeśli nawet wynaleziono coś takiego jak lodówka na naftę, z pewnością nie dotarła na wyspę. Mama, uznawszy, że życie bez lodówki jest niehigieniczne, powzięła dość niepewny plan skonstruowania lodówki podobnej do tej, której używała w Indiach jako mała dziewczynka. Pokazała rysunek Spirowi i spytała, czy nie dałoby się zrobić czegoś podobnego.

Spiro przyjrzał się mu z chmurną miną.

- Zostawi to mnie, pani Durrell – rzekł i kolebiącym się krokiem odszedł w stronę miasta.

Minęły dwa tygodnie i pewnego ranka na drodze pojawił się duży wóz ciągnięty przez cztery konie, z sześcioma mężczyznami siedzącymi z przodu. Z tyłu leżała ogromna lodówka. Prawie dwa metry długa, metr dwadzieścia szeroka i tyleż wysoka. Zbudowana została z desek trzycentymetrowej grubości i wyłożona blachą cynkową; przestrzeń między blachą i deskami wypełniały trociny. Wstawienie jej do spiżarni zajęło sześciu krępkim mężczyznom cały poranek. Musieliśmy przy tym zdemontować oszklone drzwi z salonu. Lodówka rozmiarami przerastała wszystko. Spiro regularnie przywoził samochodem z miasta wielką bryłę kapiącego lodu, który ładowaliśmy do lodówki. Dzięki temu masło, mleko i jajka pozostawały świeże przez długi czas.

– O nie! – oświadczyła matka stanowczo. – Nie pozwalam jej ruszać. Pomijając wszystko inne, możemy popsuć jakiś mechanizm.

- Przecież ona nie ma żadnego mechanizmu – zirytował się Larry.

– Ale możemy ją uszkodzić. Nie zmienię zdania. Zostanie na miejscu. Weźmiemy odpowiedni zapas lodu i jeśli owiniemy go porządnie, powinien przetrzymać.

Larry nic nie odrzekł, ale dostrzegłem znaczący błysk w jego oku.

W związku z tym, że urodziny mamy, jak ustaliliśmy wcześniej, miały się odbyć na oceanie, wszyscy zajęci byli przygotowywaniem prezentów. Po namyśle postanowiłem ofiarować mamie siatkę na motyle, gdyż ostatnio zaczęła okazywać ogromne zainteresowanie moimi zbiorami. Margo kupiła jej materiał na sukienkę, który tak naprawdę chciała dla siebie. Larry – książkę, którą matka pragnęła przeczytać, a Leslie mały rewolwer z perłową kolbą. Jak wyjaśnił, mama

będzie się z nim czuła bezpieczniej, gdy zostanie sama w domu. Jako że jego pokój najeżony był najprzeróżniejszą bronią, którą mama i tak nie umiała się posługiwać, pomysł wydawał mi się dość dziwny, ale nic nie powiedziałem.

Plan naszego przedsięwzięcia powoli dojrzewał. Zapasy żywnościowe zamówiono i przyrządzono. Sven, Donald, Max, Leonora i Mactavish zostali zawiadomieni. Teodor, jak przewidywaliśmy, z początku odmówił ze względu na swoje dolegliwości, ale gdy mu powiedzieliśmy, że na wybrzeżu jest mnóstwo stawów i strumyków, przy których możemy się zatrzymać, zaczął się zastanawiać. Będąc zapalonym biologiem słodkowodnym, postanowił poświęcić się dla nauki i w końcu się zgodził.

Zdecydowaliśmy, że ściągniemy łódź pod dom i tują załadujemy. Potem pojedziemy za nią samochodem do miasta, zabierzemy po drodze pozostałych członków wyprawy i stamtąd wyruszymy.

Rankiem, w dniu planowanego przybycia łodzi, mama, Margo i Spiro pojechali do miasta zrobić ostatnie zakupy. Siedziałem w swoim pokoju na górze, starając się tchnąć ducha w nieżywego węża, gdy nagle usłyszałem na dole dziwne stukoty i łomot. Zastanawiając się, co to u licha może być, zbiegłem po schodach. Odgłosy dochodziły z piwnicy. Gdy wszedłem do środka, zobaczyłem sześciu rosnących miejscowych mężczyzn, którzy pod nadzorem Lesliego i Larry'ego próbowali ruszyć z miejsca ogromną lodówkę. Udało im się unieść ją nieco, odrywając jednak przy tym kawał tynku ze ściany. Yani spuścił ją sobie na nogę i kuśtykał teraz ze stopą przewiazaną zakrwawioną chusteczką.

– Co wy, u diabła, wyprawiacie? – spytałem. – Matka nie pozwoliła jej ruszać.

– Zamknij się i nie przeszkadzaj – uciał Leslie. – Panuję całkowicie nad sytuacją.

– Zmykaj stąd! – warknął Larry. – Idź i nie wtrącaj się! Lepiej skocz na molo i zobacz, czy łódź już przypłynęła.

Zostawiłem ich mokrych od potu, mocujących się z ogromną lodówką, i pobiegłem w dół z boczem na nasze molo. Stałem na końcu i z nadzieją skierowałem wzrok w stronę miasta Korfu. Tak, nie myliłem się, wzdłuż brzegu płynęła łódź. Była coraz bliżej i bliżej. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie kieruje się na nasze molo. W pewnym momencie zrozumiałem, że łódź przejdzie dokładnie obok. Spiro musiał mu pewnie źle wytłumaczyć. Zacząłem skakać, wymachiwać rękami i krzyczeć, aż wreszcie przyciągnąłem uwagę mężczyzny siedzącego w łodzi.

Swobodnym ruchem wykręcił łódkę i podpłynawszy do pomostu wyrzucił kotwicę za siebie; dziób lekko stuknął o deski.

– Dzień dobry! – przywitałem się. – Czy pan jest Taki?

Był to nieduży, krępy mężczyzna o ciemnej skórze i jasnych oczach koloru złotych chryzantem. Potrząsnął głową.



- Nie – odparł. – Jestem jego kuzynem.
- Ach tak, no to w porządku. Musimy chwilkę poczekać. Znoszą tutaj lodówkę.
- Lodówkę? – spytał.
- Tak. Jest trochę duża – wyjaśniłem – ale powinna się zmieścić.
- Dobra – zgodził się obojętnie.

W tym momencie na szczycie wzgórza pojawiła się grupka zdyszanych, kłócących się chłopów z lodówką, wraz z Larrym i Leslieem skaczącymi nerwowo wokół nich. Wyglądali jak stadko pijanych żuków gnojowych dźwigających wielką kulę odchodów. Ślizgając się i zsuwając, raz omal nie spuszczać lodówki ze zbocza, zeszli na drogę, zatrzymali się na krótki odpoczynek, po czym ruszyli w stronę mola.

Pomost zbudowany był ze starych desek, a pale podtrzymujące z drzewa cyprysowego. Na swój sposób był solidny, tyle że stał tu już dłuższy czas. Nie przewidziano jednak takiego obciążenia, więc gdy grupa spoconych i dyszących chłopów dotarła na środek pomostu, rozległ się przeraźliwy trzask i wszyscy razem z lodówką runęli do wody.

– Cholerne głupki! – krzyczał Larry. – Cholerne głupki! Dlaczego nie patrzycie, gdzie idziecie!

- To nie ich wina. Puściły zmurszałe deski – stanął w ich obronie Leslie.

Yani wpadł do wody tak niefortunnie, że lodówka przygniotła mu obie stopy, ale na szczęście dno w tym miejscu było piaszczyste i nogi zostały tylko wciśnięte w miękkie podłoże.

Z wielkim trudem, przy akompaniamencie krzyków i klótni, udało się wnieść lodówkę z powrotem na molo. Następnie za pomocą okrągłych cyprysowych pali ze zniszczonej części mola użytych jako wałki przetoczono ją na koniec mola i z jeszcze większym wysiłkiem wpakowano na łódź.

– Czyż to nie proste? – rzekł Larry. – Mówiłem, że to będzie proste. A teraz ty, Gerry, poczekaj tutaj, a my wrócimy do willi po resztę rzeczy.

Śmiejąc się głośno, wieśniacy triumfalnie pomaszzerowali z Larrym i Leslieem na górę po resztę ekwipunku. Śledziłem ich długo wzrokiem, na chwilę zapominając o łodzi. Nagle usłyszałem grzechot. Odwróciłem się i zobaczyłem, że mężczyzna odbił już od pomostu i właśnie wciąga kotwicę na pokład.

- Hej! – krzyknąłem. – Co robisz?
- Wciągam kotwicę – wyjaśnił krótko. Najwyraźniej brał wszystko dosłownie.
- Ale dokąd płyniesz? – spytałem.
- Do Gouvi – odpowiedział i zapalił silnik.
- Ale nie możesz tam płynąć! – krzyknąłem. – Nie możesz! Miałeś nas zabrać na ląd. Poza tym masz naszą lodówkę!

Warkot silnika zagłuszał moje słowa, ale nawet jeśli je słyszał, nie zwracał na mnie żadnej

uwagi. Skierował dziób łodzi na morze i pyr... pyr... popłynął wzdłuż brzegu. Patrzyłem zrozpaczony. Co, do licha, teraz zrobimy? Rzuciłem się biegiem z powrotem, przeskoczyłem połamane deski i pogałem na drogę. Czuję, że muszę jak najszybciej dotrzeć do domu i powiedzieć o wszystkim Larry'emu. W tym momencie pojawił się on na szczycie wzgórza, a wraz z nim cała reszta, obładowana koszami z jedzeniem i innymi rzeczami. Jednocześnie zauważyłem zbliżający się samochód Spira z matką i Margo na tylnym siedzeniu.

Larry i Leslie wraz z wieśniakami dotarli na drogę w momencie, gdy nadjechał samochód.

– Co robisz, kochanie? – spytała wysiadając matka.

– Właśnie znosimy rzeczy do łodzi – wyjaśnił Larry. Spojrzał na molo.

– Gdzie ona się, u diabła, podziała? – spytał.

– Chciałem ci o tym właśnie powiedzieć – wysapałem. – Odpłynęła.

– Co to znaczy „odpłynęła”? – nie rozumiał Leslie. – Jak mogła odpłynąć?

– Zwyczajnie – powiedziałem. – Spójrz, jest tam. Wszyscy spojrzeli w kierunku oddalającej się łodzi.

– Ale dokąd popłynęła? – dopytywał się Larry. Wyjaśniłem, że do Gouvi.

– A po co on jedzie do Gouvi? Przecież miał nas zabrać na ląd.

– Też mu to mówiłem, ale nie zwracał na mnie uwagi.

– Ale on ma naszą lodówkę! – zawołał Leslie.

– Co ma? – spytała matka z niedowierzaniem.

– Lodówkę – odparł zirytowany. – Wsadziliśmy tę cholerną lodówkę na łódź i teraz on ją ma.

– Mówiłam przecież, żeby jej nie dotykać! – zdenerwowała się matka. – Naprawdę, Larry, zaczynasz mnie irytować.

– Daj spokój, mamo! – zachnął się Larry. – Najważniejsze, żeby ją jakoś odzyskać. Jak myślisz, Spiro, co mu strzeliło do głowy? Ty go zatrudniłeś.

– Ale to nie jest *benzina* Takiego – powiedział Spiro z chmurną miną.

– To nie był Taki – potwierdziłem. – To jego kuzyn.

– Więc co zrobimy? – spytała matka całkiem już oszołomiona.

– Musimy płynąć za nim – stwierdził Larry..

– Ja zabieram matkę do domu – oświadczył Spiro – a potem jadę do Gouvi.

– Przecież nie przywieziesz lodówki z powrotem w bagażniku – zauważył Larry.

W tym momencie doszedł nas warkot silnika i zobaczyliśmy drugą łódź płynącą od strony miasta.

– No – powiedział Spiro – to jest *benzina* Takiego.

– A więc musi go dogonić – oznajmił Larry. – Musi go dogonić. Jak tylko dobije do pomostu, powiedz mu, żeby ruszył w pogoń i przywiózł z powrotem to cholerstwo. Co ten

głupek sobie myślał, zabierając ją stąd?

– Czy zdziwił się, gdy powiedziałeś mu, żeby załadował lodówkę? – spytał mnie Leslie.

– Nie – odpowiedziałem. – Twarz miał zupełnie obojętną.

– To zrozumiałe – rzekła matka. – Ja bym wyglądała tak samo w podobnej sytuacji.

Gdy Taki przybił do pomostu, opowiedzieliśmy mu o naszym kłopotcie. Taki był niski, szczupły, ale dobrze umięśniony. Uśmiechał się przyjaźnie, ukazując mnóstwo złotych zębów.

– Lepiej, żeby ci chłopcy z nim pojechali – poradził Larry. – Inaczej nigdy nie uda się im przenieść lodówki z jednej łodzi na drugą.

Sześciu wieśniaków zachwyconych propozycją morskiej wyprawy wgramoliło się na łódź, gadając i śmiejąc się głośno.

– Ty, Leslie, też z nimi jedź – dodał Larry.

– Dobrze – zgodził się Leslie. – Tak będzie lepiej.

Wszedł na pokład i po chwili łódź terkocząc popłynęła w ślad za pierwszą.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziała matka. – Dlaczego on to zrobił?

– Och, mamó – odezwała się Margo – przecież wiesz, jak jest na Korfu. Wszyscy tu są zwariowani.

– Ale nie aż tak! – obruszyła się matka. – Nie przepływa się łódką i nie zabiera cudzej lodówki ot, tak sobie.

– Może on pochodzi z Zante – powiedział Spiro, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Już naprawdę nie wiem – westchnęła matka. – Cóż za inauguracja naszej wyprawy. Och, dzieci, bardzo mnie zirytowaliście.

– To nie fair, mamó – powiedziała Margo z urazą. – Skąd Larry i Leslie mieli wiedzieć, że wsadzili lodówkę nie na tę łódkę?

– Powinni się najpierw spytać – stwierdziła matka. – Może już nigdy jej nie odzyskamy.

– Nie martwić się, pani Durrell – spojrzał groźnie Spiro. – Ja ją przywieźć. Pani wracać do domu.

W tej sytuacji wróciliśmy do willi. Trzy i pół godziny czekania przyprawiło matkę o rozstrój nerwowy.

– Jestem pewna, że wpadła im do wody. Nigdy ci tego nie daruję, Larry! Wyraźnie ci mówiłam, żebyś nie ruszał lodówki!

W tym momencie usłyszeliśmy ciche, niewyraźne terkotanie silnika *benzyny*. Wybiegłem na zewnątrz z lornetką polową i zacząłem wpatrywać się w morze. Tak, zbliżająca się łódź z lodówką w środku bez wątplenia należała do Takiego. Popędziłem z tą wiadomością do mamy.

– No, to już coś – odetchnęła. – Chyba teraz możemy ruszać. Doprawdy, czuję się, jakbym była o rok starsza, chociaż nie miałam jeszcze urodzin!

Znowu trzeba było znieść wszystkie rzeczy na molo i załadować je na pokład *benzyny*.

Potem wszyscy odjechaliśmy samochodem do miasta.

Nasi przyjaciele odpoczywali w chłodnym cieniu kolumn na Esplanade, popijając drinki. Był tam Sven, podobny do dużego dziecka z twarzą jak księżyc w pełni, prawie całkiem łysy, jedynie z kępką szarych, wystrzępionych kosmyków nad karkiem, ściskający kurczowo swój cenny akordeon – rzecz, bez której nigdzie się nie ruszał. Teodor, ubrany w nienaganny garnitur i panamę, z brodą i wąsami, które w słońcu mieniły się złotem. Za krzesłem znajdowała się jego laska z przyczepioną do jednego końca siatką i pudełko z bezcennymi probówkami i słoikami na zebrane okazy. Błady i arystokratyczny Donald. Wysoki i chudy Max z kędzierzawymi włosami i brązowymi wąsami wiszącymi nad górną wargą jak motyl. Blondwłosa Leonora, dojrzała i bardzo piękna. Mactavish, krępy, o ciemnej, podłużnej twarzy i cienkich, szarych włosach.

Przeprosiwszy za spóźnienie, którego nikt zdawał się nie zauważać, zamówiliśmy drinki i gdy Spiro zabezpieczył łatwo psujące się produkty, ruszyliśmy w dół do łodzi.

Weszliśmy na pokład i po załadowaniu do lodówki ostatnich paczek z jedzeniem wypłynęliśmy na spokojne morze.

– Kupiłem trochę... ehm... pastylek przeciwko chorobie morskiej – oświadczył poważnie Teodor, patrząc podejrzliwie na powierzchnię wody, która była jak namalowana. – Obawiam się fal, rozumiecie, ponieważ jestem takim kiepskim żeglarzem... pomyślałem, że tabletki mi pomogą.

– Jeśli morze będzie niespokojne, chętnie z nich skorzystam – powiedziała matka. – Też nie znam się na żeglowaniu.

– Mamusia nie będzie chorować choroba morska – oświadczył Max, klepiąc ją po ramieniu.

– Ja nie pozwolę mamusia tej choroby.

– Nie rozumiem, jak pan tego dokona – powiedziała matka.

– Czosnek – rzekł Max. – Czosnek. To stara austriacka receptura. Doskonała!

– Masz na myśli świeży czosnek? – spytała Margo. – To obrzydliwe.

– Nie, kochana Margo, nie obrzydliwe – rzekł Max. – Bardzo zdrowy, naprawdę bardzo zdrowy.

– Nie cierpię ludzi, którzy pachną czosnkiem. Mam wrażenie, że mnie wtedy rozsadza.

– Ale jeśli ty też bierzesz czosnek, to wtedy ich rozsadza.

– Cholernie złe maniery, jeść czosnek – prychnął Donald. – Zupełny brak kultury. Tylko na kontynencie mogli coś takiego wymyślić.

– Podobno ma bardzo dobroczynny wpływ – wtrącił nieśmiało Teodor. – Dowodzą tego badania naukowe.

– Zawsze dodaję czosnek do potraw – powiedziała matka. – Poprawia smak.

– Ale wydziela taki okropny zapach – dorzuciła Leonora wdrapując się na pokład niczym perski kot. – Któregoś dnia jechałam autobusem do Perenny. I, mój Boże, omal się nie udusiłam.

Wszyscy jedli ogromnej wielkości ząbki czosnku, dysząc wprost na mnie. Miałam wrażenie, że zemdleję, zanim dojedziemy na miejsce.

Sven rozpiął rzemienie akordeonu.

– Droga pani Durrell, co pani sobie życzy, abym zagrał? – spytał słodkim głosem.

– Och, mhm... sama nie wiem – odrzekła matka. – Coś wesołego.

– Może piosenkę „W tym mieście jest tawerna”? – podsunął Teodor. Była to melodia, której zawsze słuchał z przyjemnością.

– Proszę bardzo – powiedział Sven i zaczął grać.

Leslie i Mactavish siedzieli na dziobie. Co jakiś czas Mactavish robił kilka przysiadów i pompek. Zdrowie było jego obsesją. Kiedyś służył w Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej i nikomu nie pozwalał o tym zapomnieć. Dokładał zawsze wszelkich starań, by wyróżniać się w towarzystwie i tym, czym szczycił się najbardziej, była jego doskonała kondycja fizyczna. Często uderzał się ręką po brzuchu i mówił: „Tylko spójrzcie na to! Wcale nieźle jak na czterdziestopięciolatka, co?!”

Łódź terkocząc posuwała się w poprzek kanału oddzielającego wyspę od lądu. Teodor z zapalem śpiewał „W tym mieście jest tawerna”.

Podróż wydawała mi się niezwykle krótka. Tyle było do oglądania, latające ryby, mewy. Musiałem wciąż odciągać Teodora od towarzystwa, by udzielił mi kolejnej cennej informacji o wodorostach czy innych interesujących stworzeniach przepływających obok łodzi.

Dotarliśmy w końcu do niesamowicie brązowego, wyżłobionego erozją wybrzeża między Albanią a Korfu, które wcinano się daleko w głąb lądu. Dalej mijaliśmy wyniosłe szczyty skalne, przypominające miliony wielokolorowych, stopionych świec. Przed zapadnięciem nocy udało się nam znaleźć zatoczkę, którą, wydawało się, wygryzł w skale jakiś ogromny potwór morski. Księżyc w pierwszej kwadrze oświetlał nas swym blaskiem. Postanowiliśmy zatrzymać się właśnie tutaj. Biały piasek, zwaliste, opiekuńczo pochylone skały. Łagodny skręt łodzi, wyrzucona kotwica i byliśmy na miejscu.

Pojemność lodówki okazała się nieograniczona. Mama i Spiro wyjęli z niej nieprawdopodobny zestaw produktów: cielece nóżki z czosnkiem, homary i specjały mamy, nazywane przez nią ptysiami z nadzieniem curry. Część rzeczywiście była z nadzieniem curry, ale reszta z innymi pysznościami. Rozłożywszy się na pokładzie, zaczęliśmy się opychać.

Na dziobie łodzi leżał pokaźny stos arbuzów wyglądających jak wystawa nabrzmiałych piłek nożnych w zielono-białe paski. Co jakiś czas wrzucaliśmy jednego do lodówki i po schłodzeniu kroiliśmy. Piękny różowy miąższ był kruchy niczym najlepsze lody. Z prawdziwą przyjemnością wypluwałem za burtę czarne pestki, patrząc, jak małe rybki rzucają się na nie szaleńczo, łapią do pyska, by po chwili wyrzucić je z niesmakiem. Ze zdziwieniem obserwowałem większe ryby, które pochłaniały pestki jak odkurzacz.

Później poszliśmy się kąpać, z wyjątkiem mamy, Teodora i Svena, którzy oddawali się tajemniczym dyskusjom na temat czarów, nawiedzonych domów i wampirów, podczas gdy Spiro i Taki zajęci byli zmywaniem.

To fantastyczne uczucie móc zanurkować w ciemną toń, gdy woda rozpryskuje się, tworząc świetliste smugi jak na pokazie ogni sztucznych i człowiek ma wtedy wrażenie, że ogarnia go ogień. Pod wodą pływak pozostawia za sobą migotliwy szlak fosforesencji, niby miliony małych gwiazdek, i kiedy Leonora jako ostatnia wciągnęła się na pokład, jej całe ciało na krótki moment pokryło się złotem.

– Mój Boże, ona jest cudowna – zachwycił się Larry – ale jestem pewny, że to lesbijka. Ciągłe odrzuca moje zaloty.

– Larry, kochanie – zachnęła się matka. – Nie powinienes tak mówić o ludziach.

– Jest z pewnością urocza – zgodził się Sven. – Cudownie piękna. Żałuję, że jestem homoseksualistą. Chociaż homoseksualizm ma swoje zalety.

– Sądzę, że biseksualność jest najlepszym wyjściem – oświadczył Larry. – Wtedy można czerpać przyjemności z obu światów.

– Larry, kochanie – upomniała go matka – rozumiem, że ten temat cię fascynuje, ale mnie wcale, i chciałabym, żebyś nie rozmawiał o tym przy Gerrym.

Mactavish wykonywał przed łodzią serię skomplikowanych ćwiczeń.

– Boże, ten człowiek naprawdę mnie denerwuje – rzekł Larry, dolewając sobie wina. – Po co on się tak męczy? Przecież do niczego nie jest mu to potrzebne.

– Naprawdę, kochanie – powtórzyła stanowczo matka – chciałabym, żebyś przestał w ten sposób wyrażać się o ludziach. To bardzo krępujące na takiej małej łodzi. On mógł cię usłyszeć.

– Nie miałbym nic przeciwko, gdyby ćwiczył z chęcią zgwałcenia wszystkich dziewczyn na Korfu – upierał się Larry – ale poza gimnastyką nic innego nie robi!

W trakcie ćwiczeń Mactavish po raz czterdziesty ósmy opowiadał Lesliemu, który leżał obok, o swoich doświadczeniach w policji konnej. Wszystkie były niezwykle emocjonujące i zawsze kończyły się złapaniem przestępcy.

– Aaaj! – wrzasnęła nagle Margo tak rozzwierająco, że wszyscy aż podskoczyliśmy. Larry'emu wylało się wino.

– Czy mogłabyś nie wydawać tych przeraźliwych ptasich pisków? – zdenerwował się.

– Ale właśnie sobie przypomniałam – tłumaczyła się Margo – że jutro są mamy urodziny.

– Jutro mamusia mieć urodziny? – spytał Max. – Dlaczego nie powiedzieć?

– Właśnie dlatego tu jesteśmy. Dla uczczenia jej urodzin. Chcieliśmy jej podarować kilka dni odpoczynku – wyjaśniła Margo.

– Ale mamusia mieć urodziny, a my nie mieć żadnych prezentów – zmartwił się Max.

– Proszę się nie przejmować – pocieszała matka. – W tym wieku już nie powinnam

obchodzić urodzin.

– Nie wypada przychodzić na przyjęcie bez prezentów – oświadczył Donald. – Nie wypada.

– Nie róbcie tyle zamieszania – przerwała matka. – Czuję się skrępowana.

– Będę dla pani grał cały wieczór, droga pani Durrell – oznajmił słodko Sven. – Moim prezentem będzie muzyka.

Chociaż Sven umiał grać takie utwory jak „W tym mieście jest tawerna”, najbardziej lubił Bacha i mama na myśl o dniu spędzonym przy jego muzyce skrzywiła się.

– Ależ nie, nie – powiedziała pośpiesznie – po co to wszystko?

– Dobrze, jutro być wspaiała uroczystością – powiedział Max. – My znajdziemy specjalne miejsce, aby uczcić mamusia urodziny w prawdziwy kontynentalny styl.

Materace, które zabraliśmy ze sobą, leżały już rozwinięte i powoli wszyscy pograżyliśmy się we śnie. Księżyc czerwony jak pierś drozda wychynał zza gór, stopniowo zmieniając swą barwę na kolor żółty, potem srebrny.

Następnego ranka o świcie poderwali się przerażeni, a później wściekli na Svena, który obudził nas grając na akordeonie „Sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam”. Przykucnął tuż obok mamy i zaczął wpatrywać się z napięciem w jej twarz, czekając na reakcję. Mama, nie przyzwyczajona, aby akordeon grał jej tuż koło ucha, poderwała się z krzykiem.

– Cc... co się dzieje, cc... co się dzieje! Toniemy? – wyjąkała.

– Na litość boską, Sven! – zdenerwował się Larry. – Jest piąta rano!

– Oooh... – odezwał się Max sennym głosem – ale dzisiaj jest urodzina mamusi. Zaczynamy uroczystością. Chodźcie, śpiewamy wszyscy razem.

Poderwał się na nogi, uderzając głową w maszt, po czym zamachał swoimi długimi rękami i zawołał:

– Sven, graj jeszcze raz! Wszyscy razem!

Na wpół przytomni, zaczęliśmy śpiewać „Sto lat...” podczas gdy mama z całych sił starała się ponownie nie usnąć.

– Czy mam przygotować trochę herbaty, pani Durrell? – spytał Spiro.

– Myślę, że to świetny pomysł – mruknęła matka.

Przynieśliśmy nasze prezenty. Mama zachwycała się każdym, nawet rewolwerem z perłową kolbą, choć dla swojego bezpieczeństwa wołałaby, żeby leżał w pokoju Lesliego. Gdyby trzymała go pod poduszką, jak sugerował Leslie, rewolwer mógłby niespodziewanie wypalić i zrobić jej krzywdę.

Łyk herbaty i krótka kąpiel odświeżyły nas wszystkich. Powoli zaczęło wschodzić słońce i nocna mgła odrywała się od powierzchni wody niby jasne kłębuszki wełny. Jak gdyby morze było wielką niebieską owcą, delikatnie strzyżoną przez słońce. Po śniadaniu, złożonym z owoców i jajek na twardo, zapalono silnik i ruszyliśmy dalej wzdłuż brzegu.

– Musimy znaleźć piękna miejsca na lunch dla mamusia – powiedział Max. – To musi być rajski Eden.

– I wtedy będę dla pani grał, droga pani Durrell – oświadczył uroczyście Sven.

Dopłynęliśmy do cypla, który wyglądał jak zbudowany z ogromnych bloków czerwonego, złotego i białego kamienia, z potężną sosną, niczym parasol umieszczoną na szczycie, niepewną swego miejsca na skraju i niebezpiecznie chylącą się w kierunku morza. Po okrążeniu cypla zobaczyliśmy, że osłaniał zatoczkę, w której znajdowała się niewielka wioska z pozostałościami starego weneckiego fortu, wznoszącymi się poza nią na zboczu.

– Ciekawe miejsce – stwierdził Larry. – Możemy tu zawinąć i trochę się rozejrzeć.

– Ja bym nie poszedł tam, paniczu Larry – powiedział chmurnie Spiro.

– Dlaczego by nie? – spytał Larry. – To urocza wioska, a fort prezentuje się okazale.

– To jest praktycznie Turcy – wyjaśnił Spiro.

– Co to znaczy „praktycznie”. Albo ktoś jest Turkiem, albo nim nie jest.

– Oni zachować się jak Turki, nie jak Greki, więc naprawdę jest Turki.

Wszyscy poczuli się lekko zdezorientowani tym logicznym wywodem.

– Nawet jeśli są Turkami – ciągnął Larry – jakie to ma znaczenie?

– Od czasu ehm... inwazji Turcji na Grecję – odezwał się Teodor uczenie – niektóre z bardziej oddalonych wiosek znalazły się pod silnym wpływem tureckim. Ludzie przyswoili sobie wiele z tureckich zwyczajów i, jak słusznie zauważył Spiro, są rzeczywiście bardziej Turkami niż Grekami.

– Ale co to, u diabła, ma wspólnego z nami? – spytał Larry z rozdrażnieniem.

– Niezbyt lubią obcych – odparł Teodor.

– Nie mogą zabronić nam tu się zatrzymać i obejrzeć fortu – upierał się Larry. – A poza tym wioska jest tak mała, że przewyższamy ich liczebnie w stosunku trzy do jednego. A gdyby zaczęli okazywać wrogość, zawsze możemy wysłać do nich mamę z jej nowym rewolwerem. To powinno stłumić ich wojownicze zapędy.

– Naprawdę chce iść? – zaniepokoił się Spiro.

– Tak – odparł stanowczo Larry. – Boisz się kilku Turków? Twarz Spira nabiegła krwią, osiągając stadium, w którym można się było u niego spodziewać ataku apopleksji.

– Nie powinien mówić takie rzeczy, paniczu Larry – wykrztusił. – Nie boję się żaden pieprzony Turek!

Odwrocił się, ciężkim krokiem przeszedł na rufę i polecił Takiemu skierować łódź w stronę przystani.

– Larry, kochanie, nie powinieneś odzywać się do niego w ten sposób – strofowała go matka. – Wiesz, jakie oni żywią uczucia dla Turków.

– Ale oni nie są cholernymi Turkami – zachnął się Larry – tylko Grekami!



– Ujmując sprawę technicznie, możesz nazywać ich Grekami – wtrącił Teodor – ale na tych odludnych terenach całkowicie upodobnili się do Turków. Taki dziwny, by tak rzec, amalgamat.

Gdy zbliżyliśmy się do pomostu, mały chłopiec łowiący tam ryby chwycił nagle wędkę i popędził do wioski.

– Chyba nie pobiegł tam, aby ich zawiadomić? – zapytała nerwowo Leonora – i nie przyjdą tu z bronią czy czymś podobnym?

– Och, nie bądź tak beznadziejnie głupia – mruknął Larry.

– Pozwólcie, że ja pójdę pierwszy – zaproponował Mactavish. – Jestem przygotowany na takie sytuacje. Często miałem do czynienia z dzikimi plemionami Indian w Kanadzie, gdzie tropiliśmy pewnego człowieka. Mam wrodzoną zdolność właściwego postępowania z ludźmi prymitywnymi.

Larry skrzywił się i już miał rzucić sarkastyczną uwagę, ale powstrzymał się pod piorunującym spojrzeniem matki.

– A więc – zaczął Mactavish, przejmując sprawy w swoje ręce – najlepiej zrobimy, jeśli wyjdziemy na pomost i przejdziemy się trochę, podziwiając okolicę, tak jak... eee... tak jak... eee...

– Tak jak byśmy byli turystami? – podsunął niewinnie Larry.

– Chciałem właśnie powiedzieć – ciągnął Mactavish – tak jak byśmy nie mieli żadnych złych intencji.

– Dobry Boże! – jęknął Larry. – Można by pomyśleć, że znajdujemy się w środku Czarnej Afryki.

– Larry, kochanie, bądź już cicho – zniecierpliwiła się matka. – Jestem pewna, że pan Mactavish wie, co robi. Poza tym dziś są moje urodziny.

Zebraliśmy się więc wszyscy na pomoście i przez chwilę prowadziliśmy bezładne rozmowy, wskazując w różne strony.

– A teraz do wioski – oznajmił Mactavish.

Ruszyliśmy, zostawiając na łodzi Spira i Takiego.

Wioska składała się z jakichś trzydziestu, czterdziestu domów, wszystkie malutkie, jaśniejące bielą, niektóre obrośnięte zieloną winoroślą, inne okryte fioletowym płaszczem bugenwilli.

Prowadził Mactavish; szedł zwawym marszowym krokiem, niby nieustraszony żołnierz Legii Cudzoziemskiej, który szykuje się do zdobycia terenów zajętych przez zbuntowanych osadników arabskich. Spokojnie podążaliśmy za nim.

Przez wioskę przechodziła jedna główna ulica, jeśli można ją tak określić, i kilka mniejszych, bocznych, zabudowanych z obu stron. Gdy tak szliśmy, nagle z pobliskiego domu wybiegła kobieta. Na twarzy miała jaszmak. Rzuciła nam przerażone spojrzenie i szybko

zniknęła w głębi uliczki. Nigdy przedtem nie widziałem jaszmarka, więc bardzo mnie zaintrygował.

– Co ona miała na twarzy? – spytałem z ciekawości. – Coś się jej stało?

– Nie, nie – odparł Teodor. – To jaszmark. Jeśli rzeczywiście panują tu zwyczaje tureckie, większość kobiet będzie zasłaniała sobie w ten sposób twarz.

– To naprawdę idiotyczny pomysł – mruknął Larry. – Jeśli kobieta ma piękną twarz, powinna ją pokazywać. Zalecałbym jedynie stosowanie tego w charakterze knebla, gdyby gadała zbyt dużo.

Ulica prowadziła do centrum wioski, małego placu z ogromną i bardzo piękną sosną w kształcie parasola, skrywającą w swym cieniu krzesła i stoliki. Mieściła się tu kafejka, która podobnie jak angielski pub oferowała nie tylko posiłki, ale wino, plotki i oszczerstwa w równej ilości. Zdziwiło mnie, że przechodząc przez wioskę, nie zauważyliśmy żywego ducha z wyjątkiem tamtej kobiety. Gdybyśmy znaleźli się w jednej z podobnych wiosek na Korfu, otoczyłby nas już rozwrzeszczany i ciekawski tłum mieszkańców. Dopiero na placu poznaliśmy – lub tak nam się wydawało – powód wyludnienia. Większość stolików pod sosną zajmowali głównie starsi mężczyźni o imponujących długich białych brodach, w obszernych spodniach, podartych koszulach i charukias – dziwnych butach z zadartymi noskami, zrobionymi z jasnoczerwonej skóry i ozdobionymi niezwykle kolorowymi pomponami. Przyjęli nas absolutną ciszą. Siedzieli, patrząc na nas nieruchomym wzrokiem.

– Aha! – odezwał się Mactavish donośnym i wesołym głosem. – *Kalimera, kalimera, kalimera!* W każdej greckiej wiosce natychmiast byśmy usłyszeli odpowiedź na jego „dzień dobry”. Niektórzy powiedzieliby: „Cieszymy się, że przyszedłeś”, inni „*herete*”, co znaczy „bądź szczęśliwy”, a jeszcze inni „*kalimera*”. Tutaj odpowiedzią była cisza, tylko paru starszych mężczyzn skinęło poważnie głowami w naszym kierunku.

– No, cóż – rzekł Mactavish – połączmy razem kilka stolików, wypijmy drinka, a kiedy do nas przywykną, jestem pewien, że przyjdą do siebie.

– Muszę przyznać, że nie bardzo mi się to podoba – powiedziała nerwowo matka. – Nie sądzisz, że Margo, Leonora i ja powinnyśmy wrócić na łódź? Nie widzę tu żadnej kobiety, sam rozumiesz.

– Bzdura, mamó. Przestań robić zamieszanie – burknął Larry.

– Wydaje mi się – rzekł Teodor, rzucając spojrzenie na potężną sosnę nad nami – wydaje mi się, że to była przyczyna ucieczki chłopca do wioski. W wioskach takich jak te, kobiety powinny pozostawać w domu. Więc pewnie pobiegł je ostrzec. Poza tym widok eem... kobiet w naszej grupie musiał być dla niego... mhm... czymś niezwykłym.

Wziąwszy pod uwagę, że matka, Margo i Leonora nie nosiły jaszmarków, ale wręcz przeciwnie, ubrane były w wyzywające bawełniane sukienki odsłaniające sporo ciała, wcale nas

to nie dziwiło.

Po złączeniu kilku stolików i ustawieniu krzeseł usiedliśmy. Mężczyźni, którzy wbrew przewidywaniom Larry'ego przewyższali nas liczbą co najmniej pięciokrotnie, siedzieli dalej w ciszy, z kamiennymi twarzami, niczym jaszczurki. Minęło sporo czasu, zanim z kafejki wyłonił się wreszcie niemłody mężczyzna i z wyraźnym ociąganiem podszedł do nas. Natychmiast straciliśmy całą odwagę i chórem, z różnym stopniem nerwowego entuzjazmu, powtórzyliśmy „kalimera”. Ku naszej niezmiernej uldze odpowiedział na powitanie.

– A teraz – zwrócił się do niego Mactavish, który szczyił się znajomością greckiego – napijemy się czegoś i przegryziemy *meze*.

Meze, czyli przekąski typu oliwki, orzechy, jajka na twardo, ogórki czy żółty ser są podawane automatycznie przy zamawianym drinku i Mactavish niepotrzebnie o tym wspomniał, ale najwyraźniej były oficer policji konnej także stracił głowę.

– Tak? – powiedział poważnie właściciel kafejki. – Jakie drinki mam państwu podać?

Mactavish zebrał od nas zamówienia na piwo imbirowe, ouzo, brandy i retsinę. Przetłumaczył wszystko właścicielowi.

– Mamy tylko czerwone wino – brzmiała odpowiedź.

Twarz Mactavisha przybrała wściekły wyraz.

– Dobrze, w takim razie proszę nam przynieść czerwone wino i *meze*.

Właściciel skinął lekko głową i powłócząc nogami wrócił do swojego ciemnego sklepika.

– No i dlaczego – denerwował się Mactavish – zapytał mnie, czego byśmy się napili, skoro doskonale wiedział, że ma tylko czerwone wino?

Mactavish uwielbiał Greków i poświęcił sporo wysiłku, żeby nauczyć się ich języka, ale nigdy nie mógł przeniknąć sposobu ich rozumowania.

– Ależ to oczywiste – wyjaśnił Larry z irytacją. – Spytał, bo gdybyś chciał czerwone wino, to by ci je przyniósł.

– No tak, ale dlaczego od razu nie powiedział, że ma tylko czerwone wino?

– Bo jesteśmy w Grecji – wyjaśnił cierpliwie Larry. – To byłoby zbyt logiczne.

Siedzieliśmy tak przy stoliku pod wlepionymi w nas nieruchomymi spojrzeniami, czując się jak aktorzy na scenie, którzy jednocześnie zapomnieli swoich kwestii. Wreszcie ze sklepu wytoczył się starszy mężczyzna ze zniszczoną metalową tacą, na której, z jakiegoś niezrozumiałego powodu, widniał portret królowej Wiktorii. Postawił na stole talerzyki z czarnymi oliwkami i kawałkami białego koziego sera, dwie butelki wina i szklaneczki, które chociaż czyste, były tak wyszczerbione i porysowane, że dawały nieomal pewność złapania jakiejś paskudnej tutejszej choroby.

– Oni nie wyglądają na szczęśliwy w tej wiosce – zauważył Max.

– A czego oczekujesz? – spytał Donald. – Pełno tu przeklętych cudzoziemców. Gdybyśmy

byli w Anglii, inaczej by to wyglądało.

– A jakże! – burknął z sarkazmem Larry – wydaje ci się, że od razu zaczną z tobą tańczyć.

Chociaż wyraz twarzy naszej męskiej widowni pozostał nie zmieniony, w naszym nerwowym odczuciu zaczął przyjmować formę jakby wroga.

– Muzyka! – rzucił odkrywczco Sven. – Muzyka obłąskawi te prymitywne bestie! Zagram jakiś utwór.

– Tylko, na miłość boską, zagraj coś wesołego! – poradził Larry. – Jeśli zaczniesz grać Bacha, gotowi są pójść do domu i wrócić tu z muszkietami.

Sven przygotował akordeon i zagrał uroczą krótką polkę, która powinna zmiękczyć serce każdego Greka. Ale nasza widownia pozostała niewzruszona, chociaż w powietrzu dało się wyczuć pewien spadek napięcia.

– Naprawdę uważam, że Margo, Leonora i ja powinniśmy wrócić na łódź – powtórzyła matka.

– Nie, nie droga pani Durrell – uspokajał Mactavish. – Zapewniam panią, że doskonale panuję nad sytuacją. Trzeba im dać trochę czasu, żeby ci prymitywni ludzie przyzwyczaili się do nas. A teraz, ponieważ muzyka Svena nie odniosła skutku, myślę, że nadszedł czas na magię.

– Magię? – powtórzył Teodor, pochylając się do przodu i wpatrując się w Mactavisha z głębokim zainteresowaniem. – Jak to magię?

– Sztuczki – wyjaśnił Mactavish. – W wolnym czasie trochę się tym zajmowałem.

– Dobry Boże! – jęknął Larry. – A może dać im kilka sznurków paciorków?

– Och, zamknij się Larry! – syknęła Margo. – Mactavish wie, co robi.

– Cieszę się, że tak myślisz – odparł Larry.

Mactavish celowo dużymi krokami wszedł do kafejki, po czym pojawił się z talerzem z czterema jajkami. Ostrożnie położył je na stole i odsunął się, aby milcząca widownia miała jak najlepszy widok.

– A teraz – zaczął wywijać rękami jak zawodowy kuglarz – mój pierwszy numer, sztuczka z jajkiem. Czy ktoś mógłby mi pożyczyć jakiś rekwizyt?

– Chusteczkę? – zaproponował Donald.

– Nie – odparł Mactavish, rzucając szybkie spojrzenie na siedzących mężczyzn. – Myślałem o czymś bardziej efektownym. Pani Durrell, czy byłaby pani uprzejma pożyczyć mi swój kapelusz?

Matka latem nosiła duży słomkowy kapelusz, który, ponieważ była bardzo filigranowa, nadawał jej wygląd ożywionego grzyba.

– Nie chciałabym, żeby pobrudził się jajkiem – zaniepokoiła się.

– Ach, nie, nie – zapewnił Mactavish – nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Matka niechętnie zdjęła kapelusz i podała go Mactavishowi. Zamaszystym ruchem położył

go na stole przed sobą i zerknąwszy, czy wieśniacy patrzą, wziął jajko i delikatnie włożył do środka. Następnie ściągnął brzegi kapelusza i uderzył nim z hukiem o kant stołu.

– Jeśli zachowamy resztki – zauważył Larry – może uda się zrobić omlet.

Mactavish jednak rozłożył kapelusz, pokazując wieśniakom, że wewnątrz jest puste i zupełnie czyste. Następnie wziął drugie jajko i zrobił dokładnie to samo, co z pierwszym. Kapelusz pozostał czysty i pusty. Gdy powtórzył czynność z trzecim jajkiem, zauważyłem w oczach mieszkańców rosnące zainteresowanie, a po czwartym jeden czy dwóch mężczyzn zaczęli coś do siebie szeptać. Potem Mactavish szerokim gestem ręki pokazał nam i wieśniakom pusty kapelusz. Ponownie złożył ze sobą brzegi, potem rozłożył i powoli, precyzyjnie zaczął wyjmować na talerz kolejne nie naruszone jajka.

Nawet Larry nie mógł wyjść z podziwu. Oczywiście była to prosta sztuczka wymagająca nieco zręczności. Udajesz, że wkładasz coś do pojemnika, podczas gdy w rzeczywistości trzymasz to cały czas w ręku, by po chwili schować w ubraniu. Oglądałem podobny trik z zegarkiem i innymi przedmiotami, ale jeszcze nigdy z jajkami, które trudno ukryć, a na dodatek łatwo stłuc, co psuje cały efekt.

Mactavish uklonił się, dziękując nam za gorące brawa. Ku naszemu ogromnemu zdziwieniu dały się słyszeć pojedyncze oklaski z widowni.

Starsi mężczyźni, którzy niezbyt dobrze widzieli, przysunęli swoje stoliki do młodszych, by być bliżej nas.

– Rozumiecie teraz, o czym mówiłem? – rzekł dumnie Mactavish. – Trochę czarów może zdziałać cuda.

Wyjął następnie talię kart i rozpoczął typowy pokaz iluzjonistyczny. Wyrzucił karty w górę tak, że spadły mu z powrotem na dłoń, po czym jednym ruchem rozłożył je na przedramieniu, żadnej nie gubiąc. Zaciekawieni wieśniacy przeszli z drugiej strony placu i skupili się wokół nas. Ci najstarsi, niedowidzący, tak się ożywili, że przysunęli swoje stoliki prawie nam pod nos.

Nikt nie wątpił, że Mactavish doskonale się bawi. Wkładał sobie jajko do ust, udawał, że je gryzie, następnie otwierając szeroko usta, by pokazać, że nic w nich nie ma, wyjmował jajko z kieszeni koszuli. Tym razem sztuczka przyjęta została burzą oklasków.

– Czyż on nie jest cudowny? – zachwyciła się Margo.

– Mówiłem ci, że jest w porządku – rzekł Leslie. – Bombowy facet.

– Muszę go zapytać, jak robi te... mmm... iluzje – wtrącił zaciekawiony Teodor.

– Ciekawe, czy wie, jak przeciąć kobietę na pół – zamyślił się Larry. – Interesowałaby mnie oczywiście ta połowa, która działa, a nie gada.

– Larry, kochanie – strofowała go matka – nie życzę sobie takich dowcipów przy Gerrym.

Nadszedł wielki moment dla Mactavisha. Pierwszy rząd widowni zajmowali sami starcy z długimi białymi brodami. Za nimi stali młodszy i wyciągali szyje, by zobaczyć magiczne

sztuczki. Mactavish podszedł do najstarszego, z pewnością naczelnika wioski, gdyż jak zauważyliśmy, zajmował honorowe miejsce, z którego najlepiej było widać. Mactavish stał przez chwilę z rękami w górze, z szeroko rozstawionymi palcami, po czym powiedział po grecku:

– Teraz pokażę wam inną sztuczkę.

Szybko wyciągnął rękę w kierunku starca, zręcznie wyjął z jego brody srebrną monetę i rzucił ją z rozmachem na ziemię. Zebrani wydali okrzyk zdumienia. Mactavish znów podniósł rękę, rozcapierzył palce i znowu wyjął z brody pięciodrachmową monetę, którą także cisnął na ziemię.

– Otóż – zaczął po grecku, jeszcze raz podnosząc rękę – widzieliście, jak za pomocą czarów wyjąłem z brody waszego naczelnika pieniądze...

– Czy możesz wyjąć jeszcze? – spytał naczelnik drżącym głosem.

– Tak, tak! – dołączyli się wieśniacy chórem – możesz wyjąć jeszcze?

– Zobaczą, co mogą zdziałać moje czary – zawołał podniecony Mactavish, który już zupełnie nad sobą nie panował.

Raz za razem zaczął wyciągać z brody naczelnika dziesięciodrachmowe monety, które rzucał na stosik na ziemię. W tamtych czasach Grecja żyła w biedzie i deszcz wysypanych przez Mactavisha monet stanowił dla ludzi niemal fortunę.

W tym momencie Mactavish przeszedł samego siebie. Wyjął z brody mężczyzny banknot pięćdziesięciodrachmowy. Ochom i achom nie było końca. Zachęcony tym Mactavish wyciągnął kolejne cztery banknoty. Naczelnik siedział jak w transie. Co pewien czas szeptał błogosławieństwa do swoich świętych, którzy w jego mniemaniu byli sprawcami tych cudów.

– Wydaje mi się – spróbował przerwać mu nieśmiało Teodor – że lepiej przestać już wyjmować te pieniądze.

Ale Mactavish porwany entuzjazmem nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Wydobył banknoty studrachmowe i gromkie wiwaty omal nas nie ogłuszyły.

– A teraz ostatnia sztuczka!

Podniósł rękę do góry pokazując, że są puste, po czym schylił się i wydłubał z brody naczelnika plik banknotów pięciusetdrachmowych.

Teraz u stóp burmistrza leżało, w przeliczeniu, coś około dziesięciu czy piętnastu funtów, suma, która dla przeciętnego wieśniaka w Grecji oznaczała fortunę przekraczającą jego najśmielsze wyobrażenia o bogactwie.

– No i widzicie – powiedział z dumą Mactavish, odwracając się do nas z szerokim uśmiechem – to nigdy nie zawodzi.

– Niewątpliwie wprawiliś ich w doskonały nastrój – zauważyła matka całkowicie już odprężona.

– Mówiłem, żeby się pani nie martwiła, pani Durrell.

Popełnił jednak karygodny błąd. Schylił się, pozbiierał pieniądze i wepchnął sobie do kieszeni.

Natychmiast podniósł się straszliwy harmider.

– Taak... mhm... przeczuwałem, że coś takiego się może zdarzyć – mruknął Teodor.

Naczelnik wstał i rozdygotany wygrażał pięścią przed twarzą Mactavisha. Wszyscy zaczęli krzyczeć z oburzenia niczym stado gawronów.

– Co się stało? – zdziwił się Mactavish.

– Ukradłeś moje pieniądze! – krzyczał naczelnik.

– Wydaje mi się – powiedział Larry do matki – że teraz faktycznie powinniście wrócić z Leonorą i Margo na łódź.

Ochoczo opuściły stolik i dostojnym truchtem oddaliły się główną ulicą.

– Co rozumiesz przez „moje” pieniądze? – dopytywał się szczerze zdziwiony Mactavish. – One należą do mnie.

– Jak mogą być twoje, skoro znalazłeś je w mojej brodzie? – upierał się naczelnik.

Mactavisha znów zaskoczyła nielogiczność Greków.

– Ale nie rozumiesz, że to były tylko sztuczki? Tak naprawdę to są moje pieniądze!

– Nie! – jednogłośnie sprzeciwili się mężczyźni. – Jeśli znalazłeś pieniądze w jego brodzie, należą do niego.

– Ale czy nie widzicie – bronił się rozpaczliwie Mactavish – że to były tylko sztuczki? Zwykle sztuczki!

– Tak jak sztuczka jest kradzież moich pieniędzy! – oświadczył stanowczo naczelnik.

– Tak! – wrzasnęli zgodnie zebrani.

– Wiesz co? – Mactavish obrócił się do Larry’ego zupełnie załamany. – Ten stary grzyb ma chyba nie po kolei. Niczego nie rozumie!

– Ty chyba jesteś pomyłony – rzekł Larry. – To oczywiste, że uważa pieniądze za swoje, jeśli wyciągnął je z jego brody.

– Ale one nie są jego! To moje pieniądze! Ukryłem je w ręku!

– My wiemy, ale oni nie, idioto!

Otaczał nas teraz ciasny krąg rozwścieczonych ludzi, którzy zdecydowani byli dopilnować, aby sprawiedliwości stało się zadość.

– Oddaj mu jego pieniądze! – krzyczeli. – Albo nie pozwolimy wam odpłynąć!

– Wezwiemy policję z Aten! – wrzeszczał jeden z mężczyzn.

Skontaktowanie się z Atenami zajęłoby kilka tygodni, a następnych kilka przysłanie policjanta – jeśli ten w ogóle by się pojawił – i zbadanie sprawy. Sytuacja zaczęła się przedstawiać groźnie.

– Wydaje mi się – zaproponował nieśmiało Teodor – że najlepiej będzie zwrócić im... no...

pieniądze.

– Cudzoziemcy są zawsze tacy sami – odezwał się Donald. – Gwałtowni i zachłanni. Jak Max, który ciągle ode mnie pożyczka i nigdy nie oddaje.

– Tylko teraz my nie początkujemy się kłócić – powiedział Max. – Mamy już dużo kłótni.

– Teodor ma rację – przyznał Larry. – Musisz oddać mu pieniądze, Mactavish.

– Ale to prawie piętnaście funtów! – obruszył się. – Poza tym to był przecież tylko trik!

– Jeśli tego nie zrobisz – ostrzegł Larry – masz niewielkie szanse wydostania się stąd cało i zdrowo.

Mactavish wyprostował się dumnie.

– Nie boję się walki – oświadczył.

– Och, nie bądź głupi – powiedział Larry ze znużeniem. – Jeśli wszyscy ci rośli młodzi mężczyźni rzucą się na ciebie, zostaniesz rozerwany na strzępy.

– Może dojdziemy do porozumienia.

Mactavish wyciągnął z kieszeni drachmy i wręczył je naczelnikowi.

– Proszę – powiedział po grecku – to była sztuczka i pieniądze są moje, ale niech tam, dam ci na wino połowę sumy, którą wyjąłem z twojej brody.

– Nie! – rozległ się zgodny okrzyk. – Oddasz mu wszystko! Matka, po bezpiecznym odprowadzeniu Leonory i Margo na łódź, wróciła, aby mnie ratować. Przeraził ją zebrany wokół nas wygrażający tłum.

– Larry, Larry! – krzyknęła. – Ratuj Gerry'ego!

– Och, daj spokój! – odkrzyknął Larry. – On jest jedyny, któremu się nie dostanie!

Było to całkowicie zgodne z prawdą, gdyż w podobnych sytuacjach Grek tylko przez przypadek mógłby zranić dziecko.

– Myślę, że możemy stanąć gdzieś w kącie i stawić im czoło. Może spuszcza wtedy nieco z tonu. Zupełnie nieźle się boksowałem, gdy byłem w Eton.

– Czy zauważyliście, że... uhm... większość z nich ma przy sobie noże? – powiedział Teodor, jakby opisywał jakiś eksponat w muzeum.

– O, ja wiem jak walczyć na nóż – odezwał się Max.

– Ale go nie masz – zauważył Donald.

– Prawda, ale jeśli walnąć jednego na ziemię, to zdobyć nóż i móc walczyć.

– Nie wydaje mi się to mądre – uznał Teodor.

Tłum tymczasem krzyczał coraz głośniej, a Mactavish wciąż przekonywał naczelnika do równego podziału wpływów z brody.

– Pilnujesz Gerry'ego? – krzyknęła matka spoza tłumu.

– Och, mam, bądź cicho! – wrzasnął w odpowiedzi Larry. – Tylko pogarszasz sytuację! Gerry'emu nic nie grozi!



– Zważywszy na ton ich głosu i żądania – chrząknął Teodor – chyba rozumiesz, że będziemy musieli nakłonić Mactavisha do zwrócenia pieniędzy naczelnikowi. W przeciwnym razie możemy się znaleźć w bardzo kłopotliwym położeniu.

– Pilnujesz Gerry’ego? – krzyknęła znowu matka.

– Na miłość boską! – zdenerwował się Larry.

Podskoczył do Mactavisha, wcisnął rękę do jego kieszeni, wyciągnął banknoty i wręczył naczelnikowi.

– No, świetnie! Ale to są moje pieniądze! – krzyczał Mactavish.

– Owszem, ale moje jest życie, z którym igrasz – odparł Larry. – Odwrócił się do naczelnika.

– Oto są pieniądze – rozpoczął przemowę po grecku – które ten *kyrios* dzięki swojej magii znalazł w twojej brodzie. – Odwrócił się do Mactavisha, złapał go za ramię i spojrzawszy mu prosto w oczy powiedział:

– Masz kiwać zdecydowanie głową na wszystko, co będę ci mówił, rozumiesz?

– Tak, tak – odparł Mactavish oszołomiony nagłą agresywnością Larry’ego.

– A więc – ciągnął Larry. Przerwał na chwilę, położył rękę na sercu Mactavisha i zaczął deklamować jakiś bezsensowny wiersz w nieznanym nikomu języku.

Mactavish zdumiony mistrzowskim opanowaniem sytuacji przez Larry’ego, nic nie rozumiejąc z tego, co słyszał, kiwał energicznie głową po każdym wersie. Larry zwrócił się do naczelnika:

– Ten *kyrios* – znów położył rękę na piersi Mactavisha – ma dobre serce i dlatego zgodził się dać wam wszystkie pieniądze, pod jednym wszakże warunkiem. Wszyscy znacie ludzi, którzy znajdują wodę pod ziemią.

Przez tłum przeszedł szmer aprobaty.

– Ludzie ci są wynagradzani za pracę.

Więcej osób zaczęło kiwać głowami powtarzając „tak, tak”.

– Ale gdy znajdą wodę – ciągnął Larry – należy ona do wszystkich... Teraz przemawiano językiem dla nich zrozumiałym, gdyż woda i chleb stanowią podstawę istnienia w życiu każdej społeczności.

– ...czasami ludzie szukający wody znajdują ją, a czasami nie.

Czasami ten *kyrios* znajduje pieniądze, czasami nie. Miał szczęście, że natrafił na dobrego naczelnika i znalazł u niego pieniądze. Prawie dziewięć tysięcy drachm! A ponieważ jest dobrym i miłym człowiekiem, postanowił nie brać zwyczajowej opłaty...

Tłum zaczął wznosić okrzyki zadowolenia, zdziwiony taką wspaniałomyślnością.

– ...ale miałyby do was jedną prośbę. Pragnie, aby naczelnik przeznaczył tę sumę dla dobra całej wioski!

Twarz naczelnika natychmiast się zachmurzyła. Tłum ogarnął szal radości. Larry pod

wplywem wypitego w nadmiarze wina bardzo przejął się swoją rolą.

– Podobnie jak woda, znalezione pieniądze powinny należeć do wszystkich!

Radość była tak wielka, że słowa naczelnika zostały zagłuszone.

– Wydaje mi się, że... należałoby... wracać, wykorzystując tę... jakby to powiedzieć... atmosferę życzliwości – podsunął Teodor.

Przemaszerowaliśmy główną ulicą otoczeni zbitym tłumem, każdy przepychał się, chcąc poklepać Mactavisha po plecach lub uścisnąć mu rękę. Gdy dotarliśmy do pomostu, Mactavish promieniał. Warto było stracić piętnaście funtów, aby stać się obiektem uwielbienia. Nasz odjazd dodatkowo opóźnił się o kilka minut, gdyż naczelnik bardzo pragnął ucałować Mactavisha w oba policzki i uściskać go, co potem musieli uczynić wszyscy starsi mieszkańcy.

Pojawił się wreszcie na pokładzie zarumieniony z emocji.

– A nie mówiłem? – puszył się. – Trzeba tylko wiedzieć, jak postępować z prymitywnymi ludźmi.

– W każdym razie jest to ostatnia wioska na tym brzegu, którą mam ochotę zwiedzić, a ponieważ dziś są moje urodziny, wydaje mi się, że moje życzenia powinny być brane pod uwagę – powiedziała stanowczo matka.

– Ależ oczywiście, droga mamusia – rzekł Max. – Znajdziemy jej miłe miejsce do zjedzenia.

Wciągnięto kotwicę. Oddalając się od wybrzeża, słyszeliśmy poprzez warkot zapalonego silnika okrzyki i oklaski żegnających nas mieszkańców.

Przed południem znaleźliśmy uroczą, długą plażę z białym miłkim piaskiem, a ponieważ taki poprzedniego wieczora zarzucił wędkę i złowił kefalia, Spiro rozpałił teraz ognisko i usmażył te smakowite ryby.

Sven, Donald i Max zmartwieni brakiem prezentu dla mamy postanowili ją zabawić. Sven jako rzeźbiarz zrobił z mokrego piasku olbrzymią nagą kobietę, którą matka musiała podziwiać, po czym zagrał na akordeonie, na szczęście zamiast Bacha jakąś wesołą, skoczną melodię.

Donald i Max zbliżyli się do Svena i zaczęli tajemniczo szeptać. Sven kiwnął zdecydowanie głową.

– A teraz – zwrócił się do matki Donald – zatańczymy dla pani stary austriacki taniec.

Słowa te, wypowiedziane przez niewiarygodnie typowego Anglika, jakim był Donald, i do tego introwertyka, tak ich zaskoczyły, że nawet Larry zaniemówił. Sven uderzył w klawisze. Popłynęła niezwykle żywa muzyka w stylu mazurka i wysoki, kościsty Max z bladym, niskim Donaldem po uroczystej wymianie ukłonów podali sobie dłonie i rozpoczęli taniec. Ku naszemu zdziwieniu szło im całkiem dobrze, podrygiwali i kręcili się na piasku, wykonując tak skomplikowane ewolucje, jak uderzanie się nawzajem w kolana i ręce, wyskoki w górę, klepanie po nogach, i tym podobne figury. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że przyglądam się Gryfonowi i Fałszywemu Żółwiowi tańczącym kadryla z homarami z „Alicji w krainie czarów”.

Tak nam się podobał ich występ, że gdy skończyli, zaczęliśmy wszyscy szaleńczo klaskać, na co oni, promieniejący i spoceni, przedstawili nam na bis inny taniec.

Kiedy nasz *corps de ballet* wykapał się dla ochłody, rozsiedliśmy się wszyscy na piasku i zjedliśmy pyszną, doskonale upieczoną, soczystą rybę z pachnącą węglem drzewnym chrupiącą skórką. Posiłek zakończyliśmy owocami.

– No cóż, to był rzeczywiście wspaniały urodzinowy lunch – powiedziała matka.

– Będzie urodzinowy obiad – oznajmił Max. – Chodzimy na inna plaża i zjemy urodzinowy obiad.

I znów zapakowaliśmy się do łodzi i popłynęliśmy wzdłuż brzegu. Słońce chyliło się ku zachodowi, kładąc na niebie czerwone, zielone i złote smugi, kiedy dotarliśmy do idealnego naszym zdaniem miejsca. Była to mała, okrągła zatoczka z niewielką plażą otoczoną wyniosłymi skałami, które w świetle zachodzącego słońca nabrały koloru mandarynki.

– Uroczy widok – zachwycała się matka.

– Tutaj zjemy urodzinowy obiad – rzekł Max.

W ginących promieniach słońca piękno tego miejsca rzeczywiście zapierało dech w piersiach.

Spiro objaśnił Takiemu, że tu będzie nasz nocleg. Niestety Taki nigdy tu przedtem nie był i nie wiedział, że w poprzek zatoki ciągnie się łacha piachu. Z dużą szybkością wykręcił łódź i zanim się zorientował, wpadliśmy na mieliznę. Łódź zadrżała i stanęła w miejscu. Matka, która stała wtedy na dziobie, podziwiając zachód słońca, straciła równowagę i wypadła za burtę. Chociaż czasami dawała się namówić na zanurzenie się w płytkiej wodzie w bardzo upalny dzień, nie umiała pływać. Wszyscy, z wyjątkiem Takiego, o tym wiedzieli. Jak jeden mąż rzuciliśmy się na ratunek – łącznie ze Spirem, który matkę wprost uwielbiał, ale również nie umiał pływać. Powstał nieopisany chaos.

Donald i Max zderzyli się w wodzie głowami. Leonora skacząc zaczęła o burtę i paskudnie rozcięła sobie stopę. Margo sądząc, że matka znajduje się pod wodą, zanurkowała głęboko i zaczęła w panice szukać ciała, aż zabrakło jej powietrza i musiała wypłynąć na powierzchnię. Matkę chwycili wreszcie Leslie i Mactavish. Larry zdał sobie nagle sprawę, że Spiro nie umie pływać, i złapał go w chwili, gdy ten po raz trzeci zniknął pod powierzchnią. Spiro zanurzając się i wypływając nie przestawał krzyczeć: „Nie martwić się, pani Durrell! Nie martwić!”, w przerwach plując morską wodą. Leslie i Mactavish dociągnęli dyszącą i prychnającą matkę na płyciznę, gdzie mogła usiąść i odkaszlnąć wodę, której się napiła, a Larry przyciągnął Spira. Gdy doszli do siebie, zaprowadziliśmy ich z powrotem na łódź i zaaplikowaliśmy im brandy; mamie, aby otrząsnęła się z szoku po wpadnięciu do wody, i Spirowi, który musiał na to patrzeć.

– Boże, pani Durrell – wyjąkał Spiro. – Myślał, że pani utopnie.

– Myślałam dokładnie to samo – odparła matka. – Jeszcze chyba nigdy w życiu nie byłam

w tak głębokiej wodzie.

– Ja też – powiedział poważnie Spiro.

Wspólnymi siłami udało się nam oswobodzić łódź, spychając ją z mielizny i ustawiając silnik na wsteczny. Taki po zbadaniu dna skręcił ją lekko w bok i już bez dalszych kłopotów wpłynęliśmy do zatoki.

Rozpaliliśmy ognisko na plaży, zjedliśmy ośmiornicę i drobną mątwę, które leżały schowane w lodówce, a na koniec zimnego kurczaka i owoce.

– Widzisz, jaki miałem świetny pomysł, żeby zabrać lodówkę? – oświadczył dumnie Larry, wypychając sobie do ust ramię ośmiornicy.

– Tak, kochanie – przyznała matka – z początku nie podobał mi się ten pomysł, ale okazał się doskonały, chociaż oczywiście lód topi się znacznie szybciej na łodzi niż w willi.

– Ma prawo. Ale dotrwa do końca.

Księżyc był tak piękny, że wszyscy położyliśmy się w płytkiej wodzie. Rozmawialiśmy popijając. Nie można było znaleźć spokojniejszego miejsca.

Nagle powietrze rozdarły odgłosy wystrzałów, które odbiły się głośnym echem o skały.

Leslie i Mactavish nic nam nie mówiąc poszli na drugi koniec plaży, zabierając rewolwer matki. Mactavish pokazywał Lesliemu, jak szybko strzela się w policji konnej.

– Boże święty! – zawołał Larry. – Co oni sobie wyobrażają? Zamieniają zatokę w strzelnicę w Bisley, czy co?

– Rany! – przestraszył się Spiro. – Myślał, że to te cholerne Turki.

– Leslie, kochanie! – krzyknęła matka. – Natychmiast przestań!

– My tylko ćwiczymy! – odkrzyknął.

– Ale nie zdajecie sobie sprawy, ile robicie hałasu! Huk wystrzałów odbija się od skał, że aż głowa pęka!

– No, dobra – ustąpił niechętnie.

– Cały Leslie – powiedział Larry. – Nie ma za grosz artyzmu. Dokoła piękne, ciepłe morze, aromatyczne wino i pełnia księżyca, a on co robi? Lata gdzieś i strzela z rewolweru.

– No cóż, ty też robisz rzeczy, które nas denerwują – ucięła Margo.

– Co na przykład takiego zrobiłem? – spytał Larry. – Nic. Jestem bez wątpienia jedynym normalnym członkiem tej rodziny.

– Jesteś tak normalny jak... jak lunatyk – prychnęła Margo.

– Kochani, nie kłóćcie się – prosiła matka. – Przecież dziś są moje urodziny.

– Coś pani zagram – zaproponował Sven i zaczął grać na akordeonie melodie słodkie i piękne, które świetnie pasowały do nastroju i otoczenia.

Później przynieśliśmy na brzeg materace, rozłożyliśmy je na plaży i kolejno zapadliśmy w sen.

Następnego ranka po śniadaniu i szybkiej kąpieli wskoczyliśmy na pokład. Wyciągnęliśmy kotwicę. Taki zapalił silnik, który zakaszłał i zgasł; łódź przesunęła się o metr.

– O Boże, tylko nie mów, że mamy kłopoty z silnikiem – zaniepokoił się Larry.

Spiro z ponurą miną poszedł poradzić się Takiego. Mruczeli coś między sobą, po czym Spiro podniósł nagle gniewnie głos, zaczął ryczeć jak byk i ciskać na głowę Takiego ostre przekleństwa.

– Co się, u diabła, stało? – dopytywał się Larry.

– Ten głupiec, cholernik. – Spiro czerwony z wściekłości wskazywał drżącym grubym palcem Takiego. – Ten cholernik, niech pani mi wybaczyć te słowa, pani Durrell, zapomniał więcej benzyny!

– Dlaczego zapomniał? – spytaliśmy chórem.

– Mówi, że chciał, ale zapomniał, kiedy miał iść i ładować lodówkę.

– No i właśnie! – powiedziała matka triumfująco. – Wiedziałam! Mówiłam, żeby nie ruszać tej lodówki!

– Nie zaczynaj od początku – zdenerwował się Larry. – Gdzie tu w pobliżu możemy nabrać benzyny?

– Taki mówi, że w Metaloura – rzekł Spiro.

– No to nie ma problemu – rzekł spokojnie Mactavish. – Dopłyniemy tam pontonem.

– Czyż nie uszło twojej uwagi, że nie mamy pontonu? – zauważył Donald.

Dziwne, ale nikt się tym nie zainteresował. Wyruszając na taką wyprawę zwykle doczepiano do *benzyny* mniejszą łódź.

– No cóż – Mactavish napiął mięśnie. – Jestem silny jak wół. Popłynę i sprowadzę pomoc.

– Niestety – mruknął Spiro – to prawie dziesięć kilometrów.

– Będę odpoczywał na plażach czy gdziekolwiek indziej. Noc to doskonała pora. Wróć rano.

Spiro zmarszczył chmurnie czoło, po czym odwrócił się do Takiego i powtórzył mu słowa Mactavisha. Ale Taki gwałtownie potrząsnął głową. Brzegi są skaliste i nie da się znaleźć miejsca na odpoczynek.

– O Boże! – zawołała matka. – Co my teraz zrobimy?

– Będziemy tu siedzieć – odparł Larry. – To proste.

– Co przez to rozumiesz? – spytała matka.

– Będziemy tu siedzieć i czekać na przepływającą łódź. Wtedy damy jej sygnał, a ona przywiezie nam benzynę z lądu. Nie wiem po co tyle zamieszania.

– Panicz Larry ma rację, pani Durrell – rzekł posepnie Spiro. – Nie możesz zrobić nic innego.

– Poza tym tu jest cudownie – stwierdził Larry. – Jeśli już łódź miała się popsuć, nie

możliśmy znaleźć lepszego miejsca na dłuższy postój.

Wyszliśmy na brzeg i rozsiedliśmy się na plaży. Na dziobie naszej nieczynnej jednostki pływającej pozostał Taki; usiadł po turecku i zaczął się wpatrywać w zatokę, czekając na rybaków, którzy mogliby nas wyratować.

Dzień minął w miłej atmosferze, ale nie pojawiła się żadna łódź i matka pod wieczór była coraz bardziej niespokojna.

– Naprawdę mam, po co te nerwy? – prychnął Larry. – Jutro na pewno ktoś przyplynie, a poza tym mamy mnóstwo zapasów.

– Problem w tym – zauważyła matka – że wcale nie mnóstwo. Nie przewidziałam takich komplikacji, a do tego łódź topi się tak szybko, że jeśli jutro nie będzie łodzi, połowa jedzenia się zepsuje.

Nie rozpatrywaliśmy dotąd naszej sytuacji od tej strony. Mała zatoczka otoczona skałami nie mogła zaoferować tego, co wysepka Robinsona Crusoe. Znajdowało się tu jedynie małe źródło, z którego woda spływała kropelkami po skalnej ścianie, tworząc sadzawkę. Teodor odkrył w niej tyle różnych form życia, że nikt nie uznałby tego za zbiornik wody pitnej nawet w przypadku wyczerpania się naszych zapasów.

– Mamusia się nie martwi – uspokajał Max obejmując ją opiekuńczo. – Jeśli potrzeba, my wziąć się za łódź i pchać ją z powrotem na Korfu.

– Idiotyczna sugestia – powiedział oschle Donald. – Pomysł typowy dla ludzi z kontynentu. Bóg wie, ile ona waży. Nie da rady jej ruszyć.

– Obawiam się, że Donald ma rację – przyznał Mactavish. – Chociaż jestem wcale krzepki jak na swój wiek, wydaje mi się, że nawet wspólnymi siłami nie popchniemy jej daleko.

– Przestańcie krakać – zdenerwował się Larry. – Przecież całe wybrzeże usiane jest łodziami rybackimi. Jutro musi się coś pokazać.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – rzekła matka. – W przeciwnym razie będę musiała racjonować żywność.

– Poza tym... wiem, że to nieistotne... ale niektóre z gatunków, jakie zdobyłem – odezwał się Teodor – są bardzo rzadkie i jeśli ich szybko... ehm... nie dostarczę na Korfu, obawiam się, że... mhm... one, wiecie, rozpadną się.

Położyliśmy się spać w nie najlepszych humorach. Taki i Spiro na zmianę zasiadali na dziobie i wpatrywali, czy nie przepływają przypadkiem jacyś nocni rybacy, których można by było dostrzec dzięki karbidowym lampom na łodziach. Tymczasem wstał świt, a pomoc nie nadchodziła. Na dodatek łódź, który postanowił stopnieć, zaczął niknąć w zastraszającym tempie i musieliśmy zakopać w piasku sporą część mniej trwałej i łatwo psującej się żywności przygotowanej przez matkę. Lunch był bardzo skromny.

– O Boże! – rozpaczła matka. – Żałuję, że tu przyjechaliśmy.

– Mamusia się nie martwi – pocieszał Max. – Pomoc idzie, ja czuć to w kościach.

– Larry ma rację – zgodził się Donald. – Tutaj jest mnóstwo łodzi rybackich. Wcześniej czy później jakaś musi się pojawić.

– Lepiej wcześniej niż później – powiedziała matka. – W przeciwnym razie grozi nam śmierć głodowa.

– To wszystko wina Larry’ego! – naburmuszył się Leslie, gdyż głód zaczął mu już dokuczać.

– Ta wyprawa to jego pomysł!

– Nie zwalaj teraz na mnie! – zawołał Larry. – Ty też chciałeś jechać, tak samo jak ja. Gdyby wszystko zostało zorganizowane jak należy, teraz byśmy tu nie tkwili.

– Zgadzam się z Leslieem – odezwała się Margo. – To był pomysł Larry’ego.

– To nie ja wymyśliłem, żeby nie zabrać benzyny i znaleźć się w odludnej zatoce otoczonej niedostępnymi skałami, dziesięć kilometrów od najbliższego miejsca, gdzie można dostać benzynę – oświadczył Larry.

– No, no, kochani – uspokajała matka. – Nie kłóćcie się. Donald na pewno się nie myli. Niedługo zjawi się jakaś łódź.

– Tymczasem, droga pani Durrell – powiedział Sven – zagram coś pani dla ukojenia nerwów.

Niestety wybrał Bacha, wychodząc z założenia, że skoro jemu przynosi ulgę, pomoże również nam.

Minął kolejny dzień i żadna łódź się nie pojawiła. Lód topniał w oczach, podobnie jak nasze zapasy. Wieczorny posiłek skłoniłby nawet Oliviera Twista do prośby o dokładkę.

– Cholerne łodzie! – zaklął Larry. – Krażą wzdłuż wybrzeża tam i z powrotem. Dlaczego, u diabła, nie mogą łowić tutaj?

– Może dziś w nocy przyplynie jakiś rybak? – zastanawiał się Mactavish.

Chociaż Spiro i Taki stali na straży, nic nie pojawiło się na horyzoncie. Na śniadanie każdy otrzymał przejrzałe już brzoskwinie. Lunch składał się wyłącznie z arbuźów i chleba.

– Ile jeszcze mamy jedzenia? – zapytał Larry po posiłku.

– Na szczęście nie jadam za wiele – powiedział Teodor i dodał pospiesznie: – To znaczy na szczęście dla mnie.

– Jeśli nic się nie zmieni w najbliższym czasie, nie wiem, co zrobimy – rzekła matka, bliska paniki, mimo naszych wysiłków, by ją uspokoić.

– Przystawmy się na kanibalizm – zaproponował Larry.

– Larry, kochanie nie żartuj w ten sposób – strofowała go matka. – To wcale nie jest śmieszne.

– Jakby co – oznajmił Mactavish – jestem, ha, ha, raczej żyłasty.

– Och! Zacznijemy od ciebie – Larry spojrział na niego złowroźnie. – Potraktujemy cię jako

niejadalną przystawkę. Ale czuję, że Leonom, upieczona powoli na piasku, jak to robią w Polinezji, będzie absolutnie smakowita. Paluszki, pośladki i piersi.

– Larry, jesteś ohydny – obruszyła się Margo. – W żadnym wypadku nie zjadłabym człowieka.

– Cholernie złe maniery – skrzywił się Donald. – Tylko kolorowi zjadają się nawzajem.

– Niesamowite jednak, do czego jesteśmy zdolni, gdy stajemy wobec konieczności – wtrącił Teodor. – To chyba zdarzyło się w Bośni. Parę wiosk zasypał śnieg na wiele miesięcy i... ehm... sporo mieszkańców przeszło na kanibalizm.

– Proszę, przestańcie mówić o kanibalizmie! – zawołała matka. – Tylko pogarszacie sytuację.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie – przypomniał Larry. – Ile mamy jeszcze jedzenia?

– Arbuzy, trzy zielone papryki i dwa bochenki chleba – odparła matka. – Taki spróbuje złapać jakąś rybę, ale twierdzi, że nie jest to najlepsze miejsce na łowienie.

– Powinny być jeszcze nóżki jagnięce – przypomniał sobie Larry.

– Tak, kochanie, ale łódź prawie całkiem stopniała i popsuły się. Musiałam je więc zakopać.

– Dobry Boże! Pozostaje nam więc kanibalizm!

Minął kolejny dzień. Wieczorem zjedliśmy wyschnięty chleb, pomarszczone papryki i arbuza. Taki i Spiro zasiedli znów na dziobie, a my poszliśmy spać z dokuczliwym ssaniem w żołądku.

Noc przeszła i nic się nie wydarzyło. Nasza sytuacja z komicznej stała się mocno niewesoła. Zebraliśmy się w łodzi na naradę wojenną. Moja sugestia, że przetrwamy jeszcze kilka dni jedząc mięczaki, została z miejsca odrzucona.

– Psują mi się zbiory – martwił się Teodor.

– Pal licha twoje piekielne zbiory! – zawołał Larry. – Gdybyś zebrał coś większego niż te twoje mikroskopijne żyjątka, mielibyśmy teraz co jeść.

– Naprawdę nie wiem, co robić – zatroskała się matka.

Dla każdego zostało jedynie po małej porcji chleba.

– Chyba wszyscy tu po prostu umrzemy – ciągnęła – a nie jest to miejsce, w którym chciałabym zostać pochowana.

– Mamusia nie umrzeć – powiedział tkliwie Max. – Jeśli potrzeba, ja spełnię samobójstwo i ty mnie zjesz.

Tak niezwykle poświęcenie odebrało matce mowę.

– To bardzo miło z twojej strony – odezwała się wreszcie – ale mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

W tym momencie Spiro, stojący na dziobie łodzi, wydał okrzyk, podobny do ryku byka, który odbił się wielokrotnym echem od skał.



– Tutaj! Tutaj! – wrzeszczał wymachując rękami.

W poprzek wejścia do zatoki płynęła mała łódka z wyraźnie zużyтым silnikiem.

– Tutaj! Tutaj! – ryczał po grecku Spiro. – Płyn tutaj!

Głos Spira był tak donośny i głęboki, a krępa budowa ciała dawała taką siłę w płucach, że wołanie, spotęgowane jeszcze rezonansem wśród skał, dotarło do mężczyzny w łodzi. Ten odwrócił się i spojrzał w naszym kierunku. Wszyscy rzuciliśmy się na dziób i zaczęliśmy wykonywać dzikie gesty, by go przywołać. Mężczyzna wyłączył silnik. Spiro ryknął jeszcze raz:

– Płyn tutaj! Płyn tutaj!

– Kto? Ja? – upewniał się mężczyzna.

– No pewnie, że ty! – odparł Spiro. – A któż by inny!

– Chcesz, abym przypłynął do ciebie? – powtórzył pytanie dla pełnej jasności.

Spiro odwołał się do świętego Spirydona i innych świętych.

– Oczywiście, że ty! Kogo tam jeszcze widzisz? Mężczyzna rozejrzał się uważnie dokoła.

– Nikogo! – odparł.

– Mówię więc do ciebie!

– Czego chcesz? – zainteresował się mężczyzna.

– Jeśli przypłyniesz bliżej, to ci powiem! – wrzasnął Spiro i mruknął pod nosem: – Idiota!

– Dobra!

Mężczyzna włączył silnik i zryzgakami podpłynął do nas.

– Dzięki Bogu! – szepnęła matka drżącym głosem. – Och, dzięki Bogu!

Muszę powiedzieć, że w tym momencie wszyscy mieliśmy podobne odczucia.

Podpłynęła do nas około dwumetrowa łódź i uderzyła lekko w naszą burtę. Mężczyzna miał skórę koloru orzecha laskowego, ogromne ciemnoniebieskie oczy i kędzierzawą czuprynę. Nawet jeśli nie był idiotą, od razu dało się zauważyć, że ma z nim wiele wspólnego. Uśmiechnął się przymilnie do zebranych na łodzi i powiedział:

– *Kalimera.*

Odetchnęliśmy z ulgą i odpowiedzieliśmy na powitanie.

– Słuchaj! – Spiro wziął sprawy w swoje ręce. – Mamy...

– Jesteś Grekiem? – przerwał rybak, patrząc na niego z zainteresowaniem.

– Oczywiście, że jestem Grekiem – zawołał Spiro – ale chodzi o to, że...

– Wszyscy jesteście Grekami? – dopytywał się rybak.

– Nie, nie – zniecierpliwiał się Spiro – to cudzoziemcy. Ale chodzi o to, że...

– Aha, cudzoziemcy! Lubię cudzoziemców.

Delikatnie zdjął z nogi martwą ośmiornicę, która musiała mu przypadkowo spaść.

– Może chcieliby kupić ryby?

– Nie chcemy kupować ryb! – wrzasnął Spiro.

– Ale cudzoziemcy lubią ryby – ciągnął niezrażony tym rybak.

– Ty głupcze! – nie wytrzymał Spiro. – Nie chcemy ryb, tylko benzyny!

– Benzyny? – zdziwił się rybak. – A po co wam benzyna?

– Do tej łodzi!

– Niestety, nie mam tyle – rzekł rybak i zerknął na mały kanister stojący na dziobie łodzi. –

A skąd oni pochodzą?

– To Anglicy, ale posłuchaj. Chcę...

– Anglicy to dobrzy ludzie. Niedawno jeden z nich kupił ode mnie dwa kilo ryb. Policzyłem mu dwa razy więcej i nic nie zauważył.

– Posłuchaj! Potrzebujemy benzyny i chcę, żebyś...

– Czy to rodzina? – ciągnął dalej rybak.

– Nie, nie rodzina – odparł Spiro – ale chciałbym, żebyś...

– Wyglądają jak rodzina – nie dawał za wygraną rybak.

– Ale nie są – uciał Spiro.

– Ale oni wyglądają jak matka i ojciec. – Rybak pokazał na matkę i Svena. – A reszta jak ich dzieci. Ten z brodą to pewnie dziadek. Z jakiego regionu Anglii pochodzą?

Czuliśmy, że jeśli ta rozmowa dalej będzie przebiegała w tym duchu, Spiro chwyci pustą butelkę po winie i roztrzaska ją na głowie mężczyzny.

– Nie uważasz, że powinienem zamienić z nim kilka słów? – spytał Mactavish.

– Nie – odezwał się Larry. – Pozwól, że ja się tym zajmę. Wychylił się za burtę i słodkim głosem powiedział po grecku:

– Posłuchaj, mój drogi, jesteśmy rodziną z Anglii.

– Bardzo się cieszę. – Rybak uśmiechnął się szeroko.

– Przyплыliśmy tutaj łodzią i zabrakło nam benzyny – tłumaczył powoli Larry. – Nie mamy także żywności.

– Nie macie benzyny? – zdziwił się mężczyzna. – Przecież wtedy nie możecie płynąć.

– O to właśnie chodzi. Czy nie mógłbyś nam pożyczyć swojej łodzi, abyśmy mogli pojechać do Metaloura, kupić benzynę i powrócić?

Rybak powoli przyswajał sobie te informacje, grzebiąc nogą w stosie cefali, ośmiornic i kałamarnic leżących na dnie łodzi.

– Zapłacicie mi? – spytał niespokojnie.

– Zapłacimy ci pięćdziesiąt drachm za zawieszenie jednego z nas do Metaloura i dodatkowe pięćdziesiąt drachm za powrót.

Mężczyzna na moment otworzył szeroko oczy, zaskoczony tak hojną propozycją.

– A nie dalibyście pięćdziesięciu pięciu drachm? – zaczął się targować bez przekonania, gdyż czuł, że cena jest zbyt wysoka za tak niewielką przysługę.

– Ależ, mój drogi – obruszył się Larry – mój złociutki, wiesz, że proponuję ci uczciwą cenę i że cię nie oszukam. Czy chcesz powiedzieć, że może ty oszukasz nas? Ty, Grek, cudzoziemców w swoim kraju?

– Nigdy! – zapierał się rybak gorąco, zapominając o swojej historii z Anglikiem. – Grek nigdy nie oszuka cudzoziemca w swoim kraju!

Oto pieniądze – rzekł Larry wyjmując dwa banknoty pięćdziesięciodrachmowe. – Przekazuję je temu człowiekowi. Tak jak ty jest Grekiem; będzie je trzymał, a gdy wrócisz z benzyną, dopilnuję, żeby ci je przekazał bez żadnych oszustw.

Mężczyzna był tak wzruszony, że zgodził się od razu. Larry powoli włożył banknoty do kieszeni kurtki Spira.

– A teraz, na litość boską, Spiro pakuj się do tej cholernej łodzi i przywieź nam trochę benzyny – powiedział po angielsku.

Spiro, kawał chłopca, z niejakim trudem przelazł przez burtę i ostrożnie przeszedł na drugą łódź, która pod jego ciężarem zanurzyła się o dodatkowe kilkanaście centymetrów.

– Chcesz, żebym wyruszył teraz, czy wieczorem? – spytał rybak, patrząc na Larry’ego.

– Teraz! – krzyknęli natychmiast chórem wszyscy mówiący po grecku.

Rybak zapalił silnik i skierował łódź w stronę wejścia do zatoki. Spiro siedział na dziobie niczym potężna i groźna figura dziobowa.

– Och! – wykrzyknął Donald, gdy łódź zniknęła za cyplem. – Jakież zaniedbanie z naszej strony!

– Co się stało? – zapytał Larry.

– Gdybyśmy kupili od niego ośmiornice i ryby, byłby lunch! – oznajmił żalonym głosem.

– O Boże, masz rację! Mamo, dlaczego na to nie wpadłaś?!

– Nie rozumiem, czemu uważasz, że mam o wszystkim pamiętać, kochanie – zaprotestowała matka. – Myślałam, że podholuje nas do brzegu.

– Zawsze możemy zjeść na lunch mięczaki – zaproponowałem.

– Jeśli jeszcze raz wspomnisz o tych świństwach, to się rozchoruję – ostrzegła Margo.

– Tak, lepiej się nie odzywaj – mruknęła Leonora. – I tak mamy wystarczająco dużo problemów.

Na różne sposoby próbowaliśmy oderwać myśli od jedzenia. Leslie uczył Mactavisha, jak szybko dobyć rewolwer zawieszony na biodrze. Leonora i Margo na przemian kąpały się i opalały. Larry, Sven, Donald i Max dyskutowali bez entuzjazmu o sztuce i literaturze. Matka kończyła robić na drutach jakiś skomplikowany ścieg, ciągle gubiąc oczka. Teodor wspomniał ponownie, ku ogólnemu rozdrażnieniu, że na szczęście je niewiele, i oddalił się chwiejnym krokiem w poszukiwaniu nowych żyjątek w sadzawce u podnóża skał. Ze scyzorykiem w ręku poszedłem między skały i rzuciłem się żarłocznie na mięczaki.

Popijaliśmy na pusty żołądek wino, którego zostało jeszcze sporo, tak że pod wieczór Donald i Max tańczyli kolejny taniec środkowoeuropejski, podczas gdy Larry uczył Svena grać na akordeonie „The Eton Boating Song”. Matka, uspokojona mającą nadejść wkrótce pomocą, zasnęła wśród rozwrzeszczanego towarzystwa. Robiło się coraz później i później i wszyscy zaczęli myśleć o tym samym. Czy Spiro razem ze zwariowanym rybakiem rzeczywiście dopłynęli do celu, czy też podobnie jak my utknęli w nie zamieszkanym zatoce. Rybak nie wyglądał na kogoś, kto zna się na nawigacji. Zaczęło się ściemniać, wino wyparowało z głów, a wraz z nim rozbawienie. Siedzieliśmy z pośepnymi minami, rzucając od czasu do czasu raczej zjadliwe uwagi, zupełnie jak pod koniec dobrego przyjęcia, kiedy każdy marzy o tym, by inni poszli do domu. Zapadający zmrok wygasił wszelki zapach nioby popiół rzucony na rozżarzone węgle. Nawet niebo, które w smugach złota wyglądało jak jarząca się miedź, nie dawało żadnej nadziei.

Niespodziewanie na złotoniebieskie wody zatoki wpłynęła mała rybacka łódź. Na rufie siedział nasz szalony rybak, a na dziobie podobny do buldoga Spiro. W jednej chwili cały kunsztowny wzór, który zachód namalował na niebie i wodzie, zajaśniał blaskiem. Nadeszła pomoc! Wrócili!

Zebraliśmy się wszyscy na brzegu. W pewnym momencie rybak wyłączył silnik i łódź płynęła dalej własnym rozpędem. Gdy tylko ucichł ryk silnika, Spiro krzyknął swym donośnym głosem:

– Nie martwić się, pani Durrell, załatwione!

Z naszych piersi jednocześnie dobyło się westchnienie ulgi. Jeśli Spiro twierdził, że coś załatwił, to znaczy, że tak było. Dziób zachrzęścił na piasku. Na dnie łodzi pomiędzy Spirem i rybakiem leżała upieczona owca wbita na rożen i wielki kosz pełen najróżniejszych owoców.

Spiro wygramolił się i zaczął brnąć w wodzie jak jakiś morski potwór.

– Dostać jedzenie – oznajmił – ale nie mieli benzyny.

– Do diabła z benzyną! – zawołał Larry – Dawaj żarcie!

– Tak, tak, paniczku Larry, benzyna teraz nieważna – odparł Spiro.

– Ale jeśli nie znajdziemy benzyny, nigdy się stąd nie wydostaniemy – jęknęła matka. – A ta owca nie wytrzyma w takim upale, gdyż lód już całkiem stopniał.

– O nic niech głowa pani nie pęka, pani Durrell – powtórzył Spiro. – Powiedzieć, że załatwić, to załatwić. Sprowadzić wszystkie rybacy tu i oni nas zabrać.

– Jacy rybacy? – spytał Larry. – Jedyny, jakiego znamy, to ten uciekinier z miejsca odosobnienia.

– Nie, nie, paniczku Larry – rzekł Spiro. – Chodzi mi o rybacy z Korfu. Ci, co wypływać nocą.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ja wiem – wtrąciłem się, rad ze sposobności zademonstrowania mojej wiedzy. – Nocą wypływa cała flotylla łodzi z latarkami. Łowią przy świetle sieciami i od nich pochodzą najlepsze okazy z moich zbiorów.

– Czy to oni ci dali tego niezwykłego *argonauta argus*? – spytał z zainteresowaniem Teodor.

– Tak – potwierdziłem – i rzadki gatunek rozgwiazdy.

– Mam nadzieję, że można na nich polegać – mruknął Larry.

– Załatwić to, paniczu Larry – powtórzył Spiro nieco urażonym tonem. – Powiedzieć, że być tu o drugiej rano.

– A więc po zakończeniu połowu? – dopytywał się Teodor. – Tak.

– Może udało im się złowić jakieś interesujące okazy.

– Też o tym pomyślałem – rzekłem.

– Na litość boską, skończcie gadać o okazach i zabierzmy się do wyładowania jedzenia – zniecierpliwiał się Larry. – Nie wiem, jak reszta, ale ja umieram z głodu.

Ostrożnie wyjęliśmy mięso, opieczone i gładkie jak odymiony dąb, i kosz z owocami. Przenieśliśmy całość na naszą łódź tak, żeby najmniejszy nawet kęs nie zabrudził się w piasku, i tam urządziliśmy sobie wyśmienitą ucztę.

Był środek nocy, światło księżyca rzucało na powierzchnię wody pomarańczowe, żółte i białe smugi. Brzuchy mieliśmy napełnione, w głowach huczało od wypitego w nadmiarze wina. Sven grał bez przerwy na akordeonie, gdy reszta próbowała tańczyć polki, walce i skomplikowane tańce austriackie proponowane przez Maxa. Podskakiwaliśmy z taką werwą, że w pewnym momencie Leonora wyleciała za burtę, wzbijając fontannę wody na kształt fosforyzującej chryzantemy.

O drugiej nad ranem przybyła flotylla łodzi i zajęła swoje stanowiska; światełka latarek układały się szeregiem w poprzek wejścia do zatoki jak sznur białych pereł. Po chwili jedna z łodzi terkocząc zbliżyła się do nas. Nastąpiła typowa dla Greków ostra wymiana zdań, aż echo zagrzmiało po skałach, po czym przywiązano naszą łódź i doholowano do pozostałych.

Wszystkie łodzie skierowały się na Korfu. Czuję się pośród migających światełek jak na ogonie komety mknącej przez ciemne przestrzenie kosmosu.

Gdy prowadząca łódź łagodnie dobiła do pomostu przy starym forcie, matka odetchnęła z ulgą:

– Było całkiem przyjemnie, ale cieszę się, że mamy to już za sobą.

W tym momencie mniej więcej szesnastu podchmielonych rybaków, porwanych nastrojem całego wydarzenia, z energią typową dla Greków, zaczęło pod kierunkiem Spira przenosić lodówkę z naszej łodzi na pomost. Gdy nie udało im się jej podnieść z jednej strony, chwycili ją z drugiej i w rezultacie połowa rybaków wraz z lodówką wylądowała w wodzie na głębokości

około dwóch sążni.

– A nie mówiłam! – zawołała matka. – To już koniec. Wiedziałam, że nie powinniśmy zabierać lodówki!

– Bzdura! – rzekł spokojnie Larry. – Jutro rano wydostaniemy ją bez najmniejszego problemu.

– Ale co ja bez niej zrobię? – wykrzyknęła. – Muszę przygotować jedzenie na trzy, cztery dni!

– Och, nie rób tyle zamieszania. Można by pomyśleć, że spotkała nas jakaś katastrofa.

– Może dla ciebie to nie jest katastrofa, ale dla mnie na pewno! – odparła matka lodowato.

Uściskawszy wszystkich na pożegnanie, wsiedliśmy do samochodu i Spiro zawiózł nas do willi. Chociaż Larry mruczał radośnie, i chociaż Leslie ukazywał matce piękno i złożoność mechanizmu rewolweru z perłową rękojeścią, chociaż Margo próbowała przekonać ją, że długość sukienki jest idealna dla niej i chociaż nawet ja starałem się ją rozweselić opowiadaniem o nowo złowionym jej siatką rzadkim gatunku motyla, matka pozostała niewzruszona przez całą drogę. Bez wątplenia utrata cennej lodówki bardzo ją dotknęła.

Po wejściu do domu naląła sobie brandy i siadła na sofie, zastanawiając się pewnie, jak poradzi sobie z posiłkami do czasu wydobywania lodówki z głębin morskich, co niewątpliwie nastąpi, jak wszyscy, łącznie ze Spirem, zapewnialiśmy.

Larry znalazł jakieś listy do siebie. Napełniwszy szklaneczkę winem zaczął je z zainteresowaniem otwierać.

– Och, świetnie! – wykrzyknął przy drugim liście. – Przyjeżdżają Grubensteinowie... razem z Gertrudą!

Uwaga ta wyrwała matkę z gastronomicznego transu.

– Grubensteinowie? – powtórzyła. – Chyba nie mówisz o tym okropnym tłustym człowieczku, który wygląda, jakby nie mył się przez sześć tygodni, i o jego żonie Cygance?

– Wielki talent – zachwycił się Larry. – Będzie z niego niezły poeta. Ona maluje niezwykle pięknie. Gertruda też jest niezwykle interesująca. Polubisz ją.

– Im rzadziej będę ich widywała – oświadczyła z godnością matka – tym większą będę miała przyjemność. Nic nie wiem o tej Gertrudzie, ale państwo Grubensteinowie pozostawiają wiele do życzenia.

– Co rozumiesz przez „im rzadziej będę ich widywała”? – spytał zaskoczony Larry. – Oni przyjeżdżają, aby z nami mieszkać!

– Chyba nie zaprosiłeś ich tutaj!

– Oczywiście, że tutaj – oparł Larry, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. – Nie mają pieniędzy, żeby zatrzymać się gdzie indziej.

– Matka pociągnęła duży łyk brandy i założyła na nos okulary, co było wyrazem

najwyższego zdenerwowania Posłuchaj, Larry – powiedziała stanowczo – to się musi skończyć! Nie życzę sobie, żebyś zapraszał swoich znajomych. Przynajmniej mnie o tym uprzedzaj. Kiedy oni mają zamiar przyjechać?

– Pojutrze – odparł Larry.

– To się musi skończyć – powtórzyła matka – bo inaczej moje nerwy tego nie wytrzymają.

– Nie rozumiem, czemu się czepiasz – zirytował się Larry. – Grubensteinowie tworzą bardzo sympatyczne trio. A poza tym właśnie wróciłaś z bardzo miłego odpoczynku, prawda?

### III

#### Przewóz żółwi

Pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, kiedy widać było, że wojna zbliża się nieuchronnie, moja rodzina powróciła z Korfu do Anglii. Zamieszkaliśmy na razie w Londynie, a matka dokonywała regularnych najazdów na angielskie wioski, by znaleźć jakiś dom. Dzięki temu mogłem spokojnie zająć się zwiedzaniem. Nie przepadałem za wielkimi miastami, choć znałem tylko Korfu, wielkością odpowiadające małemu angielskiemu miasteczku. Rozległe przestrzenie Londynu musiały jednak kryć w sobie mnóstwo pasjonujących miejsc. Nie mogłem oczywiście ominąć Muzeum Przyrodniczego, nieuniknione stały się też wizyty w zoo, w którym zaprzyjaźniłem się z kilkoma pracownikami. Utwierdziłem się wtedy w przekonaniu, że praca w zoo jest moim powołaniem i gwałtownie zapragnąłem posiadać taki ogród na własność.

W pobliżu naszego mieszkania znajdował się sklep, który absorbował całą moją uwagę. Nazywał się „Akwarium”. W oknie wystawowym stały ogromne zbiorniki z jaskrawo ubarwionymi rybami i, co ciekawsze, rząd oszklonych skrzynek zawierających zaskrońce, wielkie zielone jaszczurki i ropuchy z wylupiastymi oczami. Potrafiłem długo wpatrywać się tęsknie w te cudne istoty. Ale ponieważ miałem już w mieszkaniu całą chmurę małych ptaków, dwie sroki i małpkę, czułem, że przynosząc kolejne żywe okazy, bez względu na kształt i wielkość, ściągnę na siebie gniew rodziny. Mogłem więc tylko stać i marzyć o tych pięknych gadach.

Pewnego ranka, gdy przechodziłem koło sklepu, uwagę moją przykuła wywieszka na jednym z akwariów: „Potrzebny odpowiedzialny pomocnik”. Po powrocie do domu zacząłem się zastanawiać.

- W sklepie zoologicznym na końcu ulicy proponują pracę – oznajmiłem matce.
- Naprawdę, kochanie? – powiedziała matka machinalnie, nie zwracając na mnie uwagi.
- Tak, napisali, że potrzebują młodego, odpowiedzialnego pomocnika. Myślałem, że... żeby się zgłosić – bąknąłem.
- Świetny pomysł – wtrącił Larry. – Może w takim razie zabierzesz tam swoje zwierzaki?
- Nie sądzę, żeby mu na to pozwolili – rzekła matka.
- Jak myślisz, ile oni płacą za taką pracę? – spytałem.
- Raczej niezbyt dużo – odparł Larry. – Nie wydaje mi się, żebyś pasował do określenia „odpowiedzialny”.
- Ale coś muszą mi zapłacić, prawda?
- Czy nie jesteś za mały, żeby podjąć pracę? – zastanawiał się Larry.
- Mam prawie szesnaście lat.



– W takim razie idź i spróbuj swoich sił.

Następnego ranka poszedłem do sklepu. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Niski, szczupły mężczyzna o ciemnej cerze, w wielkich okularach w rogowej oprawce, ruszył ku mnie zwawo.

– Dzień dobry, dzień dobry szanownemu panu! – przywitał się. – Czym mogę służyć?

– Podobno... ehm... potrzebuje pan pomocnika? – mruknąłem.

Przekręcił głowę na bok i otworzył szeroko oczy.

– Pomocnika? – powtórzył. – To znaczy, że chciałbyś dostać tę pracę?

– No... tak.

– Czy masz jakieś doświadczenie? – spytał z powątpiewaniem.

– Och, ogromne. Zawsze trzymam w domu różne gady, ryby i tym podobne rzeczy. Mam ich całe mnóstwo.

Mężczyzna spojrzał na mnie uważnie.

– Ile masz lat?

– Szesnaście... prawie siedemnaście – skłamałem.

– No cóż, nie otrzymasz zbyt dużo pieniędzy. Traktuję to jako nadzwyczajny wydatek. Na początek mogę ci dać jedynie funt dziesięć.

– Dobrze – zgodziłem się. – Kiedy zacznę?

– Najlepiej od poniedziałku – odparł. – Do tego czasu zdążę przygotować wszystkie dokumenty. W przeciwnym razie zrobi się bałagan, prawda? Aha, nazywam się Romilly.

Także się przedstawiłem, po czym oficjalnie uścisnęliśmy sobie ręce. Przez długą chwilę staliśmy patrząc na siebie. Nie ulegało wątpliwości, że Romilly nigdy dotąd nikogo nie zatrudniał i nie bardzo wiedział, jak się zachować. Pomyślałem, że mu pomogę.

– Może by mnie pan oprowadził po sklepie? – zaproponowałem. – I wyjaśnił, czego ode mnie oczekuje.

– Cóż za świetny pomysł! – zawołał. – Wprost doskonały! Skakał po sklepie, wymachując rękami jak motyl skrzydłami i pokazywał mi, jak czyścić akwarium dla ryb, jak wrzucać larwy żabom i żółwiom, gdzie stoją szczotki i miotły. Piętro niżej mieściła się piwnica, gdzie trzymano pokarm dla ryb, siatki i inne rzeczy. Stała tam też wielka miska z kapiącą do niej cały czas wodą, w której znajdowało się coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak surowe serce owcy. Z bliska okazało się, że są to zbite w zwartą kulę rureczniki. Te jasnoczerwone robaki stanowiły przysmak ryb, podobnie jak niektórych płazów i gadów. Odkryłem, że poza niezwykłymi okazami na wystawie w środku znajduje się ich jeszcze więcej – skrzynki pełne jaszczurek, żółwi wodnych i lądowych, lśniących węży, zbiorniki z wilgotnymi, nadymającymi się żabami, traszki z ogonami falującymi jak proporce. Po tyłu miesiącach w zakurzonym i suchym Londynie sklep wydał mi się istnym rajem.

– A więc – rzekł Romilly, gdy oprowadził mnie po całym sklepie – zaczynasz w poniedziałek, tak? Punktualnie o dziewiątej. Nie spóźnij się, dobrze?

Nie wyjawiałem mu, że chyba tylko śmierć mogłaby mnie powstrzymać przed przyjściem do sklepu.

Umówionego dnia za dziesięć dziewiąta kręciłem się po chodniku przed sklepem, aż wreszcie pojawił się Romilly w długim czarnym płaszczu i czarnym filcowym kapeluszu z szerokim, wywiniętym rondem, pobrzękując pękiem kluczy.

– Dzień dobry, dzień dobry – przywitał się. – Cieszę się, że jesteś punktualny. To dobry początek.

Weszliśmy do sklepu. Do moich pierwszych obowiązków należało zamiecenie stosunkowo czystej podłogi, a następnie nakarmienie ryb wijącymi się rurecznikami.

Szybko odkryłem, że Romilly, aczkolwiek sympatyczny, ma niewielkie pojęcie o stworzeniach, którymi się zajmuje. Większość klatek była nieodpowiednio wyposażona, podobnie jak i akwaria dla ryb. Poza tym Romilly uważał, że jeżeli zwierzę zaczęło coś jeść, należy je już karmić tym bez przerwy. Postanowiłem, że zajmę się wyglądem klatek i postaram się umilić trochę życie naszym wychowankom, choć zdawałem sobie sprawę, że będę musiał działać ostrożnie.

– Nie sądzi pan, że jaszczurkom i żółwiom przydałaby się zmiana pokarmu? – spytałem pewnego dnia.

– Zmiana? – Romilly szeroko otworzył oczy. – Jakiego rodzaju?

– Może dać im stonogi? – odparłem. – Moje gady zawsze karmiłem stonogami.

– Jesteś pewien?

– Najzupełniej.

– Na pewno im nie zaszkodzi? – upewniał się Romilly.

– Skąd! One je uwielbiają. Stonogi urozmaicą im nieco dietę.

– Ale skąd je weźmiemy? – spytał z powątpiewaniem Romilly.

– Myślę, że w parku jest ich pełno – odparłem. – Pójdę i poszukam.

– No dobrze – zgodził się Romilly niechętnie. – Jeśli jesteś pewien, że im nie zaszkodzą.

Całe popołudnie spędziłem zatem w parku i udało mi się zebrać duże metalowe pudło stonóg, które trzymałem w stosie podgniłych liści w piwnicy. Gdy dojdę do wniosku, że ropuchom, jaszczurkom, żółwiom znudziły się zwykłe larwy, spróbuję dać im larwy chrząszcza mącznika, a gdy i tym się nasycą, nakarmię je stonogami. Z początku Romilly zaglądał do klatek z lękiem w oczach, sprawdzając czy zwierzęta jeszcze żyją. Widząc, że ropuchy nie tylko nie zdechły, ale zaczęły rechotać, nie posiadał się z radości.

Moje następne zadanie dotyczyło dwóch ogromnych, ale łagodnych ropuch, pochodzących z północnej Afryki. Kraj ten jawił się Romilly’emu jako nie kończąca się pustynia, gdzie słońce

pali dzień i noc, a temperatura nie spada w cieniu poniżej osiemdziesięciu stopni, jeśli w ogóle można znaleźć tam jakiś cień. Uwięził więc te dwie biedne ropuchy w oszklonej skrzyni, umieszczając nad nimi dwie ostre żarówki. Ropuchy siedziały na stercie zwykłego białego piachu, pozbawione jakichkolwiek kamieni, pod którymi mogłyby się schować przed oślepiającym światłem i gorącem. Tylko w nocy, gdy gasiliśmy światła, temperatura nieco spadała. W efekcie oczy ropuch stały się mlecznobiałe jak przy katarakcie, skóra zaczęła się łuszczyć, a podeszwy łap oblażyły ze skóry.

Wiedząc, że propozycja przeniesienia ropuch do nowej klatki na wilgotny mech śmiertelnie przeraziłaby Romilly'ego, postanowiłem umilać im życie potajemnie.

Na początek wziąłem trochę oliwy z oliwek z kuchni matki i gdy Romilly wychodził na lunch, wcierałem ją w skórę obu ropuch. Zapobiegło to dalszemu łuszczeniu. Następnie kupiłem w aptece maść, wyjaśniwszy dla kogo jest przeznaczona, co wywołało rozbawienie, i nasmarowałem im łapy. Pomogło, ale nie przywróciło całkiem dawnego stanu. Użyłem więc specjalnej maści do oczu, którą zwykle stosuje się u psów, co dało wspaniały rezultat. Spryskiwałem także ropuchy wodą, ku ich ogromnemu zadowoleniu. Siedziały wtedy spokojnie mrugając oczami, skrzeczając przyjacielsko, a gdy tylko przesuwalem spryskiwacz, ustawiały się tak, żeby znów się pod nim znaleźć. Położyłem im trochę mchu i natychmiast się w nim zakopały.

– Och, panie Romilly, niech pan patrzy! – powiedziałem udając zdziwienie – przez pomyłkę włożyłem ropuchom trochę mchu i chyba im się spodobało.

– Mech? – powtórzył. – Ale one żyją na pustyni!

– Na niektórych obszarach można spotkać trochę roślinności.

– Myślałem, że tam jest tylko piasek. Jak okiem sięgnąć.

– No, zdarzają się na przykład kaktusy. Ropuchy poza tym są wyraźnie zachwycone.

– Rzeczywiście – zgodził się Romilly. – Sądziś, że powinniśmy go zostawić?

– Tak – odparłem. – Może włożyć im więcej?

– Nie zaszkodzi im, co? Nie zjedzą go przecież, ani się nie uduszą, prawda? – upewniał się.

– Z pewnością nie – uspokajałem.

Od tego momentu moje dwie ulubienice miały mech, w którym mogły się schować, a co ważniejsze, na którym mogły siedzieć, i rany na nogach od razu się zagoiły.

Następnie zająłem się rybami, bo chociaż bardzo smakowały im rureczniki, czułem, że nie miałyby nic przeciwko urozmaiceniu diety.

– Nie moglibyśmy – zaproponowałem niepewnie – dać rybam rozwiłitek?

Otrzymywaliśmy je zwykle z farmy, która zaopatrywała nas we wszystkie produkty sprzedawane w sklepie, takie jak wodorosty, ślimaki wodne i ryby słodkowodne. Miłośnicy rybek kupowali rozwiłitki w specjalnych pojemniczkach.

– Rozwielitek? – zdziwił się Romilly. – A one to jedzą?

– Gdyby nie jadły, nikt by ich nie kupował jako karmy dla ryb – stwierdziłem.

Romilly’ego uderzyła logika mojego rozumowania.

– Wiesz, że masz rację. Masz rację. W piwnicy zostały jakieś resztki. Nowa dostawa będzie jutro. Spróbuj im je dać, zobaczymy.

Wsypałem więc łyżeczkę rozwielitek do akwarium i ryby rzuciły się na nie żarłocznie, tak jak wcześniej ropuchy na stonogi.

Mój kolejny plan, który jednak należało przeprowadzić dużo ostrożniej, polegał na urządzeniu klatek i akwariów tak, żeby wyglądały bardziej atrakcyjnie. Jak dotąd zajmował się tym osobiście Romilly i czynił to z żelaznym uporem. Nie wydaje mi się, żeby specjalnie to lubił, ale jako najstarszy pracownik firmy czuł się chyba w obowiązku.

– Panie Romilly – powiedziałem pewnego dnia. – W tej chwili nie mam nic do roboty i nie ma klientów. Może pozwoli mi pan zająć się akwarium? Bardzo chciałbym robić to tak jak pan.

– No cóż – zarumienił się pan Romilly. – No... wcale nie jestem taki dobry...

– Myślę, że jest pan świetny! I bardzo chciałbym się tego nauczyć.

– W takim razie zacznij od najmniejszego zbiornika. Będę ci pomagał w razie potrzeby. Zaraz, niech pomyślę... to akwarium z moljenizjami. Trzeba w nim sprzątnąć. Przenieś ryby do wolnego zbiornika, a ten dobrze wyszoruj. Potem zaczniemy urządzać go od nowa, dobrze?

Za pomocą małej siatki przełożyłem czarne i błyszczące jak oliwki moljenizje do nowego akwarium. Następnie opróżniłem stare, wyczyściłem i zawołałem Romilly’ego.

– Teraz nasyp na dno trochę piasku, mhm... włóż kilka kamieni i może... ehm... posadź walisnerię, powiedzmy w tamtym rogu, dobrze?

– Mógłbym spróbować zrobić to sam? – spytałem. – Myślę, że... że szybciej się wtedy nauczę, a gdy skończę, powie pan, co jest złe.

– Świetnie! – zgodził się Romilly i podreptał do swojej podręcznej kasy, zostawiając mnie w spokoju.

Akwarium było małe, ale włożyłem w nie sporo pracy. Ze srebrnego piasku uformowałem wspaniałe wydmy, ustawiłem z kamieni urwiska, obsadziłem gęsto walisnerią, wśród której swobodnie będą mogły przepływać ławice moljenizji. Potem ostrożnie napelniłem je wodą, a gdy uzyskała odpowiednią temperaturę, włożyłem z powrotem ryby i zawołałem Romilly’ego, aby ocenił moje dzieło.

– Wielkie nieba! – krzyknął. – Wielkie nieba!

Spojrzał na mnie jakby rozczarowany, że poszło mi tak dobrze. Czulem, że stoję na niebezpiecznym gruncie.

– Czy... czy podoba się panu?

– To zadziwiające! Zadziwiające! Nie rozumiem, jak... jak tego dokonałeś.

– Tylko dzięki panu, panie Romilly, patrzyłem, jak pan to robi. Gdyby nie pan, nigdy by mi się nie udało.

– No tak, tak – pan Romilly zaczerwienił się lekko. – Ale wykazałeś trochę własnej inwencji.

– Pewne pomysły nasunęły mi się, gdy obserwowałem pana.

– Hmm... godne podziwu, naprawdę godne podziwu! Następnego dnia zapytał mnie, czy nie chciałbym się zająć jeszcze jednym akwariem, i wtedy wiedziałem, że bitwa została wygrana bez urażenia jego uczuć.

Najbardziej jednak marzyłem o urządzeniu olbrzymiego zbiornika na wystawie. Miał metr dwadzieścia szerokości i pół metra głębokości oraz całą kolekcję różnych kolorowych ryb. Wiedziałem, że nie mogę przekroczyć pewnych granic. Wyczyściłem więc kilka mniejszych i kiedy Romilly przyzwyczał się, że to robię, podniosłem temat dużego akwarium.

– Czy pozwoli mi pan spróbować sił przy największym, panie Romilly?

– Co? Tym z wystawy?

– Tak. Należałoby je oczyścić... a przy okazji może udałoby się poprawić jego wygląd.

– No cóż, nie wiem – zawahał się Romilly. – To najważniejsza część wystawy. Stoi w samym środku i przyciąga uwagę klientów.

Miał rację, z tym że uwagę przyciągały migoczące ławice kolorowych rybek, a nie samo akwarium, które przypominało raczej smagane wiatrem wrzosowisko.

– Czy mógłbym tylko spróbować? – prosiłem. – Jeśli będzie źle, wszystko zmienię. Poświęcę na to połowę swojego wolnego czasu.

– Ależ to nie jest konieczne – powiedział zaskoczony Romilly. – Chyba nie chcesz spędzać całego dnia w sklepie? Taki młody chłopiec jak ty... powinieneś biegać po dworze i... No dobrze, zobaczymy, jak sobie poradzisz.

Urządzanie zbiornika zajęło mi większą część dnia, gdyż jednocześnie musiałem obsługiwać klientów, którzy chcieli kupić rureczniki, żaby do ogródka czy rozwiłtiki. Pracowałem z poświęceniem godnym Capability Browna w jego słynnych ogrodach. Zbudowałem faliste wydmy z piasku i ustawiłem masywne granitowe skały, a między nimi posadziłem walisnierię i nieco delikatniejsze paprocie wodne. Na powierzchni wody rozłożyłem małe białe kwiatki, wyglądem przypominające lilie wodne. Piaskiem i skałami zakryłem podgrzewacz i termostat jak również aerator, które nie były żadną atrakcją dla oglądających. Włożyłem z powrotem cudowne szkarłatne mieczyki, błyszczące moljenizje, cierniki oraz neony świecące jak reklamy na Picadilly Circus w Londynie i odsunąłem się trochę, żeby ocenić całość swojej pracy. Nie mogłem wyjść z podziwu dla samego siebie. Romilly, ku mej radości, też był zachwycony.

– Wyśmienicie! – zawołał. – Wyśmienicie! Po prostu wybornie!

– Jak mówią, dobry uczeń potrzebuje dobrego nauczyciela – powiedziałem.

– Och, pochlebiasz mi, pochlebiasz. – Romilly pogroził mi żartobliwie palcem. – W tym wypadku uczeń przerósł nauczyciela.

– Wcale tak nie uważam. Myślę, że zaczynam tylko panu dorównywać.

Później mogłem ozdabiać już wszystkie akwaria i klatki. W głębi duszy byłem przekonany, że pan Romilly odetchnął. Nie będzie już musiał mobilizować swych nie istniejących zdolności artystycznych przy wykonywaniu tak męczących zadań.

W czasie pracy brałem zwykle godzinę wolnego i szedłem na lunch do małej kafejki niedaleko sklepu. Poznałem tam sympatyczną kelnerkę, która za kilka pochlebstw dawała mi więcej kiełbasek z tłuczonymi ziemniakami, a kiedyś ostrzegła mnie przed śmiertelnym niebezpieczeństwem, którym groziło zjedzenie irlandzkiego steku. Któregoś dnia w drodze na lunch odkryłem skrót do kafejki – wąską uliczkę biegnącą między wielkimi sklepami i strzelistymi domami. Była wyłożona kocimi łbami i idąc nią miałem wrażenie, że przeniosłem się w czasy Dickensa. Rosły tu drzewa, dalej ciągnął się rząd małych sklepików. Okazało się wtedy, że jest jeszcze inny sklep zoologiczny w okolicy, prowadzony przez Henry'ego Bellowa.

Brudne okno wystawowe miało prawie dwa metry kwadratowe powierzchni i pół metra głębokości. Od góry do dołu wypełniały je małe kwadratowe klatki z pojedynczymi ptakami lub parkami: zięby, makolągwy, kanarki i papużki faliste. Parapet pokrywała gruba warstwa łupin nasiennych i ptasich odchodów, ale same klatki lśniły czystością i w każdej znajdował się liść sałaty lub krzyżownika i biała tabliczka z wypisanym wielkimi chwiejnymi literami słowem SPRZEDANE. W szklanych drzwiach wisiała pożółkła ze starości koronkowa firanka, pod nią widniała kartonowa wywieszka: „Zapraszamy” gotyckimi literami, a na odwrocie, jak później zauważyłem, równie uprzejme: „Przepraszamy, zamknięte”. Nigdy przez cały czas, kiedy chodziłem tą źle wybrukowaną alejką na kiełbaski z ziemniakami, nie zauważyłem, by ktokolwiek wchodził do sklepu lub go opuszczał. Wydawał się wymarły, tylko ptaki w oknie ociążale skakały po prętach klatek. Zastanawiałem się, dlaczego ptaki z wystawy nie zostały zabrane przez ludzi, którzy je zakupili. Niemożliwe, żeby właściciele trzydziestu wybranych ptaków jednocześnie umówili się, że ich nie chcą. I dlaczego, jeśli nawet tak się stało, nie zdjęto karteczek z napisem „Sprzedane”? Była to zagadka, której nie mogłem rozwiązać w krótkim czasie przeznaczonym na lunch. Ale szansa pojawiła się pewnego dnia, gdy Romilly tańczył po sklepie nucąc „Jestem malutką zapracowaną pszczołką” i nagle zszedł na dół. Po chwili usłyszałem jego piskliwy, przerażony głos.

– Co się stało, panie Romilly? – spytałem ostrożnie.

Romilly pojawił się u podnóża schodów, nerwowo pocierając czoło.

– Och, ja głupi! – wykrzykiwał. – Głupi, głupi, głupi! Widząc, że nie ja jestem winowajcą, odetchnąłem z ulgą.

– Co się stało? – spytałem z troską.

– Rureczniki i rozwielitki – jęknął Romilly i zdjawszy okulary zaczął je gorączkowo przecierać.

– Skończyły się?

– Tak – stwierdził grobowym głosem. – Ależ jestem bezmyślny. Jakie zaniedbanie! Jak mogłem być tak nieodpowiedzialny. Powinienem zostać zwolniony. Naprawdę, jestem najgłupszym z żyjących...

– Nie możemy kupić ich gdzie indziej? – przerwałem to samobiczowanie.

– Otrzymujemy je zawsze z farmy – wykrzyknął Romilly, jakby rozmawiał z nieznajomym, który potrzebuje wyjaśnienia. – Co tydzień, kiedy wysyłam zamówienie, dostajemy plankton. A ja, skończony idiota, nie zamówiłem!

– Czy nie możemy kupić go gdzie indziej? – powtórzyłem.

Gupiki, mieczyki i moljenizje nie mogą się doczekać swoich rureczników – Romilly zaczął się użalać nad sobą, wpadając powoli w histerię. – One je uwielbiają! Jak teraz spojrzę w twarz przez szybę tym małym wydętym stworzeniom? Jak mam jeść lunch, gdy biedne rybki...

– Panie Romilly – przerwałem stanowczo – nie możemy dostać rureczników poza farmą?

– Co? – Romilly spojrzał na mnie błędnym wzrokiem. – Poza farmą? Ale to niemożliwe!... Chwileczkę... Rozumiem, co masz na myśli... – Romilly z trudem pokonywał drewniane schody, pocierając w zdenerwowaniu czoło. Wyglądał jak rozbitek po strasznej katastrofie. Rozejrzał się wokół błędnym wzrokiem. – Ale gdzie? – spytał zrozpaczony. – Gdzie?

– A może u pana Bellowa?

– Bellów? Bellów? – powtórzył. – To bardzo dziwny jegomość. Zajmuje się ptakami. Nie sądzę, żeby miał coś dla nas.

– Ale nie zaszkodzi spróbować. Pójdę i zorientuję się, dobrze?

Romilly zastanawiał się przez chwilę.

– No dobrze – powiedział w końcu, odwracając się od oskarżycielskiego spojrzenia zgrupowanych przy szybie rybek. – Weź dziesięć szylingów z podręcznej kasy i wracaj szybko.

Wręczył mi klucze, po czym usiadł i zaczął wpatrywać się ponuro w swoje wypolerowane buty. Otworzyłem małą metalową kasetkę, wyjąłem banknot dziesięcioszylingowy, wypełniłem rewers na zakup rureczników i włożyłem do kasetki. Zamknąłem ją i wcisnąłem klucze w bezwładną dłoń Romilly'ego. Chwilę później byłem już na szerokim chodniku, klucząc wśród bezmyślnego tłumu przechodniów. Mijały mnie z hukiem ogromne piętrowe autobusy i sznur podążających za nimi taksówek i aut. Dotarłem wreszcie do wąskiej, spokojnej alejki. Nagle otoczyła mnie cisza. Warkot samochodów, odgłos kroków, pisk hamulców, wycie klaksonów – wszystko to odpłynęło, stając się prawie tak piękne jak daleki grzmot spienionych fal. Z jednej strony uliczki znajdował się czarny od sadzy mur, z drugiej żelazne ogrodzenie okalające niewielki teren obok miejscowego kościoła. Ktoś umiejętnie zasadził tu rząd drzew, które

wychylały się za ogrodzenie, tworząc nad uliczką baldachim zieleni. Na porowatej korze miernice wykonywały fantastyczne i skomplikowane ruchy, wyginając się zawzięcie w kierunku celu, który dla nich samych nie był jasny. Sklepy usytuowane były dalej, tuż za drzewami. Nie więcej niż sześć, malutkie, beznadziejnie pragnące sukcesu.

Minąłem sklep „Clemystra – modna pani” ze staroświeckimi futrami na wystawie jak *piece de resistance*, z kołnierzem spiętym wyprawioną główką ze szklanymi oczami i ogonem w pysku. Na ten widok ścisnęłoby się serce każdego przeciwnika wiwisekcji przechodzącego tędy przypadkiem. Potem restauracja „Pixie – lekkie dania, herbata i przekąski”, dalej „A. Wallet, sklep tytoniowy”, którego szyba wystawowa zaklejona była reklamami papierosów i fajek. Następnie przeszedłem obok sklepu Williama Drovera, agenta nieruchomości, z mnóstwem fascynujących zdjęć w sepii przedstawiających upragnione rezydencje, sklepu hydraulicznego „Messers M & R Drumlins” z wejściem udekorowanym w mało wyszukany sposób różową muszlą klozetową, aż w końcu dotarłem do ostatniego domu. Szyld z wyblakłym napisem informował: „Henry Bellów, hodowca ptaków”. Pomyślałem, że wreszcie mam okazję rozwiązania zagadki, może nie jedynej, ptaków w klatkach z karteczką „Sprzedane”. Jednakże stało się coś nieoczekiwanego. Wysoka, koścista kobieta w tweedowym kostiumie i komicznym tyrolskim kapeluszu z piórami, idąca z przeciwka, chwyciła nagle za klamkę drzwi z napisem „Zapraszamy” i weszła do środka uruchamiając dzwoneczek, który zabrzączał melodyjnie. Byłem zdumiony. Po raz pierwszy zobaczyłem kogoś wchodzącego do sklepu na tej uliczce. Zdażyłem jeszcze przytrzymać drzwi i zaciekawiony wślizgnąłem się za kobietą.

W słabo oświetlonym wnętrzu kobieta w kapeluszu i ja zostaliśmy złapani niczym ćmy w jakąś poszarpaną pajęczynę. Dźwięk dzwonka, jak można by przypuszczać, powinien był kogoś przywołać. Tymczasem panowała tu cisza, przerywana jedynie słabym piskiem ptaków w klatkach i nagłym trzepotem skrzydeł kakadu w kącie, przypominającym rozkładanie nie uprasowanego prania. Ptak po poprawieniu piór przekrzywił głowę i wyskrzecztał cicho i obojętnie: „Halo, halo, halo”.

Czekaliśmy długo, jak nam się wydawało, a w rzeczywistości kilka sekund. Oczy powoli przyzwyczały się do ciemności. Zobaczyłem wąską ladę, za którą znajdowały się półki z nasionami, mątwami i innymi akcesoriami hodowcy ptaków, naprzeciw stały duże worki zawierające konopie, rzepak i proso. W jednym z nich buszowała biała mysz z zawrotną szybkością pochłaniająca ziarno. Zacząłem się zastanawiać, czy nie uruchomić jeszcze raz dzwonka, gdy nagle w drzwiach na tyłach sklepu pojawił się machając ogonem wielki, stary pies myśliwski. Za nim wkroczył jakiś mężczyzna, zapewne Henry Bellów. Był wysoki, postawny, z kępą kędzierzawych włosów i ogromnymi, sterczącymi jak krzaki janowca ciernistego wąsami, wprost idealnymi na ptasie gniazda. Spod krzaczastych brwi, spoza okularów w złotych oprawkach patrzyły na nas małe oczka, niebieskie jak barwinek. Poruszał się wolno i ociężale



jak leniwa foka. Podszedł do nas i skłonił się lekko.

– Pani – powiedział z głębokim akcentem z Somerset – pani, jestem do usług.

Tyrolski kapelusz wydawał się zaniepokojony taką formą powitania.

– Mhm, tak... dzień dobry – powiedziała kobieta.

– Czy mogę pani coś podać? – spytał usłużnie Bellów.

– Właściwie przyszedłam do pana po radę. Ehm... chodzi o mojego kuzyna. Niedługo skończy czternaście lat i chciałabym mu kupić ptaka na urodziny. Bardzo lubi ptaki.

– No tak – powiedział Bellów. – Ale jakiego ptaka, jaki konkretnie gatunek ma pani na myśli?

– Sama nie wiem. Może kanarka?

– O tej porze roku nie polecałbym kanarka. – Bellów potrząsnął smutno głową. – Sam też bym nie kupował. I postąpię nieuczciwie, jeśli go pani sprzedam.

– O tej porze roku? – powtórzyła wyraźnie zaskoczona dama.

– To bardzo nieodpowiedni okres dla kanarków – wyjaśnił. – Kłopoty z bronchitem, rozumie pani.

– Och, no to może papuzka falista?

– Tego też bym nie polecał, droga pani. Ze względu na ornitozę.

– Na co?

– To taka choroba, mówiąc inaczej, papuzica. Choruje na nią większość papug o tej porze roku. Bardzo niebezpieczna dla ludzi. Wczoraj miałem kontrolę z Ministerstwa Zdrowia. Inspektor powiedział, że niedługo na nią zapadną, więc nie mogę w żaden sposób pani jej sprzedać.

– W takim razie jakiego ptaka pan proponuje? – spytała zupełnie zdezorientowana.

– Prawdę mówiąc, to bardzo niedobra pora na kupowanie ptaków. Są teraz w okresie zrzucania piór.

– Więc odradza mi pan kupno ptaka? No to może coś innego... Na przykład białą myszkę?

– Przykro mi, ale będzie musiała pani zwrócić się do kogoś innego – odparł Bellów. – Niestety nie mam myszek.

– Och, w takim razie pójdę do Harrodsa.

– To doskonały dom handlowy. Naprawdę świetny. Jestem pewien, że znajdzie tam pani to, czego pani szuka.

– Bardzo dziękuję. Ogromnie pan uprzejmy – powiedziała kobieta i wyszła.

Gdy drzwi się zamknęły, pan Bellów odwrócił się, spojrzał na mnie.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Dzień dobry panu – odparł Bellów. – Czym mogę służyć?

– Przyszedłem zapytać, czy nie ma pan przypadkiem rureczników – wyjaśniłem. – Pracuję

w „Akwarium” i właśnie się nam skończyły.

– W „Akwarium”? Razem z panem Romillym? – Tak.

– No, no! Dlaczego sądzisz, że znajdziesz je u mnie? Hoduję ptaki.

– Tak właśnie powiedział pan Romilly, ale pomyślałem, że jednak przyjdę i zapytam.

– Tak się składa, że dobrze pomyślałeś – rzekł Bellów. – Chodź ze mną.

Zaprowadził mnie na zaplecze do małego, zaniedbanego, ale wygodnego pokoju. Z wyglądu obić fotela i sofy można było wywnioskować, że upodobał je sobie zarówno pan Bellów, jak i jego pies. Następnie tylnymi drzwiami wyszliśmy na niewielkie, wyłożone płytami podwórko, nad którym zwisały gałęzie drzew z kościelnego dziedzińca. Znajdowała się tam sadzawka z odkręconym kurkiem, pośrodku której, na stercie kamieni, stał gipsowy kupidynek. W wodzie roiło się od złotych rybek, przy brzegu stał ogromny słój wypełniony rurecznikami. Pan Bellów przełożył część do mniejszego słoika i wręczył mi go.

– Bardzo pan miły – podziękowałem. – Ile jestem winien?

– Och, nie musisz mi za nie płacić. Nic nie jesteś winien. Potraktuj to jako prezent.

– Ale... ale one są bardzo drogie – powiedziałem zaskoczony.

– Niech to będzie prezent, chłopcze. Weź je.

Zaprowadził mnie z powrotem do sklepu.

– Czy może mi pan powiedzieć – spytałem – dlaczego wszystkie ptaki na wystawie mają karteczkę z napisem „Sprzedane”?

Bellów utkwiał we mnie swoje małe niebieskie oczy.

– Ponieważ one są sprzedane.

– Ale to trwa już chyba wieki, odkąd tędy przechodzę. Ponad dwa miesiące. Czy nikt nie ma zamiaru ich odebrać?

– Nie, tylko... trzymam je dla nich do czasu, gdy będą mogli je zabrać. Niektórzy budują specjalne pomieszczenia, przygotowują klatki i tym podobne – wyjaśnił Bellów.

– Czy sprzedał je pan w odpowiedniej porze roku? Ledwie dostrzegalny uśmiech przebiegł po twarzy Bellowa.

– Tak, jak najbardziej.

– Czy ma pan inne ptaki?

– Tak, na górze.

– Jeśli przyjdę kiedyś do pana, gdy będę miał więcej czasu, mógłbym je zobaczyć? – spytałem z nadzieją.

Bellów popatrzył na mnie w zamyśleniu i potarł ręką brodę.

– Myślę, że jest to możliwe. Kiedy chciałbyś przyjść?

– W sobotę pracuję tylko pół dnia. Mógłbym przyjść wtedy? W sobotę po południu?

– W soboty zwykle zamykam sklep, ale jeśli zadzwonisz trzy razy, wpuszczę cię.

- Bardzo panu dziękuję. I dziękuję za rureczniki. Pan Romilly będzie bardzo wdzięczny.
- Nie ma za co. Wszystkiego dobrego.

Wyszedłem i powędrowałem uliczką do swojego sklepu.

Przez następne kilka dni rozmyślałem nad tym, co powiedział mi Bellów. Nie wierzyłem nawet przez chwilę, że ptaki z wystawy zostały sprzedane, ale nie rozumiałem, po co te karteczki. Byłem także szczerze zdziwiony niechęcią Bellowa do sprzedania ptaków kobiecie w tyrolskim kapeluszu. Postanowiłem, że w sobotę zrobię wszystko, żeby rozwiązać tajemnicę Bellowa.

W sobotę punktualnie o drugiej zjawiłem się przed drzwiami, na których wisiała karteczka: „Przepraszamy, zamknięte”. Zadzwoiłem trzy razy i czekałem z niepokojem. Wkrótce Bellów otworzył.

- Och, to ty – powiedział. – Dzień dobry.
- Dzień dobry, panie Bellów – przywitałem się.
- Proszę, wejść – powiedział serdecznie. Gdy wszedłem, uważnie zamknął za mną drzwi na klucz.
- A więc chciałbyś obejrzeć moje ptaki?
- Tak, bardzo.

Poprowadził mnie przez pokój gościnny na górę wąskimi, chwiejnymi schodami. Na piętrze, z tego, co mogłem dojrzeć, mieściła się malutka łazienka, pokój sypialny i jeszcze jeden, do którego zostałem wprowadzony. Od góry do dołu przy ścianach poustawiane były klatki z ptakami wszystkich kształtów, rozmiarów i kolorów. Znajdowały się tam grupki drobnych, ruchliwych ziarnojadów z Afryki i Azji, nawet jedna lub dwie wspaniałe australijskie zięby, papugi długoogonowe, zielone jak liście, i kardynały szkarłatne jak królewskie szaty. Byłem zafascynowany. Bellów okazał się dużo bardziej utalentowanym hodowcą niż pan Romilly, gdyż znał nazwę każdego ptaka, także łacińską, wiedział skąd ptak pochodzi, co je, ile składa jajek. Prawdziwa kopalnia wiedzy.

- Czy te wszystkie ptaki są na sprzedaż? – spytałem, chciwie wpatrując się w kardynała.
- Oczywiście – odparł Bellów i szybko dodał: – Ale tylko w odpowiedniej porze roku.
- O co chodzi z tą odpowiednią porą? Jeśli sprzedaje pan ptaki, może pan to robić o każdej porze roku.
- Niektórzy tak czynią, ale ja przestrzegam zasady sprzedawania tylko w określonych porach.

Przyjrzałem mu się uważniej i zobaczyłem błysk w jego oku.

- Więc kiedy jest ten odpowiedni czas? – spytałem.
- Jeśli o mnie chodzi, czas jest zawsze nieodpowiedni – odparł.
- To znaczy, że nigdy ich pan nie sprzedaje?

- Bardzo rzadko. Czasami przyjacielowi.
- I dlatego nie chciał pan wtedy sprzedać ptaka tej pani? – Tak.
- Więc ptaki z wystawy nie są sprzedane?

Bellów patrzył na mnie, zastanawiając się, czy umiem dochować sekretu.

- Tak między nami mówiąc, nie są sprzedane – przyznał.
- W takim razie z czego pan żyje?
- No właśnie. Nie zarabiam.

Musiałem wyglądać dość komicznie, gdyż Bellów wydał z siebie gardłowy chichot i powiedział:

– Chodźmy na dół i napijmy się herbaty, dobrze? Wyjaśnię ci wszystko, ale musisz obiecać, że na tym poprzestaniesz. Obiecujesz? – Podniósł gruby palec i pogroził mi.

- Obiecuję! – zawołałem. – Obiecuję!
- W porządku. Masz ochotę na tosty?
- Eee... tak – odparłem, trochę zdziwiony nagłą zmianą tematu.

Ja też. Gorące tosty z masłem i herbata. Chodźmy na dół. Zeszliśmy więc do pokoju gościnnego, w którym zobaczyłem psa Bellowa, wabiącego się Aldrich, rozciągniętego wygodnie na sofie. Bellów zapalił gaz i zaczął opiekąć tosty nad ogniem, następnie szybko posmarował je masłem i cały stos położył na stolniczku między nami. W tym czasie zagotowała się woda w czajniku, zaparzył więc herbatę i przygotował porcelanową zastawę.

- Chcesz mleko do herbaty?
- Tak, proszę.
- Cukier?
- Nie, dziękuję.

Gdy wypiliśmy herbatę, Bellów podał mi tost, sięgnął po jeden dla siebie i z satysfakcją zatopił w nim zęby.

– Co pan mówił o zarabianiu pieniędzy? – dopytywałem się.

– A więc – zaczął, dokładnie wycierając chusteczką ręce, usta i wąsy – to dość długa i skomplikowana historia. Cała ta uliczka, nazywa się Potts Lane, należała kiedyś do ekscentrycznego milionera Potts. Był, jakbyśmy go teraz nazwali, socjalistą. Gdy wybudował wszystkie te sklepy, ustanowił specjalne zasady zarządzania nimi. Ludziom, którzy chcieli sklepy na własność, oddano je w dzierżawę na czas nieokreślony, z tym że co cztery lata korygowano czynsz. Jeśli interes szedł dobrze, odpowiednio go podnoszono, jeśli nie, odwrotnie. Wprowadziłem się tutaj w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku. Od tamtego czasu płacę pięć szylingów.

Patrzyłem na Bellowa z niedowierzaniem.

– Pięć szylingów tygodniowo? Ależ to śmieszne jak na taki sklep. Przecież Kensington High

Street znajduje się o rzut kamieniem stąd.

– No właśnie – przyznał Bellów. – Płacę pięć szylingów tygodniowo, czyli funta miesięcznie.

– Ale dlaczego czynsz jest tak niski?

Ponieważ nie mam żadnych dochodów – tłumaczył Bellów. – Jak tylko dowiedziałem się o możliwości dzierżawy tutaj, zrozumiałem, że trafiła mi się doskonała okazja. Odłożyłem trochę pieniędzy, niewiele, ale wystarczy na jakie takie życie. Do szczęścia potrzebne mi było tylko miejsce, gdzie mógłbym trzymać swoje ptaki. I znalazłem. Odwiedziłem po kolei dzierżawców sklepów na Potts Lane, wyjaśniając im całą sytuację i okazało się, że wszyscy mają te same problemy, co ja. Założyliśmy więc Stowarzyszenie Potts Lane, ustaliliśmy wspólny fundusz i wynajęliśmy bardzo dobrego księgowego. Gdy mówię dobrego, nie chodzi mi o jednego z tych tumanów, którzy zawsze stoją po stronie prawa; tacy są nic nie warci ani dla człowieka, ani zwierzęcia. Ten jest bardzo zdolnym, bystrym młodym człowiekiem. Spotyka się z nami co sześć miesięcy, sprawdza nasze księgi i mówi nam, jak je prowadzić, aby wykazać straty. I kiedy przychodzi czas korekty czynszu, pozostaje on na tym samym poziomie albo nawet zostaje obniżony.

– A czy właściciele nie mogą zmienić warunków dzierżawy? – spytałem.

– Nie – odparł Bellów. – I w tym tkwi cały urok. Dowiedziałem się, że testament pana Potts'a to uniemożliwia.

– Ale oni musieli dostać szalu, gdy się dowiedzieli, że płaci im pan tylko funta miesięcznie?

– O tak. Robili wszystko, żeby mnie stąd wyeksmitować. Ale miałem dobrego adwokata. Nie miernotę, który myśli bardziej o prawie niż o swoich klientach. Szybko ich ustawił. Spotkali się z takim samym oporem w innych sklepach na tej ulicy, niewiele więc mogli wskórać.

Nie chciałem nic mówić, by nie urazić uczuć Bellowa, ale nie wątpiłem, że cała ta historia została wymyślona. Miałem kiedyś nauczyciela, niegroźnego schizofrenika, który opowiadał mi długie i skomplikowane przygody. Niestety, mimo usilnych starań, nigdy mu się one nie przydarzyły. Przyzwyczałem się więc do tego typu krętactw.

– Fascynująca historia – skłamałem. – Bardzo sprytnie pan to załatwił.

– Zawsze trzeba uważnie czytać dokumenty – rzekł Bellów kiwając palcem. – Przepraszam, ale muszę przynieść Mabel.

Zniknął w sklepie, by po chwili pojawić się z kakadu usadowioną na jego przegubie. Usiadł i wziął ją w ręce, kładąc na grzbiecie. Ptak leżał z zamkniętymi oczami, nieruchomo jak wyrzeźbiony z kości słoniowej, powtarzając „Halo, halo, halo”. Bellów wygładził mu pióra, umieścił sobie na kolanach i zaczął delikatnie drapać go po brzuchu. Ptak drzemał rozkoszując się pieścizotami.

– Czuje się trochę samotna, gdy zostawiam ją samą w sklepie na dłuższy czas – wyjaśnił. –

Życzysz sobie jeszcze jednego tosta, drogi chłopcze?

Bellów był doskonałym gawędziarzem. Za młodu podróżował dużo po świecie i znał dobrze wiele miejsc, które pragnąłem zwiedzić. Potem spotykaliśmy się mniej więcej co dwa tygodnie i wieczory te wspominam bardzo miło. Wciąż nie wierzyłem w jego opowieści o Potts Lane, postanowiłem więc przeprowadzić mały eksperyment. Przez kilka dni odwiedzałem kolejne sklepy na ulicze. W „Clemysra” na przykład chciałem kupić kapelusz na urodziny mamy. Dwóm uroczym staruszkom, które go prowadziły, było strasznie przykro, ale przyszedłem w niewłaściwym czasie. Kapelusze właśnie się skończyły. Zapytałem, czy w takim razie nie mają czegoś innego, może futro? Niestety cały towar znajdujący się w sklepie został uszyty na zamówienie. Czekają właśnie na nową dostawę. Kiedy są urodziny mojej mamy? Odpowiedziałem, że w następny piątek. Wtedy powinno już coś być, tak, na pewno będzie. Proszę przyjść jeszcze raz.

Pan Wallet, sprzedawca papierosów, powiedział, że nie prowadzi sprzedaży papierosów firmy, o którą pytam. Nie sprzedawał także żadnych cygar ani fajek. W końcu z ociąganiem zgodził się mi sprzedać pudełko zapalek.

Następnie poszedłem do hydraulików. Wytłumaczyłem, że coś popsuło się w naszym zbiorniku na wodę i matka prosiła, bym wynajął hydraulika. Czy mogliby mi pomóc?

– Czy sprawa jest pilna? – spytał Drumlin.

– Bardzo pilna – odparłem. – Brak wody w ubikacji i w innych miejscach.

– No tak, ale mamy tylko jednego pracownika. Tylko jednego i właśnie wykonuje naprawę, dość poważną. Nie wiemy, ile czasu mu to zajmie... może parę dni.

– Nie mógłby przyjść do nas po godzinach?

– Nie sądzę, żeby się zgodził – oświadczył Drumlin. – Ale na High Street jest świetny hydraulik. Idź do nich. Może mają kogoś wolnego. Ja niestety nie mogę zagwarantować nic przez... dwa, trzy dni, co najmniej, co najmniej.

Podziękowałem, opuściłem sklep i udałem się do Williama Drovera, agenta nieruchomości. Był to mały, niechlujny człowiek w okularach, o włosach przypominających kwitnący oset. Wyjaśniłem, że moja ciotka chciałaby się przenieść do tej części Londynu. Ponieważ mieszkam w pobliżu, poprosiła, bym zbadał u jakiegoś agenta możliwość kupienia mieszkania.

– Mieszkania? Mieszkania? – Drover ściągnął usta. Zdjął okulary, przetarł je, po czym założył ponownie i rozejrzał się po sklepie, jakby szukając w nim ratunku.

– Teraz to nie jest najlepszy okres – powiedział. – Bardzo niedobry. Wiele osób przeprowadza się w te okolice. Większość mieszkań zostaje zajęta, zanim się człowiek zorientuje.

– To znaczy, że nic pan nie ma? Nic, co mógłbym zaoferować mojej ciotce?

– Niestety, nic. Bardzo mi przykro. Zupełnie nic.

– No to może jakiś mały dom?

– Tak samo trudno, tak samo. Nie sądzę, żebym miał jakiś mały dom, który by cię zainteresował. Mogę zaoferować dom w Hampstead, dziesięć pokoi.

– Nie, dziękuję, chyba trochę za duży. Ale ciocia chciałaby tu zamieszkać.

– Wszyscy chcą, wszyscy. Zaczyna być ciasno. Niedługo będziemy stać jeden obok drugiego.

– Interes chyba wtedy kwitnie, prawda?

– I tak, i nie. Zbyt duża liczba osób w sąsiedztwie powoduje spadek cen.

– Cóż, w każdym razie dziękuję panu za pomoc.

– Nie ma za co. Przykro mi, że nie mogłem pomóc.

Potem poszedłem do restauracji „Pixies”. Menu było całkiem urozmaicone, ale mogli mi podać jedynie filiżankę herbaty. Bardzo ubolewają, ale niestety ich samochód dostawczy wiozący wszystkie produkty na ten dzień popsuł się gdzieś w północnym Londynie i restauracja została pozbawiona wszelkich produktów.

Wtedy uwierzyłem w opowiadanie Bellowa o Potts Lane.

W moim życiu w tamtym okresie pojawił się inny dziwny osobnik. W sklepie zoologicznym pracowałem już jakiś czas i Romilly ufał mi bezgranicznie. Często wysyłał mnie na East End po świeże dostawy gadów, płazów i ryb tropikalnych. Otrzymywaliśmy je od hurtowników, podczas gdy farma (która w rzeczywistości prowadziła sklep) dostarczała wszystkie gatunki słodkowodne. Podobały mi się te wycieczki, podczas których w ponurych, wielkich sklepach na bocznych uliczkach mogłem oglądać klatki z jaszczurkami, kosze żółwi i ociekające pojemniki, zielone od wodorostów, pełne traszek, żab i salamander. Właśnie podczas jednej z takich wypraw poznałem pułkownika Anstruthera.

Pewnego razu posłano mnie do Van den Gotha, poważnego hurtownika specjalizującego się w imporcie północnoamerykańskich gadów i płazów. Otrzymałem polecenie od Romilly’ego, aby przywieźć sto pięćdziesiąt małych amerykańskich żółwi wodnych – tych uroczych żółwi o zielonych pancerzach z żółtymi i czerwonymi znaczkami na skórze. Każdy miał wielkość półkoronówki. Handel kwitł, gdyż żółwie są doskonałym i niekłopotliwym zwierzęciem domowym, szczególnie dla dziecka. Udałem się więc do hurtowni i ujrzałem samego pana Van den Gotha. Był to masywny mężczyzna, który wyglądał jak orangutan wyrzeźbiony w bryle łożu. Włożył moje traszki do kartonowego pudełka z mchem i wtedy spytałem, czy mógłbym się rozejrzeć.

– Proszę bardzo – powiedział. – Proszę bardzo. Wtoczył się z powrotem na swoje krzesło, wziął holenderską gazetę, którą wcześniej czytał, wsadził cygaro w usta i więcej się mną nie zajmował. Łaziłem po sklepie, przyglądając się cudnym wężom i podziwiając legwany,

jasnozielone, z kołnierzami i grzebieniami jak u smoków z bajki. W pewnym momencie spojrziałem na zegarek i z przerażeniem stwierdziłem, że powinienem był wyjść co najmniej pół godziny temu. Chwyciłem więc pudło z traszkami, pożegnałem się szybko z Van den Gothem i pobiegłem złapać autobus.

Nie zauważyłem jednak, że zarówno traszki, jak i mech ociekają wodą. Kiedy chodziłem po sklepie, spód pudełka całkiem przesiąkł. Do tego stopnia, że po wejściu na piętro autobusu, gdy właśnie miałem zająć miejsce, dno pudła rozerwało się i lawina żółwiątek spłynęła na podłogę.

Na szczęście w autobusie znajdował się poza mną tylko jeden pasażer. Smukły, o wyglądzie żołnierza, z szarymi wąsami i monoklem, ubrany w doskonale skrojony tweedowy garnitur i kapelusz, z goździkiem w butonierce i trzciniową laską ze srebrną gałką. Zacząłem gorączkowo szukać po podłodze żółwików, które, gdy chcą, poruszają się z zadziwiającą szybkością, i miały nade mną zdecydowaną przewagę. Nagle jeden ruszył środkiem autobusu, by po chwili natrafić na przeszkodę w postaci stopy mężczyzny o wojskowej posturze. Czując, że żółwik wspina się na jego nienagannie wypolerowany but, spojrział w dół. O Boże, pomyślałem, teraz mi się dostanie! Mężczyzna poprawił monokl i zaczął się uważnie przyglądać żółwikowi, pracowicie włożącemu na czubek buta.

– Na Jerzego! – zawołał. – Nakrapiany żółw. *Chrysemys pieta!* Od lat już go nie spotkałem!

Rozejrzał się dookoła, by sprawdzić, skąd się wziął żółw. Zobaczył mnie na czworakach, z czerwoną twarzą, i stado żółwi pędzących wariacko we wszystkich kierunkach.

– Ha! – powiedział. – Czy to maleństwo jest twoje?

– Tak, proszę pana – odpowiedziałem cicho. – Bardzo przepraszam, ale pudło się rozleciało.

– Na Jerzego! Wpadłeś jak śliwka w kompot! – zawołał.

– Taak... chyba tak.

Mężczyzna wziął żółwia, któremu udało się wreszcie wspiąć na but, i podszedł z nim do mnie.

– Proszę – rzekł. – Pozwól, że ci pomogę. Odetnę tym łobuziakom odwrót.

– To bardzo miło z pana strony.

Przyjął podobną pozycję do mojej i razem zaczęliśmy czołgać się po podłodze łapiąc po kolei żółwiątko.

– Widzę go, widzę! – wołał co jakiś czas. – Jeden wlaź tam pod siedzenie!

Raz, gdy któryś żółwik zmierzał w jego kierunku, wycelował w niego laską i krzyknął:

– Bang! Bang! Natychmiast wracać albo wezmę pana na muszkę! Wreszcie po jakichś piętnastu minutach udało się nam zapakować do pudła wszystkie żółwie. Dziurę zatkałem chusteczką.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziałem. – Przykro mi, że zabrudził pan sobie spodnie.

– Warto było! – odparł. – Naprawdę warto! Od dawna tak się nie bawiłem.



Poprawił monokl i utkwiał we mnie wzrok.

– Powiedz mi, co ty robisz z tym pudłem pełnym żółwi?

– Pracuję w... sklepie zoologicznym i właśnie odebrałem je z hurtowni – wyjaśniłem.

– Rozumiem. Czy mógłbym usiąść obok ciebie i trochę z tobą pogawędzić?

– Oczywiście, proszę pana. Oczywiście.

Podszedł i usadowił się naprzeciwko mnie, włożył laskę między nogi, oparł na niej brodę i zaczął uważnie się we mnie wpatrywać.

– Sklep zoologiczny, hmm? – mruknął. – Lubisz zwierzęta?

– O tak, bardzo – odparłem. – To chyba jedyna rzecz, którą naprawdę lubię.

Wydawał się bardzo zainteresowany, więc opowiedziałem mu o sklepie i o Romillym. Zastanawiałem się, czy wspomnieć o hodowcy ptaków, ale ponieważ obiecałem dochować tajemnicy, milczałem. Gdy dojechaliliśmy do mojego przystanku, podniosłem się.

– Przepraszam, ale muszę tu wysiąść.

– Ha! Ja też, ja też.

Oczywiste było, że wysiadł tylko po to, by móc dalej ze mną rozmawiać. Dzięki dość liberalnemu i raczej ekscentrycznemu wychowaniu, jakie otrzymałem, miałem się na baczności przed zaczepkami pederastów. Wiedziałem, że nawet mężczyzna z monoklem o wyglądzie wojskowego może być zboczony. Jego zainteresowanie moją osobą mogło się okazać bardzo nieprzyjemne, więc postanowiłem być ostrożny.

– Gdzie jest ten twój sklep? – spytał, kołysząc laską między palcem wskazującym a kciukiem.

– O tam – wskazałem ręką.

– W takim razie cię odprowadzę.

Szedł powoli, wpatrując się z napięciem w mijane sklepy.

– Powiedz mi, co robisz w wolnych chwilach?

– Och, chodzę do zoo, kina, muzeum... – wyjaśniłem.

– Byłeś kiedyś w muzeum techniki? No wiesz, z tymi wszystkimi modelami?

– O tak, bardzo je lubię.

– Naprawdę? Naprawdę? – Wcisnął mocniej monokl i popatrzył na mnie. – Lubisz się bawić, prawda?

– Można by to tak nazwać.

– Ach!

Zatrzymał się przed drzwiami „Akwarium”

– Pan wybaczy – odezwałem się. – Jestem trochę... spóźniony.

– Ciekawe, ciekawe... – Wyjął portfel i wyciągnął z niego wizytówkę. – Tu jest moje nazwisko i adres. Gdybyś chciał wpaść któregoś popołudnia, moglibyśmy miło spędzić czas.

– Będzie mi bardzo miło – powiedziałem, przyciskając się plecami do ściany.

– Drobiazg. Mam nadzieję, że się spotkamy. Nie krępuj się i dzwoń. Zawsze jestem. Po szóstej wieczorem.

Odmaszerował ulicą. Nie dostrzegłem w nim cienia zniewieściałości, typowego drobienia nogami, ale nie byłem niewiniątkiem i wiedziałem, że nie są to jedyne oznaki skłonności homoseksualnych mężczyzny. Wcisnąłem wizytówkę do kieszeni i wszedłem do sklepu.

– Gdzie się podziewałeś, ty nieznośny chłopaku? – spytał Romilly.

– Przepraszam, że tak późno – zacząłem się tłumaczyć – ale... ale w autobusie przydarzył mi się drobny wypadek. Oderwało się dno pudełka i wyleciały wszystkie żółwie. Pomógł mi je zbierać starszy pułkownik, ale zajęło nam to trochę czasu. Bardzo mi przykro, panie Romilly.

– Dobrze już, dobrze – powiedział. – Dzisiaj mieliśmy bardzo spokojne popołudnie... bardzo spokojne. Zbiornik już przygotowany, jeśli chcesz je włożyć.

Przełożyłem żółwiki do akwarium i obserwowałem przez chwilę, jak pływają dookoła, po czym wyjąłem wizytówkę pułkownika. „Pułkownik Anstruther, 47 Bell Mews, South Kensington”, i numer telefonu. Zamyśliłem się.

– Panie Romilly – odezwałem się – czy zna pan pułkownika Anstruthera?

– Anstruther? Anstruther? – Romilly zmarszczył brwi. – Nie sądzę, żebym go... ale poczekaj chwilkę, momencik. Gdzie on mieszka?

– W Bell Mews.

– To on! To on! – ucieszył się Romilly. – Tak, tak... tak. To on. Świetny żołnierz i wspaniałą mężczyzna. Czy to on pomógł ci zbierać żółwie?

– Tak.

– No oczywiście. Zawsze przyjdzie przyjacielowi z pomocą. W dzisiejszych czasach nie spotyka się już takich ludzi... inne wychowanie.

– A więc on jest... eem... znany i... mhm... szanowany?

– O tak, jak najbardziej. Wszyscy w okolicy go znają i szanują.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem, i pomyślałem, że może przyjmę zaproszenie pułkownika. W razie czego, jeśli stanie się najgorsze, zawsze mogę wołać o pomoc. Choć pułkownik nie kazał mi dzwonić, pomyślałem, że będzie uprzejmiej, jeśli to zrobię. Kilka dni później wykręciłem jego numer.

– Pułkownik Anstruther? – spytałem.

– Tak, tak – odparł – a kto mówi, kto mówi?

– Mhm... nazywam się... Durrell. Spotkaliśmy się w autobusie któregoś popołudnia. Był pan uprzejmy pomóc mi złapać żółwie.

– A tak, tak. Jak się czują maluchy?

– W porządku. Czują się... świetnie. Zastanawiałem się, czy... czy mógłbym skorzystać z pańskiego zaproszenia i zobaczyć się z panem?

– Ależ oczywiście, mój drogi chłopcze. Oczywiście! Wspaniale, wspaniale! O której przyjdiesz?

– O której pan woli?

– Przyjdź o szóstej trzydzieści. Na obiad.

– Bardzo panu dziękuję. Przyjdę na pewno.

Bell Mews była brukowaną ślepą uliczką z czterema małymi domami po każdej stronie. Stałem przez chwilę skonsternowany, gdyż nie wiedziałem, że pułkownik był właścicielem wszystkich czterech domów, które połączył w jeden i z błyskotliwością cechującą umysł wojskowego oznaczył jednym numerem 47. Zapukałem wreszcie do pierwszych drzwi z brzegu. Czekając zastanawiałem się nad bezmyślnością numerowania czterech domów o długości trzydziestu metrów tym samym numerem. I co się stało z resztą numerów? Pewnie zostały rozrzucone po różnych uliczkach w okolicy. Życie listonosza w Londynie, pomyślałem, musi być bardzo uciążliwe.

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich pułkownik. Ku mojemu zdumieniu ubrany był w zieloną welwetową bonżurkę z jedwabnymi kłapami, a w rękę trzymał rzeźbiony nóż ogromnych rozmiarów, którym zamasyście wywijął. Zacząłem się zastanawiać, czy mądrze zrobiłem przychodząc tu.

– Durrell? – spytał poprawiając swój monokl. – Na Jowisza, jesteś punktualny!

– Miałem pewne trudności – zacząłem.

– Och! Zmyliły cię te numery? Wszystkich mylą. Ale daje mi to trochę prywatności, rozumiesz. Proszę, wchodź, wchodź!

Wsunąłem się ostrożnie do środka i pułkownik zamknął drzwi.

– Cieszę się, że cię widzę. Proszę dalej.

Prowadził, krocząc dziarsko przez korytarz, z nożem w rękę, jak przy ataku kawaleryjskim. Przebiegłem szybko wzrokiem po mahoniowym stojaku na kapelusze i rycinach na ścianach i znaleźliśmy się w dużym, przestronnym pokoju gościnnym, umeblowanym prosto, ale wygodnie, ze stosami książek w różnych miejscach i kolorowymi reprodukcjami mundurów wojskowych na ścianach. Przeszliśmy do dużej kuchni.

– Przepraszam, że cię poganiam – wysapał – ale w piekarniku mam ciasto i nie chciałbym, żeby się przypaliło.

Podszedł zwawo do piekarnika i zajrzał do środka.

– No, wszystko w porządku. Dobrze... dobrze. Wyprostował się i spojrzał na mnie.

– Lubisz mięso zapiekane w cieście?

– O tak – odparłem – bardzo.

– Dobrze, będzie gotowe lada moment. Usiądź, proszę, i wypij drinka. – Zaprowadził mnie z powrotem do salonu. – Siadaj, proszę, siadaj. Czego się napijesz? Sherry? Whisky? Gin?

– Eeem... mógłbym dostać trochę wina?

– Wina? Ależ oczywiście, oczywiście.

Wyciągnął butelkę, odkorkował i nalał mi pełny kieliszek czerwonego, aromatycznego wytrawnego wina. Przez około dziesięć minut gawędziliśmy głównie o żółwiach, po czym pułkownik spojrzał na zegarek.

– Powinno być już gotowe – powiedział. – Nie masz nic przeciwko jedzeniu w kuchni? Nie ma wtedy tyle bałaganu.

– Oczywiście, że nie mam – odparłem.

Poszliśmy do kuchni i pułkownik przygotował stół. Następnie utłukł ziemniaki, nałożył mięso w cieście i postawił przede mną talerz.

– Napij się jeszcze wina – powiedział.

Potrawa była doskonała. Spytałem, czy sam ją zrobił.

– Tak – odparł. – Musiałem nauczyć się gotować, gdy zmarła moja żona. To całkiem proste, jeśli przy tym trochę myślisz. Trzeba wiedzieć, jakich ziół używa się do czego i tak dalej. A ty umiesz gotować?

– Raczej nie bardzo. Matka nauczyła mnie kilku rzeczy, ale nigdy nie brałem tego poważnie. Sprawia mi to przyjemność.

– Mnie też, mnie też. Odpręża umysł.

Po obiedzie pułkownik wyjął z lodówki lody.

– Mhmm... – mruknął z rozkoszą, odchylając się w krzesło i klepiąc po brzuchu. – Znacznie lepiej. Znacznie lepiej. Jem tylko raz dziennie i staram się, żeby to był solidny posiłek. Może kieliszek porto? Mam tu same dobre trunki.

Wypiliśmy kilka kieliszków wina i pułkownik zapalił cygaro. Gdy skończył palić, poprawił monokl i spojrzał na mnie.

– Co powiesz na małą zabawę na górze?

– Ehm... jakiego rodzaju zabawę? – spytałem ostrożnie czując, że nadszedł moment, kiedy pułkownik zacznie mi składać niedwuznaczne propozycje, jeśli miał taki zamiar.

– Walka – rzekł pułkownik. – Zmagania umysłu. Modele. Lubisz to, prawda?

– Taak... tak – odparłem niepewnie.

– Więc chodź! Chodź!

Wyszliśmy na korytarz, potem schodami na górę, przez mały pokój będący najprawdopodobniej pracownią. Pod ścianami ciągnęły się półki z puszkami farb, kolbami lutowniczymi i innymi tajemniczymi rzeczami. Najwyraźniej pułkownik w wolnym czasie zajmuje się majsterkowaniem, pomyślałem. W tym momencie otworzył drzwi i oczom moim

ukazał się niesamowity widok. Pokój miał około dwudziestu do dwudziestu pięciu metrów długości. Powstał z połączenia górnych pokoi wszystkich czterech domów. Podłoga była równo wyłożona parkietem. Zadziwiła mnie jednak nie wielkość pokoju, ale jego zawartość. Po obu stronach znajdował się ogromny fort zrobiony z *papier-mache*. Miał około metra wysokości i półtora szerokości. Dookoła stały rozstawione ołowiane żołnierzyki w błyszczących jasnych mundurach, między nimi czołgi, transportery opancerzone, działa przeciwlotnicze i inny sprzęt. Była to szczegółowa makietka bitwy.

– Aha – zawołał pułkownik zacierając ręce ze szczęścia – zaskoczyłem cię?

– Dobry Boże! Tak! – powiedziałem. – Chyba nigdy jeszcze nie widziałem tylu żołnierzyków.

– Zebranie ich zajęło mi całe lata. Dostawałem je nie pomalowane z fabryki i sam je ozdabiałem. Są wtedy dużo lepsze, staranniej wykonane i ładniejsze. Także bardziej realistyczne.

Schylilem się i podniosłem jednego żołnierza. Pułkownik miał rację. Wszystko wykończono niezwykle skrupulatnie. Nawet twarze miały swój wyraz.

– A teraz – ciągnął pułkownik – zabawimy się króciutko, taka mała próba. Jeśli zorientujesz się, na czym polega gra, możemy ją oczywiście trochę utrudnić. Wyłumaczę ci zasady.

Reguły były jasne. Każdy miał swoją armię. Rzucano się dwoma kostkami i ten, kto uzyskał więcej punktów, był najeźdźcą i pierwszy zaczynał. Znowu rzucał kostką i zgodnie z liczbą punktów na kostce przesuwał swoich żołnierzy w dowolnym kierunku. Mógł też strzelać z dział przeciwlotniczych dzięki specjalnemu mechanizmowi ze strunami, ładowanemu zapalkami. Struny były niezwykle mocne i wyrzucały zapalki z niesamowitą prędkością na środek pokoju. Wszędzie tam, gdzie wylądowała zapalka, w obrębie dwunastu centymetrów, wszystko ulegało zniszczeniu. Jeśli udało się trafić w środek kolumny żołnierzy, można było wyrządzić wrogowi poważne szkody. Każdy z graczy miał w kieszeni centymetr do odmierzania odległości od zapalki.

Zachwyciłem się grą, głównie dlatego, że przypominała mi bardzo zabawę, którą wymyśliliśmy podczas pobytu w Grecji. Mój brat Leslie, który na serio interesuje się bronią i łodziami, zbierał całą baterię statków wojennych, łodzi podwodnych i krążowników. Często rozkładaliśmy je na podłodze i graliśmy podobnie jak teraz z pułkownikiem, z tym że do zatopienia statku używaliśmy kamiennych kulek. Potoczenie kulki po nierównej podłodze tak, by trafić w czterocentymetrowy krążownik, wymagało dobrego oka. Po rzuceniu kostką okazało się, że ja będę najeźdźcą.

– Ha! – zawołał pułkownik. – Ty wstrętny Szwabie! Najwyraźniej zaczął wpadać w wojenny nastrój.

– Czy celem ma być zdobycie fortu? – spytałem.

– Możesz go zniszczyć, jeśli potrafisz – odparł.

Szybko odkryłem, że najlepszą taktyką w grze z pułkownikiem jest odciągnięcie jego uwagi z jednego skrzydła, tak aby w tym czasie wykonać szybki manewr. Ciągłe ponawiałem ataki ogniowe na jego wojska, wyrzucając zapalki na podłogę i jednocześnie przesuwał kolejne bataliony bliżej linii.

– Ty świni! – krzyczał pułkownik za każdym razem, gdy spadała zapalka i musiał mierzyć odległość. – Brudna świni! Piekielny Szwabie! – Twarz mu różowieła, a oczy zaczęły łzawić, tak że ciągle musiał zdejmować i przecierać monokl.

– Zbyt celnie strzelasz! – wołał ze złością.

– Sam pan sobie jest winien! – krzychałem do niego. – Trzyma pan wszystkich żołnierzy razem, stanowią doskonały cel!

– To część mojej strategii! Nie podawaj w wątpliwość mojej strategii. Jestem od ciebie starszy i wyższy stopniem!

– Jak może być pan wyższy stopniem, kiedy to ja dowodzę armią?

– Nie pyskuj mi tu, bezczelny smarkaczu! – ryczał.

Gra trwała około dwóch godzin i w tym czasie udało mi się zniszczyć większość wojsk pułkownika i stanąć u stóp jego fortu.

– Poddajesz się? – zawołałem.

– Nigdy! – krzyczał pułkownik. – Nigdy! Poddać się Szwabowi? Nigdy!

– W takim razie muszę sprowadzić moich saperów.

– A co zamierzasz z nimi zrobić?

– Wysadzić fort.

– Nie możesz! To wbrew prawu wojennemu!

– Bzdura! Poza tym Niemcy nie przejmują się żadnymi prawami.

– To obrzydliwy wybieg! – ryczał pułkownik, gdy wysadziłem jego fort w powietrze.

– Czy teraz się poddasz?

– Nie! Będę walczył o każdy skrawek ziemi, ty wstrętny Szwabie! – Pułkownik zaczął czołgać się na czworakach i z zapamiętaniem przesuwać swoje wojska. Ale wszystko na próżno. Zapędziłem je w kąt i rozniosłem w puch.

– Na Jerzego! – zawołał pułkownik, gdy gra się skończyła. – Jakim cudem udawało ci się strzelać tak dokładnie, jeśli nigdy przedtem nie grałeś?

– Bawiliśmy się w to z bratem, tylko zamiast zapalek używaliśmy kamiennych kulek – wyjaśniłem. – I myślę, że gdy raz wyćwiczysz oko, potem jest łatwiej.

– No, no! – powiedział pułkownik patrząc na swoje rozgromione wojsko. – Mimo wszystko to była świetna zabawa i dobra walka. Zagramy jeszcze?

Zaczynaliśmy w kółko od nowa, pułkownik coraz bardziej rozgorączkowany, aż nagle spojrział na zegarek i stwierdziłem z przerażeniem, że jest pierwsza nad ranem.

Znajdowaliśmy się w środku gry, więc zostawiliśmy tak naszych żołnierzy, by wrócić następnego wieczoru i dokończyć bitwy. Później spędzałem z pułkownikiem dwa lub trzy wieczory w tygodniu, tocząc bitwy po całym pokoju i sprawiając mu tym prawie taką samą przyjemność jak sobie.

Niedługo potem matka oznajmiła, że w końcu znalazła dom i wyprowadzamy się z Londynu. Byłem gorzko rozczarowany. Wyjazd oznaczał, że będę musiał zrezygnować z pracy i stracę kontakt z moim przyjacielem Bellowem i pułkownikiem Anstrutherem. Romilly'emu omal nie pękło serce.

– Nigdy nie znajdę godnego zastępcy! – lamentował. – Nigdy!

– Na pewno ktoś się zgłosi – pocieszałem.

– Ale nie z takimi zdolnościami! Kto będzie ozdabiał klatki i akwaria? Nie wiem, co zrobię bez ciebie!

Gdy nadszedł dzień pożegnania, ze łzami w oczach wręczył mi skórzany portfel. W środku złotymi literkami wytłoczony był napis:

„Geraldowi Durrellowi od kolegów z pracy”. Troszkę się zdziwiłem, jako że pracowaliśmy tylko we dwóch, ja i Romilly, ale pewnie mu się wydawało, że tak brzmi lepiej. Podziękowałem mu serdecznie, po czym udałem się po raz ostatni na Potts Lane do sklepu Bellowa.

– Przykro mi, że odchodzisz – powiedział. – Naprawdę bardzo przykro. Mam tutaj... dla ciebie mały prezent pożegnalny.

Wręczył mi małą kwadratową klatkę, w której siedział ptak, najbardziej przeze mnie pożądany z całej kolekcji Bellowa – kardynał. Byłem oszołomiony.

– Jest pan pewien, że chce mi go dać?

– Oczywiście mój chłopcze, oczywiście.

– Ale czy to odpowiednia pora roku na dawanie tego rodzaju prezentów? – spytałem.

Bellów parsknął śmiechem.

– Oczywiście, że tak, oczywiście.

Wyszedłem od Bellowa i wstąpiłem do pułkownika na ostatnią bitwę. Gdy skończyliśmy – tym razem pozwoliłem mu wygrać – zaprowadził mnie na dół.

– Będzie mi ciebie brak, chłopcze. Bardzo brak. Ale pozostaniemy w kontakcie. Przygotowałem dla ciebie... mhm... małą niespodziankę.

Wręczył mi srebrną płaską papierośnicę z napisem: „Z wyrazami miłości, Margery”. Zdziwiłem się trochę.

– Och, nie zwracaj uwagi na ten napis – powiedział. – Możesz kazać go usunąć... to prezent od kobiety... którą kiedyś znałem. Pomyślałem, że ci się spodoba. Taka pamiątka, hm?

– Jest pan bardzo miły.

– Ach, drobiazg, drobiazg – powiedział, wydmuchał nos i zaczął wycierać monokl, po czym

wyciągnął rękę. – Powodzenia, chłopcze. Mam nadzieję, że kiedyś się jeszcze spotkamy.  
Nie zobaczyłem go już nigdy więcej. Wkrótce po moim wyjeździe zmarł.



## IV Awans

Mamfe, otoczone gęstym lasem tropikalnym, nie należy do miejsc o najzdrowszym klimacie, do czego przyczynia się również jego położenie na cyplu, nad zakrętem wielkiej brunatnej rzeki. Przez większą część roku jest tam wilgotno i gorąco jak w łaźni tureckiej, z pewnym urozmaiceniem podczas sezonu deszczowego, gdy jest jeszcze goręcej i wilgotniej.

W owym czasie ludność Mamfe składała się z pięciu białych mężczyzn, jednej białej kobiety i około dziesięciu tysięcy wrzaskliwych Afrykanów. Wybrałem to miejsce na główną siedzibę ekspedycji łowcy zwierząt chyba w chwili zaćmienia umysłu. Mieszkałem w dużym namiocie pełnym różnych dzikich stworzeń, nad brzegiem rzeki rozbrzmiewającej nawoływaniem hipopotamów. W trakcie pobytu miałem oczywiście okazję poznania białych. Afrykanie pomagali mi jako myśliwi, przewodnicy i przede wszystkim tragarze, gdyż podobnie jak za czasów Stanleya i Livingstone'a w czasie wędrówek po dżungli cały dobytek nosili na głowach rośli tubylcy.

Chwywanie dzikich zwierząt jest zajęciem niezwykle wyczerpującym i nie zostawia wiele czasu na życie towarzyskie, a jednak zdarzyło się coś, co sprawiło, że musiałem przyjść z pomocą, jak się to dawniej nazywało, władzom kolonialnym.

Pewnego ranka karmiłem mlekiem pięć nieporadnych wiewiórczątek, z których żadne nie objawiało najmniejszej chęci życia. Nie wynaleziono jeszcze wówczas butelki z odpowiednio małym smoczkiem, więc koniec zapalki owijało się watą, moczyło w mleku i wkładało do miniaturowego pyszczka, aby zwierzątko zaczęło ssać. Trwało to długo i wymagało ogromnej cierpliwości, gdyż przy nadmiarze mleka zwierzę się krztusiło. Poza tym należało wsuwać watę z boku, w przeciwnym bowiem razie zahaczała o zęby i w rezultacie zwierzątko mogło ją połknąć i zdechnąć wskutek zatkania jelita.

Była dziesiąta rano i upał tak doskwierał, że wciąż musiałem wycierać ręce, aby nie zalewać wiewiórczątka własnym potem i nie przeziębć go. Zirytowany, wciąż próbowałem dostarczyć mojemu podopiecznemu (który nie chciał współpracować) odrobiny substancji odżywczych, gdy nagle, w typowy dla Afrykanów bezgłośny i dość denerwujący sposób pojawił się mój służący, Pious.

– Panie? – rzekł.

– O co chodzi? – spytałem zniecierpliwiony, próbując wepchnąć nasączony mlekiem koniec zapalki do pyszczka wiewiórczątka.

– Idzie zarządca okręgowy.

– Zarządca okręgowy? – powtórzyłem zdumiony. – A czego on, u diabła, chce?

– Nie wiem, panie – odrzekł beznamiętnie Pious. – Pójść otworzyć piwo?

– Myślę, że tak – odparłem i gdy Martin Bugler, zarządca okręgowy, ukazał się na szczycie wzgórza, wepchnąłem wiewiórki z powrotem do pudełka z suszonymi liśćmi bananowca i wyszedłem z namiotu, aby się przywitać.

Martin był wysokim, chudym i nieco niezdarnym młodym mężczyzną z cienkimi, czarnymi włosami, o okrągłych, ciemnych oczach, zadartym nosie i szerokim przyjaznym uśmiechu. Miał długie ręce i nogi, a z powodu gwałtownych ruchów i przesadnie żywej gestykulacji często przytrafiały się mu różne wypadki. Jako zarządca jednak spisywał się bez zarzutu, gdyż niezmiernie kochał swoją pracę i, co ważniejsze, Afrykanów, którzy odwzajemniali się mu tym samym.

Teraz, gdy modne się stało ośmieszanie kolonializmu, zarządców i ich zastępców przedstawia się jako potwory i niegodziwców. Oczywiście zdarzali się i tacy, ale na ogół byli to wspaniali ludzie, którzy wykonywali niezwykle ciężką pracę w bardzo trudnych warunkach. Wystarczy wyobrazić sobie, że w wieku dwudziestu ośmiu lat dostaje się pod zarząd teren wielkości, powiedzmy, Walii, zamieszkały przez ogromną liczbę Afrykanów, i jednego zastępcę do pomocy. Trzeba dbać o wszystkie ich potrzeby, być dla nich matką i ojcem i do tego jeszcze wymierzać sprawiedliwość. W wielu wypadkach prawo, prawo angielskie, było tak skomplikowane, że nawet najbystrzejsze umysły tubylców nie mogły się uporać z paragrafami.

Wiele razy podczas moich wycieczek w głąb lasu przechodziłem obok dużego budynku sądu zbudowanego z glinianych brykietów, pokrytego blaszanym dachem i widziałem, jak Martin, zlany potem, próbuje rozwikłać kolejną sprawę. Trudność tkwiła w tym, że w wioskach, choć leżały od siebie tylko o kilka kilometrów, mówiono różnymi dialektami i jeśli doszło między nimi do waśni, trzeba było znaleźć dwóch tłumaczy, którzy znali oba dialekty i mogli przełożyć także słowa Martina. Podobnie jak w sądach na całym świecie, strony starają się nawzajem zagadać na śmierć. Cierpliwość i powaga Martina w takich sytuacjach wzbudzały mój podziw. Sprawy dotyczyły podejrzenia o kanibalizm, uprowadzenia żony czy też ustalenia, z dokładnością do centymetra, granicy między polami kakaowców i ignamów. Podczas wielu podróży w Afryce Zachodniej tylko raz zdarzyło mi się spotkać rzeczywiście antypatycznego oficera.

Zdziwiłem się, widząc Martina, gdyż o tej porze powinien tkwić po uszy w swoich pracach biurowych. Prawie biegł ze wzgórza, wymachując rękami jak wiatrak i wrzeszcząc coś niezrozumiałe. Czekałem cierpliwie, aż znajdzie się przy namiocie.

– A więc sam rozumiesz! – zawołał wyrzucając ręce w geście rozpacz. – Potrzebuję pomocy!

Podsunałem mu rozkładane krzesło i delikatnie go w nim usadziłem.

– Przestań, proszę, wywijać rękami jak oszalała modliszka – powiedziałem. – Przymknij się na moment i odpocznij.

Siedział, ocierając czoło przesiąkniętą potem chusteczką.

– Pious! – wrzasnąłem.

– Tak, panie? – odpowiedział Pious z kuchni.

– Podaj, proszę, piwo dla mnie i zarządcy!

– Tak, panie.

W tym raczej prymitywnym obozie piwo było obrzydliwe i oczywiście ciepłe jak woda w wiadrach, w których je chłodziliśmy. Jednak gdy człowiek poci się bez przerwy, nawet siedząc bez ruchu, i musi pić dużo płynów w ciągu dnia, piwo najlepiej spełnia swoją rolę.

Pious z powagą napełnił szklanki. Martin chwycił jedną drżącą ręką i pociągnął kilka szybkich łyków.

– A teraz – starałem się nadać głosowi uspokajający ton psychiatry – czy mógłbyś powtórzyć powoli i spokojnie, co wykrzykiwałeś zbiegając ze wzgórze? A w ogóle nie powinienes lecieć jak oszalały o tej porze dnia. Po pierwsze, może ci zaszkodzić, po drugie, źle wpływa na twój wizerunek publiczny. Już myślałem, że w Mamfe wybuchło powstanie i że ściga cię chmara Afrykanów z dzidami i muszkietami.

Martin wytarł twarz i łyknął piwa.

– Jest jeszcze gorzej – wysapał – o wiele, wiele, wiele gorzej.

– No to powoli i spokojnie powiedz mi, co się stało?

– Chodzi o komisarza okręgowego.

– A co z nim? Wylał cię z pracy?

– Jeszcze nie – powiedział Martin. – Ale niewiele brakuje. Dlatego potrzebuję pomocy.

– Nie rozumiem, jak mam ci pomóc. Nie znam komisarza i, jak sędzę, nikogo z jego krewnych, nie mogę więc się za tobą wstawić. Jakiegoż to odrażającego czynu się dopuściłeś?

– Chyba zacznę od początku.

– Tak będzie najlepiej.

Martin znów wytarł twarz, pociągnął ożywczy łyk piwa i rozejrzał się ukradkiem, aby się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje.

– Jak może zauważyłeś – zaczął – w sprawach czysto zawodowych radzę sobie całkiem nieźle, ale niestety, w zabawianiu jestem kiepski, wszystko wychodzi mi nie tak. Gdy zostałem mianowany zarządcą – miało to miejsce w Umfali – pierwsze, co mi się przytrafiło, to inspekcja tego cholernego komisarza. Z początku wszystko szło gładko. Okręg był utrzymany w najlepszym porządku i wyglądało, że komisarz jest ze mnie zadowolony. Zatrzymał się tylko na jeden dzień i pod wieczór cieszyłem się, że wizyta zakończy się sukcesem. Na moje nieszczęście nie zdążyłem naprawić na czas zepsutego sedesu. Zbudowałem więc wygodny wychodek z trawy z dala od werandy, za żywopłotem z hibiscusa. Wiesz, dziura w ziemi i krzyżak z żerdeń do siedzenia. Wytlumaczyłem dokładnie, co i jak, i wydawało się, że nie ma

problemu. Nie wiedziałem jednak, że wcześniej przez dobre kilkanaście dni z wychodka korzystała cała służba, sądząc, że zrobiłem go dla nich. Tuż przed obiadem komisarz poszedł do latryny. Odrzuciło go, gdy zobaczył jej zawartość – wychodek w jego mniemaniu przeznaczony był specjalnie dla niego – a do tego jeszcze, gdy tylko usiadł, zarwały się żerdki.

Tym razem ja się przeraziłem.

– Chryste Panie! – zawołałem. – Nie sprawdziłeś ich?

– Właśnie o to chodzi – odpowiedział. – Nie nadaję się do takich rzeczy.

– Przecież mógł się zabić albo gorzej – utopić. Wiem, jak wyglądają nasze latryny, i nie chciałyby się w nich znaleźć.

Zapewniam cię, że on też nie był zachwycony – powiedział Martin ponuro. – Zawołał o pomoc i oczywiście wyciągnęliśmy go, ale wyglądał jak... eeem... jak chodząca góra łajna. Całe godziny, aż do odjazdu następnego ranka, zajęło nam umycie go, wyczyszczenie i wyprasowanie ubrania. Wierz mi, drogi chłopcze, gdy zasiedliśmy do bardzo późnego obiadu, komisarz jadł niewiele, rozmowa przebiegała sztywno, w temperaturze niemal podbiegunowej.

– Nie potraktował tego z humorem? – spytałem.

– On niczego nie traktuje z humorem – rzucił porywczo Martin. – Ale prawdę mówiąc, nie winię go. Z kąpieli w gnoju trudno się cieszyć.

– Rozumiem cię doskonale. Napij się jeszcze piwa.

– Problem w tym, że nie po raz pierwszy popełniam błąd. Mam na koncie kilka takich wyczynów jeszcze jako zastępca, o czym wolałbym nie mówić. Dlatego tyle czasu zajęło mi dojście do pozycji zarządcy. Po wypadku z latryną zostałem odesłany do Umchichi, a wiesz, jak tam jest.

– Dobry Boże! Nigdy tam nie byłem, ale wiele słyszałem. Umchichi można nazwać Diabelską Wyspą, na którą zsyłano niesubordynowanych pracowników, gdy popadli w niełaskę. Mieszkało tam wielu trędowatych Afrykanów i więcej komarów niż gdziekolwiek na całym zachodnim wybrzeżu.

– Jakkolwiek opowieści twoje są fascynujące – zauważyłem – dalej nic z tego nie rozumiem.

– Właśnie o tym ci mówiłem, gdy zbiegałem ze wzgórza! – zawołał Martin. – Przyjeżdża na inspekcję! Za trzy dni! Potrzebuję twojej pomocy.

– Martin, choć bardzo cię lubię, nie będę się bawił w hostesę.

– Ależ nie, kochany, wiem, ale gdybyś choć troszkę mnie wsparł...

Trudno było nie zareagować na ten *cri de coeur*. Wszyscy biali w Mamfe i dziewięćdziesiąt dziewięć procent Afrykanów uwielbiało Martina.

– Muszę się zastanowić – powiedziałem.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu, Martin skurczony i spocony.

– Pious, przynieś jeszcze piwa dla zarządcy! – krzyknąłem wreszcie.

Gdy podano piwo, pochyliłem się i utkwilem w Martinie przenikliwe spojrzenie.

– Jedyny ratunek dla ciebie – oświadczyłem – to kobieta.

– Kobieta? – powtórzył zaskoczony Martin. – Jaka kobieta?

– Mary, żona zastępcy, jeśli nie pamiętasz – wyjaśniłem. – Kobiety najlepiej się nadają do takich spraw. Mamy też McGrade’a (był to pracownik wydziału robót publicznych, zarządzający naprawą mostów, budową dróg i innymi mało interesującymi rzeczami) i Girtona (pracownik Zjednoczonego Towarzystwa Afrykańskiego spędzający czas na sprzedawaniu Afrykanom tekstyliów oraz piwa i konserw białym). Z pewnością razem coś poradzimy.

– Drogi chłopcze – wzruszył się Martin – pozostanę twoim dozgonnym dłużnikiem. Cóż za błyskotliwa propozycja.

– Po pierwsze, trzeba obejrzeć twój dom.

– Przecież często w nim bywasz – zdziwił się Martin. – Byłeś kilka razy na obiedzie i mnóstwo razy na drinkach.

– Tak – potwierdziłem – ale nie widziałem nic poza pokojem gościnnym i werandą.

– No tak, rozumiem, oczywiście. W takim razie przyjdź go obejrzeć.

– Przeprowadzę Piousa, pożyczę ci go na wieczór. Mógłby usługiwać w rezydencji gubernatora. Jest dużo lepszy niż ten twój gbur, który bez wątpienia zdolny jest tylko do wylania zupy wprost na kolana komisarza.

– Boże! Nawet nie wspominaj o takich rzeczach!

Poszliśmy razem z Piousem do domu zarządcy położonego nad rzeką, wysoko na urwisku. Był bardzo piękny, o grubych ścianach i ogromnych pokojach, zbudowany w czasach, gdy Kamerun był niemiecką kolonią. Niemcy wiedzieli, jak się projektuje domy w gorącym klimacie: odczuwalny był najłżejszy podmuch z zewnątrz, a masywne ściany chroniły przed upałem na tyle, na ile to było możliwe w takim miejscu jak Mamfe. Po drodze wyjaśniłem Piousowi cały problem.

– To bardzo ważne. Wszyscy musimy zrobić, co w naszej mocy, aby pomóc zarządcy.

– Tak, panie – uśmiechnął się Pious, nareszcie zadowolony. Zawsze sądził, że spędzam zbyt dużo czasu przy zwierzętach i nie pozwalał mu się wykazać jako służącemu.

Gdy dotarliśmy na miejsce, z uwagą obejrzałem bawialnię i werandę. Były przestronne, umeblowane gustownie, choć po kawalersku.

– Po pierwsze – zacząłem – powinienś zdjąć ze ściany kalendarz.

– Dlaczego? – zdziwił się Martin. – Przecież ona jest prześliczna.

– Martin, jeśli komisarz zobaczy gołe baby porozwieszane po całym salonie, będzie miał o tobie nie najlepsze zdanie, więc zdejmij go.

Pious, który przysłuchiwał się rozmowie z uwagą, zdjął kalendarz z upozowaną lubieżnie kobietą, która przedstawiała tak oczywisty okaz ssaka, że nawet ja poczułem się skrępowany.

– A teraz sypialnia – powiedziałem.

Sypialnia także była duża, z podwójnym łóżkiem i moskitierą.

– Pious – poleciłem – idź, sprawdź, czy łóżko się nie rozleci. Chichocząc Pious okrążał łóżko na czworakach oglądając każdą nakrętkę i sworzeń.

– A teraz – zwróciłem się do Martina – razem na nim poskaczemy.

Co też uczyniliśmy i łóżko zachowywało się nienagannie.

– Dobra, w porządku. Tutaj nie widzę nic, czym komisarz mógłby sobie wyrządzić krzywdę. Gdzie zamierzasz go karmić?

– Karmić? – zdziwił się Martin.

– Tak, karmić – powtórzyłem zniecierpliwiony. – Chyba zamierzasz dawać mu jeść podczas pobytu, prawda?

– No, na werandzie.

– Nie masz innego miejsca?

– Jest jeszcze jadalnia.

– Jeśli ją masz, na litość boską, użyj jej. Przecież chcesz go ugościć jak najlepiej. Gdzie ona jest?

Zabrał mnie do bawialni, otworzył na oścież drewniane, masywne drzwi i oczom naszym ukazał się wspaniały pokój z długim stołem, mogącym pomieścić co najmniej dziesięć osób. Błat stołu był pięknie wypolerowany, ale nie używany pokrył się kurzem, podobnie jak stylowe, ciężkie, drewniane krzesła. Z sufitu nad całym trzymetrowym stołem zwisało coś, co w Indiach nosi nazwę „punka”. Jest to ogromny wentylator. Główny element stanowi długi bambus o średnicy około dwunastu, piętnastu centymetrów, z którego zwisają metrowej długości frędzle z liści palmowych. Ze środka bambusa biegnie linka poprowadzona przez szereg krążków wzdłuż sufitu aż do otworu w ścianie i dalej do kuchni. Zatrudnia się boya, który ciągnie linkę, wprawiając wentylator w ruch wahadłowy. Daje to co jakiś czas lekkie powiewy ciepłego powietrza podczas posiłku.

– Wspaniała rzecz – powiedziałem do Martina. – Komisarz będzie zachwycony.

Chyba tak – odparł Martin. – Nigdy o tym nie myślałem. Nie używałem tej przeklętej rzeczy. Czułbym się bardzo samotny siedząc tutaj.

– Potrzeba ci żony – oświadczyłem ojcowskim tonem.

– Staram się, naprawdę. Podczas urlopów. Ale gdy tylko usłyszą, gdzie mieszkam, zrywają zaręczyny. Ostatnim razem poznałem bardzo miłą dziewczynę, Molly, ale niestety jeden z jej wujków był kiedyś w Mamfe. Ten stary dureń opowiedział jej o tym w możliwie najgorszy sposób i do niczego nie doszło.

– Nie przejmuj się i nie ustawaj w staraniach. Musisz znaleźć kobietę na tyle głupią, żeby

zgodziła się z tobą tu zamieszkać.

Pious sprawdził dokładnie ogromny stół i krzesła. Obaj siadaliśmy na nich po kolei, a na koniec wypróbowaliśmy stół, wchodząc na niego i wykonując coś w rodzaju tanga, ale trwał niewzruszony.

– A teraz chciałbym, żebyś mianował Piousa szefem twoich pracowników, którzy, ogólnie mówiąc, nie na wiele się zdają.

– Wszystko, co każesz, drogi chłopcze, wszystko, co każesz – rzekł Martin. – Mów, co mam robić.

– Pious! – zawołałem.

– Panie?

– Mamy trzy dni na przygotowania. W tym czasie będziesz pracował i u mnie, i u zarządcy. Rozumiesz?

– Tak, panie.

Wyszliśmy na werandę.

– Idź do służącego zarządcy – poleciłem Piousowi – i każ mu przynieść drinka. Aha, Martin, jak mu na imię?

– Amos.

– Nie wygląda zbyt inteligentnie. A więc, Pious, przyprowadź Amosa, kucharza i boya. Porozmawiamy sobie.

– Tak, panie – odpowiedział Pious i energicznym, niemal żołnierskim krokiem skierował się do kuchni.

– Myślę, że kwestię jedzenia możemy spokojnie zostawić Mary – stwierdziłem. – Inni udzielą nam pewnie kilku rad, więc proponuję, żeby dziś wieczorem zwołać naradę wojenną. Wyślij do nich bileciki z zaproszeniem na drinka, wtedy wszystko przedyskutujemy.

– Jesteś moim wybawieniem! – zawołał z zachwytem Martin.

– Bzdura. Po prostu tylko cię naprowadzam. Najwyraźniej nie nadajesz się do życia towarzyskiego.

Pojawił się Pious z piwem na tacy, a za nim Amos, który w krótkich brązowych spodniach i kaftanie przypominał sympatyczną, acz chorą umysłowo małpę. Boy wyginał na bystrego, ale zupełnie niedoświadczonego, i jeśli uczył go Amos, nie miał szans na jakiegokolwiek postępy. Ze zdumieniem patrzyłem na ogromnego, chudego Murzyna z plemienia Hausa, który sądząc z wyglądu miał chyba ze sto dziesięć lat, w białym fartuchu, krótkich spodniach i ogromnej czapce kucharskiej, z krzywo wyhaftowanymi z przodu inicjałami „KB”.

– Słuchajcie – powiedziałem stanowczo – zarządca za trzy dni będzie gościł komisarza. Zażyczył sobie, aby mój służący wszystkiego dopilnował. Jeśli coś pójdzie nie tak, komisarz będzie zły na zarządcę, a zarządca i ja będziemy źli na was i wtedy wylecicie stąd z hukiem.

Pomimo surowego tonu, wszyscy wyszczerzyli do mnie zęby w uśmiechu. Zdawali sobie sprawę z doniosłości wydarzenia i rozumieli, że groźba wyrzucenia jest realna, ale wyczuli żartobliwy ton mojej wypowiedzi.

– A więc – wskazałem na służącego Martina – ty jesteś Amos.

– Tak, panie. – Amos wyprostował się.

– A jak tobie na imię? – zwróciłem się do boya.

– John, panie.

– Kucharz – odezwał się Martin chcąc przerwać przesłuchanie – nazywa się Jesus.

– Kochani, macie szczęście. Z Piousem i Jesusem do spółki na pewno sobie poradzimy.

A cóż to za niesamowity haft na czapce?

Martin wyglądał na bardzo zakłopotanego.

– Któregoś dnia kucharz przypadkowo ugotował niezwykle smaczny obiad – wyjaśnił Martin. – W jednej z gazet zobaczyłem zdjęcie szefa kuchni jakiegoś hotelu w Londynie i żeby zachęcić Amosa, obiecałem, że następnym razem, gdy wyjadę, kupię mu taką specjalną czapkę, noszoną tylko przez wybitnych kucharzy.

– Miły jesteś – powiedziałem – ale co oznaczają litery „KB”? Martin czuł się bardzo zażenowany.

– Żona mu wyhaftowała i jest z tego bardzo dumny.

– Ale co oznaczają? – nalegałem. Martin zmieszał się jeszcze bardziej.

– Kucharz Buglera.

– Czy on zdaje sobie sprawę, że może zranić czyjeś uczucia religijne, nazywając siebie Jesusem i nosząc czapkę z inicjałami „KB”?

Nie i nigdy nie starałem się mu tego wytłumaczyć – odparł Martin. – Pomyślałem, że go tylko zmartwię, a i tak już ma mętlik w głowie.

Pociągnąłem długi, kojący łyk piwa. John, Mary i Jesus, pomyślałem, tyłu tu świętych, jakby zamiast komisarza miał przyjechać papież.

– A teraz, Pious – poleciłem – przynieś trochę pasty do mebli.

– Tak, panie.

– I dopilnuj, żeby jadalnia była wysprzątana, a stół i krzesła porządnie odkurzone.

Rozumiesz?

– Tak, panie.

– Błat stołu ma wyglądać jak lustro. W przeciwnym razie wyrzucę cię na zbity łeb.

– Tak, panie.

– W przeddzień przybycia komisarza trzeba wyszorować podłogi i wyczyścić wszystkie meble. Rozumiesz?

– Tak, panie.



Widziałem, patrząc na jego pełną dumy twarz, że nie może się już doczekać tego ważnego spotkania i okazji pokazania swojej wyższości nad kolegami.

Martin pochylił się i szepnął mi ostrzegawczo do ucha:

– Boy pochodzi z plemienia Ibo.

Plemię to, pochodzące z Nigerii, słynie z przebiegłości. Często wędruje po Kamerunie, oszukując tubylców i dlatego Kameruńczycy traktują je z nieufnością i wrogością.

– Pious – powiedziałem – mały boy jest z Ibo.

– Wiem, panie – odparł Pious.

– Przypilnuj go, żeby pracował porządnie, ale nie znęcaj się, rozumiesz?

– Tak, panie.

– Dobra! – odetchnąłem zadowolony z moich poczynań, zupełnie jakbym był właścicielem domu Martina. – Podaj jeszcze piwa!

Służba podreptała do kuchni.

– Rzeczywiście – powiedział Martin z podziwem. – Świetnie sobie radzisz.

– Nigdy przedtem się tym nie zajmowałem, ale organizowanie przyjęć nie wymaga wielkiej wyobraźni.

– Ja niestety nie mogę się nią pochwalić.

– Nie sądzę, żeby brakowało ci wyobraźni. Tylko ktoś o wyjątkowej wrażliwości i fantazji mógł przywieźć z podróży swemu kucharzowi czapkę kucharską.

Popijaliśmy piwo, a ja zastanawiałem się, jaką jeszcze katastrofą może grozić pobyt w tym domu.

– Czy ubikacja działa? – spytałem podejrzliwie.

– Bez zarzutu.

– Postaraj się, na litość boską, żeby twój boy nie wrzucił tam przypadkiem owocu papai, bo chyba nie chcemy powtórki tego, co zaszło ostatnim razem. Wyślij zaraz bileciki do pozostałych, ja przyjdę około szóstej i odbędziemy naradę wojenną.

– Cudownie – ucieszył się Martin. Położył mi rękę na ramieniu i uściśnął serdecznie. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Nawet Standish nie zorganizowałby tego lepiej.

Standish był zastępcą zarządcy i teraz przedzierał się pewnie gdzieś przez góry w północnej Mamfe, rozwiązując problemy innych wiosek.

Pospieszyłem do swego namiotu i wrzaskliwej rodzinki. Pomagając Martinowi wypadłem z ustalonego rytmu dnia i wiewiórczątka gwałtownie domagały się jedzenia, jeżozwierze chrupały batony, a małe „galagi”, krewniaki lemurów, wpatrywały się we mnie swymi ogromnymi oczami obrażone, że po obudzeniu się z drzemki nie znalazły w klatkach misek z drobno pokrojonymi owocami.

O szóstej zjawiłem się w rezydencji zarządcy. Mary Standish, żona zastępcy, już tam była –

młoda, piękna kobieta, zdradzająca skłonność do tycia, o wyjątkowo łagodnym usposobieniu. Standish znalazł ją w jakimś ponurym miejscu typu Surbiton lub Penge i wrzucił w sam środek Mamfe. Mieszkała tu od sześciu miesięcy, a była tak subtelna i słodka, że akceptowała wszystko i wszystkich ze spokojem i pogodą ducha. Gdyby ktoś dostał nieznośnego bólu głowy, dotyk jej pulchnej ręki na czole miałby taki sam efekt, jak chusteczka zmoczona w wodzie kolońskiej.

– Gerry! – pisnęła. – Czyż to nie ekscytujące?

– Może dla ciebie – odparłem – ale dla Martina to prawdziwe utrapienie.

– Ale przyjeżdża sam komisarz! To może oznaczać awans dla Martina, a nawet dla Aleca.

– Jeśli organizacja będzie nienaganna – zauważyłem. – Zwołałem was, żeby się upewnić, że nic nie nawali. Jak wiesz, Martin zawsze ściąga na siebie nieszczęścia.

Martin, myśląc, że zamierzam jej opowiedzieć potworną przygodę z latryną, wykonał jeden ze swoich szerokich gestów, aby mnie powstrzymać, i zrzucił szklankę z piwem na podłogę.

– Przepraszam, panie – natychmiast odezwał się Amos. Kameruńczycy mieli uroczy zwyczaj przeproszania, gdy zdarzył się jakiś wypadek, jakby oni ponosili winę. Jeśli na przykład idąc w lesie za grupą tragarzy zdarzy ci się potknąć na korzeniu i zranić w kolano, od razu słyszysz: „Przepraszam, panie”, „przepraszam, panie” powtarzane kolejno przez wszystkich tragarzy.

– Teraz już rozumiesz, co miałem na myśli, prawda? – powiedziałem do Mary, gdy Amos wytarł podłogę i przyniósł Martinowi następną szklankę piwa.

– Tak, doskonale – odparła Mary.

– Omówimy wszystko, gdy zjawią się inni.

Popijaliśmy piwo w zamyśleniu, przysłuchując się parskaniom i porykiwaniom hipopotamów w rzece sto metrów poniżej.

Pierwszy pojawił się McGrade. Był to imponujący Irlandczyk, nieprawdopodobnych rozmiarów, z włosami koloru skrzynki pocztowej i żywymi, niebieskimi oczami. Mówił z cudownym irlandzkim akcentem, który można porównać do dobrze ubitej śmietany wylewającej się z dzbanka. Padł swym potężnym ciałem na krzesło, chwycił szklankę Martina, pociągnął spory haust i powiedział:

– Więc oczekujesz wizyty jego wysokości?

– Ma przyjechać najszybciej, jak zdoła – wyjaśnił Martin – i czy byłbyś tak uprzejmy oddać mi moje piwo? Odczuwam pilną potrzebę.

– Podróżuje drogami?

– Tak myślę, a dlaczego pytasz?

– Ten stary most na rzece długo nie wytrzyma. Jeśli komisarz zechce nim przejechać, może tam zostać na zawsze.

Był to wiszący most zbudowany na początku dwudziestego wieku. Pomimo niebezpieczeństwa często z niego korzystałem, ponieważ tamtędy wiodła jedyna droga do lasu.

Pilnowałem, by tragarze przechodzili pojedynczo. Przewidywania McGrade'a były jak najbardziej słuszne. Nie dalej jak kilka miesięcy temu schodziła z gór liczna grupa krajowców, dźwigając na głowach worki ryżu. Gdy weszli całą gromadą na most, zarwał się i wszyscy runęli trzydzieści metrów w dół wąwozu. Afrykanie są bardzo podobni do Greków. Podchodzą do takich zdarzeń z całkowitym spokojem. W rezultacie nikt nie został ranny, a jedyna rzecz, która ich zdenerwowała, to utrata ryżu.

– Komisarz w takim razie nie powinien jechać tym mostem, tak? – Martin popatrzył na nas wyczekująco. – Tym bardziej jeśli ma ze sobą tragarzy.

McGrade pochylił się i poklepał go z powagą po głowie.

– Tylko żartowałem. Wszystkie drogi i mosty, które będzie przekraczał, są w idealnym stanie. Gdy chcesz, by coś zostało dobrze wykonane, zatrudnij Irlandczyka.

– Mamy Jesusa, musimy mieć katolika – zauważyłem ironicznie.

– I ciebie – McGrade uśmiechnął się do mnie słodko, czochrając swoje szkarłatne włosy – piekielnego bezbożnika kolekcjonującego zwierzęta.

– Zamiast siedzieć cały czas w konfesjonale, powinieneś więcej czasu poświęcać naprawom tych okropnych dróg i mostów – odparowałem.

W tym momencie pojawił się Robin Gitron. Był to niski, śniady mężczyzna o orlim nosie i piwnych oczach, w których zawsze malowało się rozmarzenie, i podczas rozmowy czuło się, że jest nieobecny. Ale obecność swą bez wątpienia zaznaczał, jak wszyscy członkowie Towarzystwa Zjednoczonej Afryki, nadzwyczajną przenikliwością. Nigdy się nie odzywał, chyba że było to absolutnie konieczne. Zwykle siedział nieruchomo, jak w stanie głębokiego transu hipnotycznego, by nagle, ciepłym głosem z lekkim północnobrytyjskim akcentem, rzucić uwagę trafną i głęboką, nieraz puentującą półtoragodzinną dyskusję.

Gitron usadowił się wygodnie na krześle, przyjął szklankę piwa i powiódł spojrzeniem po naszych twarzach.

– Czyż to nie ekscytujące? – zawołała Mary.

Robin popijając piwo skinął dostojnie głową.

– Zakładam – powiedział – że nie zostaliśmy tu wezwani, aby znowu wyręczać w czymś Martina?

– Chwileczkę – oburzył się Martin. – Jeśli nie masz zamiaru zmienić tonu, to możesz od razu wyjść.

– Wyjdziemy, gdy skończy się twoje piwo – stwierdził McGrade.

– Co miałeś na myśli mówiąc, że mnie wyręczasz? – dopytywał się Martin.

– No cóż, znacznie więcej działałem dla dobra społeczności, sprzedając konserwową fasolę i metry materiału z wytłaczanymi samolotami, niż ty biegając z wioski do wioski i wieszając ludzi na lewo i prawo za zabójstwo babci, która i tak powinna już dawno nie żyć.

– Ależ ja nikogo nie powiesiłem, odkąd tu jestem – zachnął się Martin.

– Dziwię się to słysząc. Zarządzasz tym okręgiem tak fatalnie, że egzekucje powinny odbywać się co tydzień.

Przysłuchując się ich rozmowie, można by sądzić, że się nienawidzą, ale naprawdę stanowili parę wiernych przyjaciół. W tak małej grupie Europejczyków trzeba nauczyć się współżyć z ludźmi tego samego koloru skóry i szukać wzajemnego porozumienia. Nie chodziło tu o segregację rasową. Po prostu w tamtym czasie liczna inteligencja afrykańska, która mieszkała lub odwiedzała Mamfe, wcale nie pragnęła mieszać się z białą społecznością. Ich niezwykła wrażliwość podpowiadała im, że w takich sytuacjach pojawiłoby się niezręczne zakłopotanie po obu stronach.

Zrozumiałem, że najwyższa pora na rozpoczęcie zebrania, więc chwyciwszy butelkę piwa uderzyłem nią o stół. Natychmiast z kuchni dobiegł chór głosów: „Tak, panie”, „Idę, panie”.

– To pierwsza rozsądna rzecz, jaką uczyniłeś od mojego przyścia – oświadczył Robin.

Pojawił się Pious niosąc tacę z życiodajnym płynem i gdy wszystkie szklanki zostały ponownie napełnione, powiedziałem:

– Przywołuję zebranych do porządku!

– O rany! – rzekł lekko Robin – Toż to dyktatura.

– Chociaż wszyscy wiemy – ciągnąłem – jak świetnym towarzyszem, na swój sposób, jest Martin, wiemy również, jak złym jest zarządcą i, gorzej, jak tragicznie sobie radzi w życiu towarzyskim...

– No wiesz! – jęknął żałośnie Martin Myślę, że to słuszna ocena – zgodził się Robin.

– A ja myślę, że jesteś dla niego okrutny – zaproponowała Mary. – Uważam, że jest doskonałym zarządcą.

– Jakakolwiek jest prawda – podjąłem szybko – nie będziemy się teraz w to zagłębiać. Celem zebrania jest zorganizowanie przyjęcia od strony towarzyskiej, Martin będzie się zajmował utrzymaniem porządku w okręgu tak, by nie było żadnych zgrzytów i wszystko przebiegało gładko. Na początek obejrzałem dom i mianowałem Piousa szefem pracowników Martina.

– Czasami – odezwał się McGrade – zdarzają ci się przebłyski geniuszu, co można przypisać tylko tym kilku kroplom irlandzkiej krwi w twoich żyłach. Od dawna zazdroścę ci tego służącego.

– I zazdrość sobie dalej – odparłem. – Nie odbierzesz mi go. Jest zbyt cenny. Przechodzimy do problemu jedzenia. Tu myślałem o pomocy Mary.

Mary rozkwitła jak pączek róży.

– Och, oczywiście – powiedziała. – Zrobię wszystko. Miałeś coś konkretnego na myśli?

– Martin, przypuszczam, że komisarz zostanie tylko na jeden dzień, więc możemy rozważyć

trzy posiłki. O której godzinie przyjeżdża?

– Myślę, że o siódmej, ósmej.

– Co proponujesz, Mary?

– Teraz najlepsze byłyby awokado i jeśli przyrządzić je z nadzieniem z krewetek w sosie majonezowym, na który mam przepis...

– Mary, najdroższa – wtrącił Robin – nie mam w sklepie krewetek w puszcze i jeśli sądzisz, że spędzę dwa następne dni brodząc w rzece z siatką i opędzając się od atakujących hipopotamów, to się grubo mylisz.

– Na razie zostanmy przy awokado – zaproponowałem. – Czy on pija herbatę, czy kawę?

– Właściwie nie wiem – odparł Martin. – Podczas ostatniego spotkania nie przypadliśmy sobie do serca, więc nie poznałem jego upodobań.

– W takim razie trzeba przygotować i jedno, i drugie.

– A potem – wtrąciła z podnieceniem Mary – coś prostego, jak jajecznica.

Martin z całą powagą zapisywał w notesie każdą uwagę.

– To zajmie jakiś czas – zauważyłem. – Przypuszczam, że zechcesz mu pokazać okolice?

– Tak – odparł Martin – już wszystko zorganizowałem. Pochyliliśmy się jednocześnie i wbiliśmy w niego wzrok.

– Jesteś pewien? – spytałem dociekliwie.

– Och, tak, tak, naprawdę, w tej kwestii nie mam żadnych obaw. Tylko te nieszczęsne atrakcje towarzyskie.

– Powiedzmy, że zechce zwiedzić dalsze tereny – podsunąłem.

– Z pewnością – powiedział Martin. – Wszędzie wtyka nos.

– W takim razie proponuję piknik. Poza tym na pikniku trudno się spodziewać obsługi jak u Ritza, nie?

– Na tym odludziu – wtrącił Robin – spędzamy czas głównie na piknikach, lunchach, obiadach i śniadaniach; nie sądzę, żebyśmy go zaskoczyli pomysłem pikniku.

Ja przygotowuję jedzenie – rzekła Mary. – Zrobię comber kozi na zimno. Mam też dwie główki sałaty. Mój biedny boy zapomniał podlewać grządki przez cztery dni i straciłam prawie wszystkie. Ale te dwie powinny być jeszcze dobre. Trochę zwiędłe, ale zawsze to sałata.

Martin dalej skrupulatnie notował.

– A co podamy później? – spytał z niepokojem.

– Może *sour-sour* – podsunąłem. Był to niezwykle owoc wyglądający jak duży zdeformowany melon z wybrzuszeniami, o białej papkowatej zawartości. Ubity miąższ miał delikatny, lekko cytrynowy smak, bardzo orzeźwiający.

– Cudownie – ucieszyła się Mary. – Wspaniały pomysł.

– Rozumiem, że sprawa śniadania i lunchu jest załatwiona – rzekłem. – Przechodzimy do

obiadu, rzeczy chyba najważniejszej. Odkryłem, że Martin ma bardzo elegancki pokój jadalny.

– Martin ma jadalnię? – zdziwił się McGrade.

– Tak – potwierdziłem – i to bardzo wytworną.

– Dlaczegoż to – obruszył się McGrade – podczas tych rzadkich zaproszeń na obiad ten skąpy drań zmusza nas do jedzenia na werandzie niczym bandę protestanckich Cyganów?

– Daruj sobie – uciałem – i chodź sam zobacz.

Wszyscy z namaszczeniem udaliśmy się do jadalni. Z satysfakcją stwierdziłem, że Pious zdażył w tym czasie – choć zupełnie nie wiedziałem, jak to zrobił – wyczyścić na najwyższy połysk stół i krzesła. Można się było w nich przejrzeć jak w lustrze.

– Jest cudowny – zachwyciła się Mary. – Martin, nigdy nam nie mówiłeś, że masz taki pokój.

– Rzeczywiście zachwycający – przyznał McGrade i uderzył pięścią w blat z taką siłą, że czekałem, jak się rozpadnie na pół.

– Tutaj można wydać wspaniały obiad – podziwiła dalej Mary. – Cóż za doskonałe otoczenie. Jaka szkoda, że nie mamy świeczników.

Właśnie chciałem ją poprosić, żeby nie wprowadzała więcej zamieszania, gdy odezwał się niespodzianie Robin.

– Mam cztery.

Spojrzelśmy na niego zdumieni.

– Oczywiście nie są ze srebra, nic w tym stylu – powiedział Robin. – Te mosiężne świeczniki kupiłem w Kano. Trzeba je trochę odświeżyć, ale prezentują się nieźle.

– Cudownie. – Oczy Mary zabłyśły. – Obiad przy świecach. Będzie oczarowany.

– Jeśli wolno uczciwemu irlandzkiemu katolikowi dojść do słowa wśród tej gromady trajkoczących bezbożników – wtrącił McGrade – to czy mógłbym zadać jedno pytanie?

Spojrzelśmy na niego wyczekująco.

– Skąd weźmiemy świece?

– Boże, tak, nie pomyślałam o tym – zmartwiła się Mary. – Nie można postawić świeczników bez świec.

– Nie rozumiem, dlaczego nikt mnie nie docenia – rzekł wolno Robin. – Kupiłem świeczniki, bo mi się podobały, i zamierzałem ich używać. Do domu, w którym obecnie przebywam, nie pasuje średniowieczny przepych, ale zabezpieczyłem się i sprowadziłem całe mnóstwo świec, które roztapiają się powoli od czasu mojej przeprowadzki do Mamfe. Jeśli jeszcze nie ścięły się w jedną masę, może uratuję kilka. Zostawcie to mnie.

Znając Robina nie musieliśmy się obawiać, że świece zmieniły się w jednolitą lepka masę, jak sugerował, gdyż nie wątpiłem, że sprawdza je cztery razy dziennie.

– Mary, zajmiesz się kwiatami? – spytałem.

– Kwiatami? – nie rozumiał Martin.

– Ależ oczywiście – odparłem. – Kilka bukietów begonii lub czegoś w tym rodzaju doda temu miejscu trochę blasku.

– Może być kłopot – powiedziała Mary. – O tej porze kwitnie niewiele roślin. Mamy naturalnie hibiscus...

– Święta Panienko! – zawołał McGrade. – Cały czas otacza nas hibiscus. Nie nadaje się do kompozycji kwiatowej. To tak, jakbyś przeniósł dżunglę do domu.

– Znam pewnego myśliwego – oznajmiłem – który świetnie wspina się po drzewach. Niedawno oprócz zwierząt przyniósł mi piękne orchidee, które zerwał z czubka drzewa. Skontaktuję się z nim i każę mu dostarczyć z lasu potrzebne kwiaty. Wtedy, Mary, moja droga, przygotujesz bukiet.

– Uwielbiam układać kwiaty – powiedziała Mary – i jeśli uda się zdobyć orchidee, będzie cudownie.

Martin skrobał zawzięcie w notesie.

– A więc – zwróciłem się do niego – co postanowiliśmy jak dotąd?

– Sprawdziliśmy łóżko i meble, pouczyliśmy służbę, przygotowaliśmy śniadanie. Mary zajmie się lunchem i kwiatami, to tyle.

– Jeszcze drinki – dodałem.

– Tym bym się nie martwił – oświadczył Robin. – Zajmując się rozprawdaniem tego towaru, miałem sposobność stwierdzić, że Martin jest niepoprawnym pijuseffl, i mógłbym ci powiedzieć, z dokładnością do jednej butelki, ile ich ma na składzie. – Zerknął do swojej pustej szklanki spojrzeniem pełnym melancholii. – Opilstwo to rzecz, do której nigdy nie mogłem się przyzwyczaić.

– Na litość boską, zamknij się – zirytował się Martin. – Jeśli chcesz jeszcze drinka, zawołaj Amosa.

– Uspokójcie się, dzieci! – zawołałem. – Wracajmy na werandę i wznosząc głosy ponad miłosne okrzyki hipopotamów, rozważmy rzecz najważniejszą.

Powędrowaliśmy z powrotem na werandę, napełniliśmy szklanki i przez krótką chwilę siedzieliśmy, wsłuchując się w cudowne odgłosy afrykańskiego lasu nocą. Świetliki, zielone jak szmaragdy, z błyskiem przelatywały obok, cykady i świerszcze wygrywały skomplikowane bachowskie melodie, co jakiś czas dało się słyszeć czknięcie, pomruk lub ryk hipopotamów.

– Jeśli dobrze zrozumiałem twój pokrętny, pogańsko-protestancki umysł – odezwał się McGrade, opróżniając szklankę i stawiając ją na stole w oczekiwaniu, że ktoś ją ponownie napełni – najważniejszą rzeczą dla ciebie jest wieczorny obiad.

– Tak – potwierdziliśmy jednocześnie ja i Martin.

Na placówce tak zapomnianej jak Mamfe, do której zawitał ktoś tak podniosły jak komisarz,

oczywiste było, że na obiedzie zjawia się wszyscy biali mieszkańcy.

– Tutaj bardzo liczę na pomoc Mary – oświadczyłem.

– O tak – zgodziła się ochotczo Mary – rzeczywiście mogę się przydać. Myślisz o czterech czy pięciu daniach?

– Święta Mario! – zawołał McGrade. – Jak, do licha, wyobrażasz sobie zorganizowanie jedzenia na pięć dań z tym leniwym protestantem odpowiedzialnym za sklepy?

– Nie zważając na ten obraźliwy katolicki atak na moją osobę – odparł z godnością Robin – muszę przyznać, że ze względu na niski poziom wody w rzece i niemożność przedostania się łodzi, mam kłopoty z dostawami towarów. Jednakże, jeśli McGrade zamierza przyjść na obiad, proponuję podać mu talerz z gotowanymi słodkimi ziemniakami, które stanowią podstawę diety irlandzkich katolików.

– Czy sugerujesz, że jestem grubasem? – spytał zimno McGrade.

– Nie, tylko obrzydliwym brudasem – uciał Robin.

Walnąłem butelką w stół.

– Przywołuję was do porządku. Nie chcemy chyba dyskutować o niczych cechach fizycznych czy ułomnościach. Omawiamy teraz menu.

– Powinniśmy przygotować coś na wejście – powiedziała Mary.

– We Francji – zauważył Robin – określają to *entree*, co można rozumieć na dwa sposoby, jeśli wiesz, o czym mówię.

– Nie, nie – pokręciła głową Mary. – Miałam na myśli coś soczystego, coś, co by pobudziło podniebienie.

– Dobry Boże! – mruknął McGrade. – Jestem tu od trzech lat i nigdy nic mnie nie pobudzało, zwłaszcza mojego podniebienia.

– Jeśli zamierzasz postawić świeczniki, musisz podać odpowiednie do nich potrawy – zauważyła Mary.

– Miłości mego życia – szepnął słodko McGrade – całkowicie się z tobą zgadzam. Przy braku jakichkolwiek produktów nie pojmuję, jak zamierzasz podać pięć dań, gdy ten nieużyteczny drań ze Zjednoczonego Towarzystwa Afrykańskiego ma pewnie tylko kilka puszek konserwowej fasoli i do tego łódź osiadła mu na mieliźnie.

Przestałem panować nad sytuacją, więc znów walnąłem butelką o stół. Z kuchni dobiegły natychmiast okrzyki „Tak, panie” i więcej piwa pojawiło się na stole.

– Zostańmy zatem przy trzech daniach – rzekłem pojednawczo – jak najprostszyc!

– Na początek niech będzie suflet – podsunęła Mary.

– Jesus nie umie robić suflet ów – oznajmił Martin.

– Kto? – spytała zdumiona Mary.

– Jesus, mój kucharz – wyjaśnił Martin.



– Nie miałem pojęcia, że na imię mu Jesus – zdziwił się McGrade. – Dlaczego nie obwieściłeś światu, że znowu zmartwychwstał?

– Przybrał bardzo niezwykłą postać – zauważył Robin. – Metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu, należy do plemienia Hausa z wyraźnie zaznaczonymi znakami plemiennymi na policzkach, umiera w oczach i na dodatek nie umie gotować.

– No właśnie – wtrącił Martin. – Dlatego nie możemy podać sufletów.

– Och! – zasmuciła się Mary. – Mogłabym je przygotować, ale komisarz nie powinien mnie chyba widzieć w kuchni, prawda?

– Absolutnie nie – powiedział stanowczo Martin.

– A może kawałek dziczyzny? – Robin spojrzał na mnie pytająco.

– Chociaż bardzo chciałbym pomóc Martinowi – odparłem – nie zamierzam zabijać żadnej z moich antylop w celu dostarczenia komisarzowi dziczyzny.

– No to może gotowane jajka na grzance – zaproponował McGrade, który kończył już piątą butelkę piwa i trudno mu się było skupić.

– Wydaje mi się, że to niezbyt wyszukana potrawa – zauważyła Mary. – Oni lubią być rozpieszczani.

– Coś wam powiem... – zawahałem się przez chwilę. – Próbowaliście kiedyś wędzonego jeżozwierza?

– Nie – odpowiedzieli wszyscy chórem.

– Jest doskonały, gdy go odpowiednio przyrządzić. Znam myśliwego, który ciągle znosi mi jeżozwierze licząc, że je kupię. Ponieważ używają tych okropnych stalowych sideł, zwierzęta docierają do mnie w bardzo złym stanie. Kupuję je, uwalniam od utrapień tego świata, a mięsem żywię moje zwierzęta. Czasami jednak wysyłam część do starego boya Josepha – kolejny święty do kolekcji. Wędzi je na tylko sobie znanym gatunku drewna, dodając różnych ziół, których pochodzenia nie chce ujawnić. Rezultat jest wyśmienity.

– Ty protestancka świnió! – burknął McGrade. – Ukrywałeś to przed nami!

– Tylko dlatego, że jeżozwierzy jest za mało. Chociaż dzisiaj przyniesiono mi dwa. Musiałem je zabić, gdyż były w bardzo złym stanie. Miałem zamiar dać je moim zwierzętom, ale w tej sytuacji mogę poprosić Josepha, żeby je uwędził. W ten sposób będziemy mieli co podać do tostów, które Mary tak ślicznie nazwała wejściami.

– Dochodzę do przekonania – oznajmił McGrade – że płynie w tobie irlandzka krew. To świetny pomysł.

– Nie możemy podać komisarzowi jeżozwierza! – przeraziła się Mary.

– Droga Mary – powiedziałem spokojnie – wcale nie musisz mu mówić, że to jeżozwierz. Powiesz, że to dziczyzna. Będzie tak delikatnie uwędzone, że nikt o podniebieniu na miarę komisarza się nie połapie.

Martin sprawdził swój zapis.

– Co podamy na ciepło?

– Oj, przestań – rzekł Robin. – Czuję się od razu jak w Worthing, gdzie na swoje nieszczęście się wychowywałem. Miałeś na myśli dwa następne dania?

– To właśnie powiedział – wtrąciła Mary. – Przestałbyś mu dokuczać. Przyszliśmy tutaj, żeby mu pomóc.

Robin wznosił szklanką toast na cześć Mary.

– Święta Mary, jestem ci oddany z wielu powodów, ale przede wszystkim dlatego że przed rozstaniem pragnąłbym dotrzeć do samego dna twojej ignorancji.

– Naprawdę, mężczyźni są tacy głupi – obraziła się Mary. – Sądziłam, że mieliśmy przedyskutować, co będziemy dalej jeść.

– Czy możemy przyjąć – podsunął McGrade – że komisarz prawdopodobnie umrze po zjedzeniu wędzonego jeżozwierza i nie trzeba wtedy rozważać następnych dań?

– Nie, Boże, nie! – zawołał Martin, biorąc dosłownie jego słowa. – Musimy coś jeszcze przygotować.

– Zorganizujemy czuwanie przy zwłokach – zaproponował McGrade. – Nie ma nic lepszego niż stary irlandzki zwyczaj, który wprawi nas we frywolny nastrój.

– Lepiej zamknij się i posłuchaj! – powiedziałem zniecierpliwiony. – Zaczniemy od wędzonego jeżozwierza. Później proponuję pieczeń w sosie orzechowym.

Wszyscy jęknęli.

– Nic innego nie jemy tylko pieczeń w sosie orzechowym – skarżył się Robin. – Tylko na tym żyjemy. To nasze żelazne danie. Podstawowy składnik diety.

– Chwileczkę – wtrącił Martin z entuzjazmem. – Właśnie dlatego kupiłem Jesusowi czapkę kucharską.

Pozostali nie bardzo wiedząc, o co chodzi, patrzyli na niego zdziwieni.

– Chcesz powiedzieć, że on robi dobrą pieczeń?

– Tak, najlepszą, jaką kiedykolwiek jadłem.

Danie to można opisać jako rodzaj duszonego na sposób irlandzki mięsa z tłustym sosem i orzechami, podane z całą masą różnych sałatek. Potrawa wyśmienita lub koszmarna.

– Jeśli Jesus umie zrobić pieczeń – stwierdziłem – to Pious doskonale poradzi sobie z sałatkami. Główne danie mamy więc z głowy.

– Co podamy na słodko? – dopytywał się Robin.

Zastanawialiśmy się przez chwilę, po czym spojrzeliśmy po sobie.

– No cóż – rzekła Mary z rozpaczą. – Będziemy musieli się oprzeć na naszych starych zapasach.

– Tak, wiem – mruknął McGrade. – Sałatka fluktowa.

Stanowiła ona nieodłączny składnik naszego menu, a nazywaliśmy ją tak, gdyż Afrykanie nie mogli wymówić głoski „r” łącznie z „f”.

– Chyba musi wystarczyć – przyznał z rezygnacją Robin.

– O tej porze roku są doskonałe owoce – zauważyła Mary. – Myślę, że uda się nam zrobić coś specjalnego.

– Wspaniale – rzekłem. – Sprawa załatwiona.

– Jeszcze drinki, kawa na werandzie i wsadzimy tego drania jak najszybciej do łóżka – dokończył McGrade. – Zobaczycie jasno świecącą aureolę nad moją głową, gdy zacznę mu opowiadać o tych mostach, które się zarwały, i drogach, które trzeba naprawić.

– Nie waż się mówić takich rzeczy – przestraszył się Martin. – Zamierzam go przekonać, że teren jest w idealnym stanie.

– Zawsze mnie intrygowało – zadumał się Robin – jak Anglia zdołała utrzymać się w roli kolonizatora, jeśli Anglicy wyczyniali takie głupoty, jak my dzisiaj. Cóż, wracam do pieczeni i świeczników.

Wstał i wyszedł, by po chwili pojawić się znienacka.

– Jeszcze jedno. Nie mam smokingu i fraka. Czy to istotne?

– Och, nie – odparł Martin – nie, nie, ale włóż chociaż marynarkę i krawat. Po pięciu minutach tak się spocimy, że trzeba będzie je zdjąć. Najważniejsze, żebyś się w niej pokazał.

O, Boże, jedyny krawat, jaki miałem, leżał w walizce jakieś pięćset kilometrów stąd. Poradziłem sobie z tym problemem następnego dnia.

Gdy Pious przyniósł mi rano filiżankę herbaty i gdy pozbyłem się wiewiórki, czterech mangust i małego szympansiątka z łóżka, które dzieliły ze mną, w ich przekonaniu – ze szczerą miłością i oddaniem, a w moim – z troski o ich delikatne zdrowie, poleciłem Piousowi pójść do sklepu i kupić mi krawat.

– Tak, panie – powiedział i rozdawszy polecenia pozostałym służącym, dumnym krokiem powędrował do miasta, by po pewnym czasie wrócić z krawatem o tak psychodelicznych barwach, że obawiałem się jego szkodliwego wpływu na wzrok komisarza. Pious zapewnił mnie jednak, że był to najspokojniejszy krawat w całym sklepie, i musiałem uwierzyć mu na słowo.

Nie trzeba dodawać, że następne kilka dni wszyscy nawzajem wyprowadzaliśmy się z równowagi. McGrade, bardzo dumny ze swoich dróg i mostów, spostrzegł nagle ku swojemu przerażeniu, że podjazd do domu Martina usiany jest dziurami, wypożyczył więc z miejscowego więzienia skazanych, aby wyrównali i wysypali żwirem całą drogę dojazdową. Teren nabrał wyglądu małej, ale niezmiernie eleganckiej posiadłości kolonialnej. Poszedłem do starego Josepha i przekonałem go, by uwędził dla mnie dwa jeżozwierze. Następnie skontaktowałem się z moim myśliwym, który obiecał, że w przeddzień przyjazdu komisarza pójdzie do lasu i znajdzie jakieś kwiaty. Robin bezskutecznie przetrząsał sklepy Zjednoczonego Towarzystwa

Afrykańskiego, ale nie znalazł nic atrakcyjnego. Ogarnęła go rozpacz, łódź bowiem nie mogła wypłynąć w górę rzeki, a różne specjały, które byłyby godne komisarza, pokończyły się. Jednak oznajmił nam triumfalnie, że odkrył – Bóg jeden wie, jak się tam znalazły – trzy małe puszkę kawioru, zostawione przez poprzednika.

– Nie wiem, czy da się je zjeść – popatrzył na nie posepnie. – Leżą od trzech lat. Pewnie zatrujemy się ptomainami, ale zawsze to kawior.

Mary przezornie sprawdziła, czy w domu są jakieś wazoniki na kwiaty, po czym udała się do sklepu i kupiła pięć nawet eleganckich kalebas. Próbowała też na piętnaście sposobów zrobić z Jesusem suflety, ale bez rezultatu i ostatecznie musieliśmy ukręcić całej sprawie łeb.

Czułem się pewniej, mając świadomość, że Pious większość czasu spędza u Martina, nawet jeśli oznaczało to dokuczanie Jesusowi. Wiedziałem, że rzetelnie wykona swoją pracę.

W wieczór poprzedzający przybycie komisarza spotkaliśmy się jeszcze raz, aby ocenić efekty naszych działań. Wszystko szło jak w zegarku. Jeżozwierze zostały uwędzone i pachniały apetycznie, chociaż wyglądały na lekko nie dogotowane. Mój przyjaciel myśliwy przyszedł z olbrzymim pękiem orchidei i roślinami, które Mary przeniosła do toalety, najzimniejszego miejsca w domu. Na wszelki wypadek otworzyliśmy jedną puszkę kawioru; ku naszemu zdziwieniu był jadalny. Robin wytrzasnął skądś małą paczkę ciasteczek. Postanowiliśmy podać je z orzechami do drinków przed obiadem. Mosiężne świeczniki Robina okazały się bardzo eleganckie, wypolerowane i lśniące. Dodałyby blasku każdej jadalni. Sam patrzyłem na nie chciwie. Robin przyniósł także świece, których liczba, jak słusznie zauważył McGrade, starczyłaby na oświetlenie całego Watykanu.

Rzuciliśmy się do pracy, trochę ze względu na nasze oddanie Martinowi, a trochę jak rozbawione dzieci podczas Gwiazdki. Byłem chyba jedynym członkiem naszej grupy, któremu każdy dzień dostarczał wystarczającej dawki wrażeń, gdyż nigdy nie mogłem przewidzieć, co wymyślą moje zwierzęta. Jednakże reszta towarzystwa prowadziła typowy, nudny żywot w wyjątkowo nieprzyjemnym klimacie. I chociaż udawaliśmy, że przyjazd komisarza to męczący obowiązek i wciąż przeklinaliśmy jego osobę, wszyscy bawiliśmy się świetnie. Może z wyjątkiem Martina, który z każdą godziną coraz bardziej się trząsł.

Gdy wreszcie nadszedł ten fatalny dzień, staliśmy w miarę spokojnie pod drzewem, skąd roztaczał się widok na wjazd do posiadłości. Prowadziliśmy chaotyczne rozmowy o zachowaniach zwierząt, wzroście cen odzieży i trudnościach w budowie mostów. Mary wygłosiła referat na temat sztuki gotowania. Nikt nikogo nie słuchał, gdyż wszyscy z zapartym tchem oczekiwali przyjazdu komisarza.

Wreszcie, ku naszej niezmiernej uldze, na podjazd wjechał duży, elegancki samochód i zatrzymał się przed domem.

– Dzięki Bogu, dziury jakoś się nie pokazały – powiedział z ulgą McGrade. – Martwiłem się.

Pojawił się Martin. Z głębi samochodu wyłonił się komisarz, niczym gąsienica z dużego czarnego kokonu. Martin wyglądał nienagannie. Gdy wprowadził komisarza do domu, wydaliśmy głośne westchnienie ulgi.

– Jestem pewna, że awokado będzie mu smakowało – odezwała się Mary. – Czy wiecie, że musiałam przejrzeć czterdzieści trzy owoce, aby wybrać najlepsze?

– A moje dziury świetnie się spisały – rzekł dumnie McGrade. – Do takiej roboty nadaje się tylko Irlandczyk.

– Poczekaj, aż zaczniesz jeść kawior – pysznił się Robin. – Według mnie, będzie to punkt kulminacyjny wieczoru.

– A moje jeżozwierze? – oburzyłem się.

– A moje kompozycje kwiatowe? – dodała Mary. – Można by pomyśleć, że sam wszystko zrobiłeś.

– W zasadzie tak – odparł Robin. – We wszystkim brał udział mój umysł.

Potem rozeszliśmy się na późne śniadanie. Do wieczora Martin musiał radzić sobie sam, ale znając go, nie bałem się, że komisarz znajdzie jakieś niedociągnięcia w zarządzaniu okręgiem.

O piątej nagle stanął obok mnie Pious. W tym momencie ugryzła mnie w kciuk gruba, obrażona szczurzyca, gdy ją badałem, czy nie jest w ciąży.

– Panie?

– Taa, co jest...? – spytałem, wysysając krew z palca.

– Kąpiel czeka, panie.

– Dlaczego, u diabła, każesz mi się kąpać o tej porze dnia? – burknąłem. Zupełnie zapomniałem o czekającej mnie nadzwyczajnej uroczystości.

Pious spojrział na mnie zdziwiony.

– Ma pan być u zarządcy o szóstej, panie.

– Cholera! Zapomniałem! Czy przygotowałeś mi rzeczy?

– Tak, panie. Chłopiec wyprasował spodnie. Czysta koszula, panie. Marynarka gotowa i krawat.

– Dobry Boże! – zawołałem uderzony nagłą myślą. – Chyba nie wziąłem ze sobą żadnych skarpetek.

– Kupić skarpetki w sklepie, panie – oznajmił Pious. – Wyczyścić też buty.

Niechętnie porzuciłem dochodzenie w sprawie ewentualnej ciąży wzdętej szczurzyca i poszedłem się wykapać w wannie wyglądającej raczej jak brezentowa trumna, do której wiano ciepłą wodę. Po kąpeli ociekałem jednakowo i potem, i wodą. Zagłębiłem się w fotelu z nikłą nadzieją na chwilę ochłody i zacząłem rozmyślać o nadchodzącym wieczorze. Myśl była tak przerażająca, że wzdrygnąłem się mimo woli.

– Pious! – krzyknąłem.

– Panie?

– Podaj mi drinka.

– Piwo, panie?

– Nie. Dużą whisky z wodą.

Wypiłem ten ożywczy napój i od razu poczułem się lepiej. Ubierałem się powoli, ale mimo to śnieżnobiała koszula natychmiast poszarzała i zwilgotniała od potu. Jaskrawe skarpetki kupione przez Piousa były chyba w barwach wojennych jednego z dawnych szkockich klanów i gryzły się straszliwie z krawatem. Marynarki nie wkładałem, tylko przerzuciłem przez ramię, gdyż w przeciwnym razie po krótkiej wspinaczce do domu Martina stanąlbym przed komisarzem niczym foka wynurzająca się z oceanu.

– Jesteś pewien, że wszystko jest w porządku? – spytałem.

– Tak, panie – odparł. – Ale boye zarządcy, panie, są niedobrzy.

– Wiem o tym. Dlatego ty miałeś nimi kierować.

– Tak, panie... Panie? Jesus jest dziwny.

Dobry Boże, pomyślałem, a co tym razem?

– Co to znaczy dziwny?

– To dobry człowiek – powiedział szczerze. – Ale on stary i gdy robić takie rzeczy, to dziwny jest.

– Chodzi ci o to, że się zaczyna bać?

– Tak, panie.

– To znaczy, że pieczeń może się nie udać?

– Tak, panie.

– I co zrobimy?

– Ja posłać naszego kucharza. On pomoć Jesusowi i Jesus być w porządku.

– Dobrze. Świetny pomysł – pochwaliłem go.

Piousa rozpieiała duma. Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

– Panie?

– Co znowu? – spytałem rozdrażniony.

– Posłać też naszego boya, panie. Tamten boy jest dobry, ale Amos go nic nie nauczyć.

– Doskonale. Postaram się, abyś się znalazł na noworocznej liście honorowej.

– Dziękuję, panie – odparł Pious. Nie rozumiał, co mam na myśli, ale z mego tonu wywnioskował, że jego samodzielne decyzje spotkały się z moim całkowitym poparciem.

Pious miał na sobie swój najlepszy uniform, za który słono zapłaciłem i musiałem dodać jeszcze mosiężne guziki, a który rzadko wkładał. Gdy dotarliśmy do domu Martina, ulotnił się nagle spod mego boku i zniknął w kuchni.

Drzwi frontowe były otwarte, z jednej strony stał mój boy. Jego krótkie spodnie i tunika zostały wyprane i odprasowane z taką dokładnością, że wyglądały jak stok narciarski w Szwajcarii na początku sezonu.

– *Iseeya*, panie – przywitał mnie promiennie.

– *Iseeya*, Ben – odpowiedziałem. – Postaraj się dziś wieczorem albo jutro cię zatłukę.

– Tak, panie – rozpromienił się znowu.

Zdałem sobie sprawę, że przez zbyt długą kąpiel, zbyt mocnego drinka i zbyt długie ubieranie się w rzeczy zupełnie nieodpowiednie w tym klimacie, spóźniłem się i reszta gości siedzi już na werandzie.

– Ach, jesteś – powiedział Martin i podniósł się, by mnie przywitać. – Myślałem, że może nie przyjdiesz.

– Drogi chłopcze – szepnąłem – nie opuściłbym cię w potrzebie.

Popchnął mnie w kierunku werandy.

– Pozwól, Geraldzie, pan Featherstonehaugh, komisarz okręgowy.

Był to mały mężczyzna z twarzą przypominającą źle zmielony pasztet wieprzowy, cienkimi, szarymi włosami i jasnoniebieskimi oczami o przenikliwym spojrzeniu. Powstał z krzesła i podał mi rękę, uścisk miał nad wyraz mocny, choć na pierwszy rzut oka wyglądał niepozornie.

– Ach, pan Durrell – powiedział. – Miło mi pana poznać.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi. Proszę siadać. Pan Bugler z pewnością ma dla pana jakiegoś ciekawego drinka, prawda panie Bugler?

– O, tak, tak, tak – potwierdził szybko Martin. Klasnął w ręce i z kuchni doszedł nas chór „Tak, panie”.

Z ulgą zobaczyłem wchodzącego Piousa; jego poślacane guziki lśniły w świetle lampki.

– Panie? – powiedział, jakby nigdy przedtem mnie nie widział.

– Whisky z wodą – powiedziałem, przyjmując chłodny ton, którego zwykle używa się w stosunku do służby. Czuję, że komisarz pochodzący z Nigerii oczekuje ode mnie zachowania zgodnego z brytyjskim sposobem bycia. Popatrzyłem na zebranych. Mary wpatrywała się w komisarza swoimi okrągłymi oczami, chłonąc każde jego słowo. Nawet gdyby nad jej głową wisiał neon z napisem „Liczę na awans mojego męża”, nie byłoby to bardziej oczywiste. Robin rzucił mi szybkie spojrzenie, uniósł brwi i pogrążył się w sennym transie. McGrade siedział z wyrazem zadowolenia na twarzy i uśmiechnął się do mnie łaskawie.

Długą kanapę na werandzie zapełniały marynarki i krawaty, znad rzeki powiał lekki wiaterek.

– Przepraszam – zwróciłem się do komisarza. – Czy mógłbym się zastosować do lokalnych zwyczajów i zdjąć krawat i marynarkę?

– Ależ oczywiście, to nie jest oficjalne spotkanie. Tłumaczyłem właśnie Buglerowi, że zaglądam tylko raz, dwa razy do roku, aby mieć na was oko. I upewnić się, że nie spiskujecie.

Z niewypowiedzianą ulgą zdjąłem tęczy krawat, marynarkę i rzuciłem na kanapę. Pious podał mi drinka, za którego nie podziękowałem. W Afryce Zachodniej nie ma zwyczaju dziękowania służącym. Nie zwraca się też do nich po imieniu. Klaszcze się po prostu w ręce i woła „służący”.

W tym momencie rozmowa się urwała. Prym wiódł komisarz i nikt nie śmiał powiedzieć słowa, dopóki on tego nie uczynił. Popijałem drinka rozmyślając, czy mam z komisarzem jakieś wspólne zainteresowania i czy przetrwam wieczór bez szkody dla swego umysłu.

– Na zdrowie – powiedział komisarz, gdy podniosłem szklankę do ust.

– Pańskie zdrowie – odparłem.

Komisarz usadowił się wygodniej na krześle, opierając szklankę na poręczy, rozejrzał się dokoła i stwierdziwszy, że ma przed sobą wniebowziętych słuchaczy, zaczął mówić:

– Jak zaznaczyłem tuż przed pańskim późnym przybyciem, Durrell, jestem niezmiernie zadowolony, że pan Bugler tak znakomicie zarządza okręgiem. Jak pan wie, musimy się od czasu do czasu pojawiać w różnych miejscach, aby się przekonać, czy są one rzeczywiście dobrze zarządzane. – Czknął w sposób mało uroczy i pociągnął spory łyk ze szklanki.

– Bardzo mi miło to słyszeć – rzekł Martin.

W tym momencie dojrzał utkwione w sobie błagalne spojrzenie Mary.

– Oczywiście – dodał szybko – nie byłoby to możliwe bez pomocy wspaniałego zastępcy.

– Jest pan zbyt skromny, Bugler – rzekł komisarz. – Poza tym zastępca może być pomocą jak i przeszkodą.

– Och, zapewniam pana, że Standish jest absolutnie rewelacyjny. – Martin wykonał jeden ze swoich zamasztych gestów, przewracając dużą miskę z prażonymi orzechami wprost na kolana komisarza.

– Przepraszam, panie – rozległy się jednocześnie głosy Piousa, Amosa i dwóch małych boyów, którzy stali w cieniu, czekając jak psy myśliwskie. Skupili się wokół komisarza i mrużąc „Przepraszam, panie, przepraszam, panie” zaczęli zbierać tłuste orzeszki z jego spodni do miski, po czym zanieśli ją do kuchni.

– Strasznie pana przepraszam, naprawdę – jęczał Martin.

– Och, to tylko mały wypadek – powiedział komisarz, patrząc na tłustą plamę na spodniach – każdemu się może zdarzyć. Ale muszę powiedzieć, że ma pan do takich zdarzeń pewną skłonność. Gdzie ostatnio pana odwiedzałem?

– Okropnie ubolewam nad tym zdarzeniem – wtrącił szybko Martin – ale to było straszliwe nieporozumienie. Zapewniam pana, że toaleta działa nienagannie.

McGrade, Robin i Mary wyglądali na zupełnie zdezorientowanych tą tajemniczą rozmową.



– Tak, a więc, jak mówiłem – ciągnął komisarz, spoglądając ponownie na plamy na spodniach – myślę, że Bugler spisał się doskonale. – Przerwał i napił się. – I oczywiście – dodał pochylając się i kłaniając przesadnie Mary – dzięki pomocy pani i męża Bugler radzi sobie nadzwyczaj dobrze. Drogi i mosty są wyjątkowo dobrze utrzymane. – Spojrzał na McGrade’a.

– Dziękuję – powiedział McGrade z ironiczną uprzejmością.

– I jak rozumiem – mówił komisarz dalej, zwracając się do Robina – udało się panu dostać ten wspaniały kawior. Niezwykła rzecz w Mamfe.

Robin lekko skinął głową.

– Jestem głęboko wdzięczny za te słowa uznania. Jak pan wie, jest to kawior z najprawdziwszego jesiotra.

– Uważam, że całe przyjęcie jest absolutnie wspaniałe – zachwycił się komisarz. – Prawdę mówiąc, jest to jak dotąd najlepsza podróż, ale może nie przesadzajmy, bo ktoś mógłby się poczuć urażony. Ha, ha!

Zaśmialiśmy się obowiązkowo. Śledziłem poziom dżinu w szklance komisarza, czując, że rozmowa niedługo doprowadzi nas do szaleństwa, a miałem z Piousem pewien plan. W momencie gdy komisarz wypił ostatnią kroplę ze szklanki, pojawił się Pious, cały błyszczący ze swoimi guzikami, i zwrócił się do Martina.

– Jesus mówi, że pieczeń gotowa, panie.

– Ach, pieczeń – powiedział komisarz, klepiąc się po brzuchu – właśnie tego nam potrzeba, nieprawdaż, droga pani? – komisarz posłał Mary figlarne spojrzenie.

– Och, tak – powiedziała Mary nerwowo – pieczeń jest bardzo ważna, szczególnie w tym klimacie.

– Właściwie – odezwał się Robin, gdy wstaliśmy i skierowaliśmy się do pokoju jadalnego – zawsze sądziłem, że pieczeń jest ważna w każdym klimacie.

Na szczęście komisarz nie słyszał tej uwagi.

Martin chwycił mnie nagle za ramię i szepnął gorączkowo:

– Jak ich rozsadzimy?

– Posadź Mary przy jednym końcu, a komisarza przy drugim.

– Dobrze. Wpadłem na świetny pomysł.

– O Boże, cóż tym razem wymyśliłeś?

– Nie bój się, wszystko jest w porządku. Byliście tacy mili, pomagając mi, że też chciałem coś zrobić. Uruchomiłem wentylator i syn Amosa będzie ciągnął za linę; przynajmniej wpadnie trochę świeżego powietrza do pokoju.

– Najwyraźniej wywieramy na ciebie dobry wpływ, Martin – zauważyłem. – Ani się obejrzyj, jak zaczniesz prowadzić bujne życie towarzyskie. Teraz idź dopilnuj, żeby wszyscy znaleźli swoje miejsca. Byle tylko usadzić Mary i komisarza, resztę rozłokuj jak chcesz. Staraj

się zrobić tłum.

Muszę przyznać, że pokój jadalny wyglądał imponująco. Stół i krzesła lśniły w blasku świec jak świeżo wyłuskane kasztany. Trzy świeczniki stały rozstawione przez środek stołu, czwarty na ogromnym kredensie. Pious dobrze spełnił swoje zadanie. Sztuńce i chińska zastawa błyszcząły w świetle. Jeśli to nie wzbudzi podziwu komisarza, nic już nie zdoła.

Zajęliśmy miejsca i Pious, który kierował Amosem i małym boyem zarządcy, podał wybrane przez nas drinki.

– Na Jowisza! – zawołał komisarz, patrząc na zapalone świeczniki, wypolerowany stół i delikatnie kołyszący się wentylator. – Nieźle się tu pan urządził, Bugler. Całkiem jak w rezydencji gubernatora, co?

– Nie, nie – zaczął szybko tłumaczyć się Martin, myśląc, że komisarz krytykuje jego zbytnią rozrzutność. – Zwykle tak nie jemy. Posiłki spożywamy w stylu buszu, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Chcieliśmy zrobić coś specjalnego na tę okazję.

– Bardzo dobrze – odparł komisarz. – Doskonale rozumiem. Pious z szacunkiem i manierami głównego kelnera hotelu Claridge podał małe kwadratowe kawałki jeżozwiera na kruchych tostach.

– Na Jowisza! – zdziwił się komisarz. – Cóż to takiego? Martin, który był już u kresu wytrzymałości nerwowej, chciał właśnie powiedzieć „jeżozwierze”, gdy Mary swoim łagodnym, spokojnym głosem wyjaśniła:

– Proszę spróbować, chcielibyśmy, żeby pan zgadł. To niespodzianka.

Jeżozwierze, jak się spodziewałem, były wyśmienite. Komisarz pochłonął je z wyraźną rozkoszą.

– Ha! – zawołał, gdy połknął ostatni kawałek. – Nie zaskoczycie mnie! To dziczyzna! I co?

Wyraz ulgi na twarzy Martina omal nie popsuł całej sprawy, ale Mary znów się włączyła.

– Jak sprytnie pan odgadł. Myśleliśmy, że nigdy się panu nie uda, gdyż przyrządziliśmy mięso w specjalny sposób.

– Nie dam się złapać na takie rzeczy – pysznił się komisarz. – Nie zapominajcie, że kiedyś sam byłem zastępcą i musiałem żyć w buszu, i to w głębokim buszu. Żywiliśmy się różnymi rzeczami. Te antylopy trudno pomylić z czymś innym, ale muszę przyznać, że uwędzone są wybornie.

– Prawdę mówiąc – wtrąciłem – Martinowi udało się odszukać pewnego człowieka, który ma specjalny przepis i doskonale je przygotowuje. Dziczyznę jadamy bardzo rzadko i Martin jest na tyle miły, że podrzuca nam trochę, abyśmy wszyscy mogli się nią nacieszyć.

W trakcie tej raczej podstępnej konwersacji na stole przed Mary postawiono ogromny półmisek pieczeni w sosie orzechowym, a na lśniącym blacie pojawiło się dwadzieścia małych talerzyków z przystawkami. Naprawdę całość robiła wrażenie.

– Przykro nam, ale nie mogliśmy wymyślić nic innego poza pieczenia – oświadczył Martin, który miał straszny zwyczaj przepraszania z góry, dając w ten sposób przeciwnikowi szansę do narzekań. – Ale mój kucharz wyśmienicie gotuje.

– Zgadzam się. Jemy jej trochę za dużo – przyznał komisarz – ale myślę, że jest to bardzo dobre, pożywne jedzenie.

Mary nałożyła pieczeń i ryż na talerze, które Amos i Pious z namaszczeniem roznosili. Teraz nastąpił trudny moment wyboru sałatek.

Na talerzu głównego gościa piętrzył się stos jedzenia. Komisarz nałożył sobie jeszcze trzy czy cztery kawałki różowej papai i popatrzył z satysfakcją...

– Wspaniale – zachwycił się – absolutnie wspaniale.

Martin odprężył się, wiedząc, że w przygotowaniu pieczeni pomagał Jesusowi mój kucharz i powinna być pyszna.

Mary, pamiętając o dobrych manierach, spojrzała na komisarza, który z powagą kiwał głową, i wbiła widelec w pieczeń. Komisarz poszedł za jej przykładem, po czym wszyscy ujęliśmy sztucce i zaatakowaliśmy potrawę. Wentylator skrzypiąc lekko kiwał się w przód i w tył, owiewając nas ciepłym powietrzem.

– Najlepsza pieczeń, jaką kiedykolwiek jadłem – pochwalił komisarz, połykając olbrzymi kęs.

Martin popatrzył na mnie rozpromieniony.

– Martin to doskonały organizator – powiedział McGrade.

– Tak, to prawda – przyznał Robin. – Całkowicie się z tobą zgadzam. Boję się, że tym razem to ja zawiodłem.

– Zawiodł pan? – zdziwił się komisarz. – W jakim sensie?

– Mogliśmy przygotować bardziej wykwintny obiad – wyjaśnił Robin. – Niestety rzeka wyschła i łódź z towarami nie mogła przepłynąć. Biedny Martin robił, co mógł, żeby poradzić sobie w tej sytuacji.

– Tak – wtrąciła Mary – planowaliśmy coś zupełnie wyjątkowego.

– Nonsens, nonsens – uciął komisarz i zwrócił się do mnie: – Podobno jest pan łowcą zwierząt, panie Durrell?

– Tak – odrzekłem.

– Ale chyba nie znajduje ich pan tutaj zbyt wiele?

Podczas drinków na werandzie zauważyłem, jak Pious sprawnie i cicho usunął z krzesła komisarza modliszkę i gekona.

– Gdy byłem zastępcą zarządcy – dodał – i wędrowałem po buszu, nigdy nie spotkałem żadnego drania.

– Wokół żyje niespotykana liczba gatunków, trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać –

objaśniłem. – Choćby wczoraj w ogrodzie Martina złapałem bardzo rzadkie stworzenie. Życie tu tętni, jeśli dobrze się przyjrzeć.

– Niesamowite – mruknął komisarz, wkładając sobie do ust pełny widelec pieczeni. – Nigdy bym nie pomyślał, że tak blisko cywilizacji może coś egzystować.

W tym momencie rozległ się huk przypominający łamanie kręgosłupa wieloryba i z szumem jakby milionów jesiennych liści porwanych wichrem punka runęła wprost na stół, pokrywając całkowicie komisarza.

Na szczęście palma zdusiła płomień świecy i nic się nie zapaliło. Wśród liści ułożonych w wiązki jak spódniczka baletnicy gnieździli się chyba wszyscy przedstawiciele miejscowej fauny żyjącej w wielkiej bliskości cywilizacji.

Efekt był piorunujący.

– Och, mój Boże, mój Boże! – krzyknęła Mary, zerwawszy się z krzesła, przewracając gin z tonikiem i tracąc swój normalny spokój ducha.

– Dlaczego nie poprosiłeś, żebym to sprawdził, ty cholerny głupku! – ryczał McGrade.

– Czasami, Martin, naprawdę doprowadzasz mnie do rozpaczki – powiedział oschle Robin.

– Strasznie, strasznie mi przykro – jęczał Martin, zwracając się do niewidzialnego komisarza – nie wiem, jak mam pana przeproszać.

Trząsł się cały od stóp do głów.

Liście palm zaszeleściły i pojawiła się głowa komisarza. Nasz gość wyłonił się z wentylatora niby Afrykanin albinos ze swojej chaty. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, gdy zobaczył nagle włochatego, wielkiego jak spodek pająka w kolorze czekolady, zmierzającego w jego kierunku. Liczna i szczęśliwa społeczność żyjąca spokojnie w wentylatorze przez lata zaczęła powoli wychodzić. Komisarz odepchnął krzesło i poderwał się na nogi.

Wiedziałem, że dla Martina jest to katastrofa najgorsza z możliwych, ale ja zawsze starałem się czerpać z różnych zdarzeń życia jak najwięcej korzyści. Miałem nadzieję, że punka dostarczy mi kilku interesujących okazów.

– Proponuję, żebyście przeszli do drugiego pokoju – rzuciłem szybko, dostrzegłszy nowe gatunki gekonów wylaniające się z palmowych liści. – Ja tu posprzątam.

Wolną część blatu stołu zaczęły pokrywać oburzone chrząszcze i inne mniejsze stworzenia, które wyglądały na bardzo wrogo nastawione, nawet jeśli nie były.

Mary wróciła do równowagi i z wielką gracją wyszła z jadalni na werandę; reszta podreptała za nią.

Służba stała cały czas znieruchomiła, gdyż trudno im było usuwać liście i wentylator, gdy my siedzieliśmy na krzesłach, udając, że nic się nie stało. Nigdy przedtem nie zetknęli się z taką sytuacją i nawet Pious nie wiedział, co ma robić.

– Pious! – ryknąłem, wyrывая go z osłupienia. – Przynieś natychmiast butelki, pudełka,

cokolwiek, żeby złapać mięso.

„Mięso” jest terminem używanym przez Afrykanów Zachodnich dla określenia każdego zwierzęcia, które chodzi, lata lub pełza. Pious złapał dwóch boyów za kark i ulotnił się.

W tym czasie z liści powyłaziły inne zwierzęta, aby sprawdzić, dlaczego zakłócono im spokój. Pierwsza pojawiła się niezwykle oburzona zielona mamba, uważana za najbardziej jadowitego węża w Afryce. Miała ponad pół metra długości, wyglądała jak zielono-żółta pleciona lina i, sądząc z zachowania, całe wydarzenie źle się odbiło na jej psychice. Spróbowałem przyszpilić ją do stołu widelcem, ale wysliznęła się i spadła na podłogę. Dopiero wtedy zauważyłem, że chociaż wszyscy wyszli na werandę, komisarz wciąż tkwił w jadalni. Zielona mamba, w irytujący, charakterystyczny dla niej sposób, mając cały pokój do wyboru, skierowała się wprost do komisarza, który stał jak wryty, z twarzą w interesującym niebieskim odcieniu. Podjąłem jeszcze jedną próbę, tym razem udaną, i unieruchomiwszy węża złapałem go z tyłu tuż przy głowie. W tym momencie wrócił Pious z wydobytymi z zakamarków kuchennych słoikami, butelkami i innymi pojemnikami. Wpuściłem mambę do butelki i szczelnie zakorkowałem.

Komisarz nadal stał bez ruchu, patrząc na mnie wybałuszonymi oczami. Musiałem coś powiedzieć, aby jakoś złagodzić skutki katastrofy i ochronić Martina. Uśmiechnąłem się do niego czarująco.

– Rozumie pan teraz, o czym mówiłem – powiedziałem beztrosko, zdejmując wielkiego chrząszcza z pieczeni, na której leżał na grzbiecie, odruchowo furkocząc i machając nogami. – Zwierzęta są wokół nas. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie mieszkają.

Wpatrywał się we mnie przez moment.

– Tak, tak, rozumiem – wysapał i dodał: – Muszę się chyba napić.

– Bardzo mądrze pan postąpił, nie ruszając się z miejsca.

– Dlaczego? – Komisarz spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Większość ludzi w takiej sytuacji wpadłaby w panikę, ale pan spisał się bardzo dzielnie. Gdyby nie pan, nie wiem, czy udałoby mi się złapać mambę.

Komisarz znów spojrzał na mnie podejrzliwie, ale udawałem niewiniątka.

– No cóż, chodźmy się napić.

– Są tu chyba jeszcze ze dwa okazy, które chciałbym złapać. Muszę też porozmawiać z Martinem i omówić z nim parę spraw. Jeśli można, dołączę do pana za chwilkę.

– Oczywiście, zaraz przyślę panu Martina.

Martin wszedł chwiejnym krokiem do jadalni, wyglądając jak jedyny ocalały rozbitek z Titanica.

– Jezu Chryste! – wymamrotał. – Nigdy bym nie pomyślał...

– Posłuchaj! – powiedziałem stanowczo. – Nie myśl! Rób, co ci każe.

– To gorsze niż ta historia z toaletą!

– Nic gorszego niż wtedy nie może się wydarzyć. Uspokój się.

Rozmawiając z nim zbierałem z Piousem kolejnych mieszkańców wentylatora: osiem żab drzewnych, rozhisteryzowaną koszatkę z gniazdem i młodym, trzy nietoperze, parę drażliwych skorpionów i nieprawdopodobne mnóstwo chrząszczy.

– Co my teraz zrobimy? – rozpaczał Martin wyłamując sobie palce.

Odwróciłem się do Piousa i z jego twarzy odczytałem, że jest tak samo przerażony jak Martin. Czulem przemożną chęć wybuchnięcia śmiechem, ale nie ośmieliłem się tego uczynić.

– Pious! – poleciłem. – Idź do domu pana McGrade'a i przynieś mięso. Potem pójź do domu pana Girtona i przynieś mięso. Następnie pójź do domu zastępcy zarządcy i przynieś mięso. I do naszego domu na koniec. Chcę tu mieć mięso za godzinę. Słyszysz?

– Tak, panie – odparł Pious i zniknął.

– Boże! – jęczał Martin. – Przeniosą mnie do Umchichi.

– Sądząc z reakcji komisarza, nie grozi ci to.

– Chyba się nie cieszył z wypadku?

– Myślę, że jedyną zachwyconą osobą byłem ja. Zdobyłem kilka interesujących okazów.

– Ale co teraz zrobimy? – powtórzył Martin, patrząc na pobojowisko.

Usadziłem go na krześle.

– Posłałem po ciebie, mówiąc komisarzowi, że poradysz sobie z sytuacją – wyjaśniłem. – Pious poszedł po mięso. Bóg jeden wie jakie, ale przynajmniej będzie coś do jedzenia. W tym czasie musisz się postarać, żeby komisarz wlał w siebie jak największą ilość dżinu.

– Mam go mnóstwo – zapewnił Martin z przejęciem.

– No to problem jest prawie rozwiązany – odetchnąłem.

– Ale nie rozumiem, jak...

– Po prostu o tym nie myśl. Zostaw wszystko mnie. Musisz wyglądać, jakby nic się nie stało.

– Tak, rozumiem.

Zawołałem Amosa i Johna z kuchni.

– Posprzątajcie stół, wytrzyjcie i rozstawcie talerze – poleciłem.

– Tak, panie – zabrzmiał chór.

– Pious poszedł po mięso. Powiedz Jesusowi i mojemu kucharzowi, żeby przygotowali nową pieczeń.

– Tak, panie.

– Ale stół ma wyglądać tak jak przedtem, zrozumiano?

– Panie?

– Co znowu?

– Masa złapać wszystkie zwierzęta stąd? – spytał Amos, wskazując na zniszczony

wentylator.

– Tak – odrzekłem. – Nie obawiaj się. Złapałem całe „mięso”.

– Nie wiem, jak ty to robisz – bąknął załamany Martin.

– Słuchaj, komisarz ma myśleć, że to ty wszystko organizujesz. Gdy dołączymy do reszty towarzystwa, masz przyjąć postawę żołnierza na służbie. Niech komisarz myśli, że ja zajmowałem się zbieraniem zwierząt, a ty wszystko porządkowałeś. I nie przepraszaj co pięć minut! Napompujemy go dżinem, Pious przygotowuje pieczeń, więc się nie przejmuj. Komisarz musi dojść do wniosku, że choć była to katastrofa, nieźle się bawił.

– Nieźle się bawił? – powtórzył słabym głosem Martin.

– Tak. Jak długo tutaj pracujesz?

– Odkąd skończyłem dwadzieścia jeden lat.

– Czy nie rozumiesz, że ludzie tacy jak ten pompatyczny dupek żyją takimi historiami? Prawdopodobnie zrobiłeś dla siebie więcej dobrego niż złego.

– Jesteś pewien? – spytał z powątpiewaniem Martin.

– Przemyśl to sobie. A teraz dołączmy do reszty towarzystwa. Po przejściu na werandę stwierdziliśmy, że wszyscy dzielnie się trzymają. Mary zrobiła komisarzowi długi wykład na temat orchidei i kompozycji kwiatowych. McGrade wygłosił odczyt dotyczący budowy mostów i utrzymania dróg, tak skomplikowany, że chyba sam niewiele z niego rozumiał. Robin wkroczył w odpowiednim momencie z dyskusją na temat literatury i sztuki, dwóch dyscyplin, o których komisarz nie miał zielonego pojęcia.

Dźgnąłem Martina w żebra i natychmiast się wyprostował.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało – powiedział. – Nieszczęśliwy wypadek. Niestety mój boy nie sprawdził zawieszenia wentylatora na suficie. Jednakże... eem... podjąłem stosowne kroki i za godzinę zostanie dostarczone mięso. Ogromnie pana przepraszam za tę zwłokę.

Opadł na krzesło i wytarł twarz chusteczką Komisarz spojrzał na niego badawczo i wypił do dna dziesiątego drinka.

– Nieczęsto – powiedział kwaśno – podczas wypełniania moich obowiązków zdarza mi się oberwać wentylatorem w głowę.

Nastała krótka, ale złowieszcza cisza. Przeczynałem, że Martin nic nie odpowie, więc przejąłem jego rolę.

– Cóż, ale cieszę się, że był pan tam wtedy – odezwałem się. Odwróciłem się do reszty towarzystwa. – Oczywiście nie widzieliście tego, ale w wentylatorze siedziała mamba. Gdyby nie komisarz, wątpię, czy udałoby mi się ją złapać.

– Mamba?! – pisnęła Mary.

– Tak – potwierdziłem – i była w podłym nastroju, zapewniam was. Na szczęście komisarz

umiał się zachować i zdołaliśmy ją złapać.

– To przesada, nie można tego nazwać pomocą – zapierał się komisarz.

– Jest pan zbyt skromny. Większość ludzi, jak panu mówiłem, wpadłaby w panikę. Przecież mamba jest chyba najniebezpieczniejszym wężem w Afryce.

– Mamba! – powtórzyła Mary. – Kto by pomyślał! Zwinięta nad naszymi głowami, gotowa do ataku. Myślę, że obaj panowie zachowaliście się bardzo dzielnie.

– Na Jowisza, tak – potwierdził przytomnie Robin. – Ja bym zwiewał jak zajac.

– Ja też – dodał McGrade, który miał budowę zapaśnika w stylu wolnym i nie bał się niczego.

– No tak – skrzywił się komisarz, zmuszony do odgrywania roli bohatera – człowiek przyzwyczajają się do takich sytuacji, szczególnie gdy dłuższy czas spędza w buszu.

Tu rozpoczął długą i trochę nieskładną historię o lamparcie, którego kiedyś omal nie ustrzelił, i wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, gdy nagle pojawił się Pious i poinformował, że drugi obiad jest gotowy.

Zimna konserwowa fasola i łosoś z puszki nie należały do rarytasów, ale spełniły swoją rolę i pod koniec obiadu opity dżinem komisarz zaczął nam opowiadać niestworzone historie o wężach.

Na szczęście katastrofa nie dotknęła sałatki owocowej i zgodziliśmy się, że Mary, która włożyła serce i duszę w jej przygotowanie, może być z siebie dumna. Sałatka stała się odtąd niedościgłym wzorem.

Gdy w końcu opuściliśmy dom Martina, powtórnie podziękowałem komisarzowi za jego odwagę przy łapaniu mamby.

– To nic takiego, drogi przyjacielu – machnął niedbale ręką. – Zapewniam cię, nic takiego. Cieszę się, że mogłem pomóc.

Następnego dnia, mimo naszych wysiłków, Martin nie dał się pocieszyć. Komisarz przy pożegnaniu był raczej chłodny i Martin nie wątpił, że następnym miejscem, do którego trafi, będzie dno piekła, czyli Umchichi. Jedyne, co mogliśmy jeszcze zrobić, to wysłać uprzejme listy do komisarza z podziękowaniem za tragiczną wizytę. W swoim liście zamieściłem dodatkowe podziękowania za okazaną pomoc. Napisałem także, że z moich doświadczeń w Afryce Zachodniej wynika, że Martin jest najlepszym i najbardziej skutecznym zarządcą, jakiego spotkałem.

Wkrótce potem musiałem przenieść moje zwierzęta bardziej na południe kraju, aby złapać statek powrotny do Anglii, i całe zdarzenie wyleciało mi z głowy.

Jakieś sześć miesięcy później otrzymałem krótką wiadomość od Martina. Brzmiała tak:

*Miałeś rację, stary przyjacielu, co do historyjek opowiadanych przy obiedzie. Komisarz*



*rozglasza teraz wszędzie, jak złapał dla Ciebie zieloną mambę na stole jadalnym, podczas gdy Ty stałeś ledwie żywy ze strachu, niezdolny do jakiegokolwiek działania. Otrzymałem awans i w przyszłym miesiącu jadę do Enugu. Nie wiem, jak mam Ci dziękować za wspaniałe zorganizowanie tego przyjęcia.*

## V

### Wykształcenie

Lekarz pokiwał głową bardziej ze smutkiem niż z gniewem.

– Przemęczenie – powtórzył. – Zbyt dużo pracy i zbyt wiele zmartwień. Potrzebuje pan trzech tygodni w Abbotsford.

– Czyli w domu wariatów – dodałem.

– To bardzo szanowana klinika, która specjalizuje się w przypadkach nerwic – wyjaśnił dobitnie.

– Innymi słowy, dom wariatów.

– Spodziewałem się, że tak pan zareaguje – rzekł smutno lekarz.

– Przecież tak potocznie się mówi. Czy to ten rozwalający się gotycki gmach Strawberry Hill na drodze do Surbiton, który wygląda jak zamek Drakuli, budowla rodem z Hollywood?

– Tak, właśnie tam.

– Nie powinno tam być źle – powiedziałem. – Czasami wyskoczę do miasta, aby spotkać się z przyjaciółmi, pójdę na jakieś widowisko...

– Nic z tych rzeczy – przerwał stanowczo lekarz. – Całkowity spokój i odpoczynek, tylko tego pan potrzebuje.

– Czy nie mógłbym urządzić przyjęcia powitalnego?

– Przyjęcia powitalnego?

– Tylko wybrana grupa przyjaciół, która ma życzyć mi szczęścia na drogę do pokoju bez klamek.

Lekarz zamrugał oczami i westchnął.

– Prawdopodobnie pójdzie pan, nawet jeśli panu zabronię – powiedział z rezygnacją. – Muszę się zgodzić.

Skromne przyjęcie odbyło się w doskonałej restauracji w Soho serwującej dania indyjskie. W trakcie kolacji poczułem, jak coś cieknie mi po brodzie, i gdy wytarłem twarz chusteczką, ze zdziwieniem spostrzegłem, że jest zaplamiona krwią. Oczywiście leciała mi krew z nosa. Na szczęście nikłe oświetlenie i wystrój pozwoliło mi zatamować krwotok bez niestosownych komentarzy. Nie miałem tyle szczęścia dnia następnego.

Do świąt Bożego Narodzenia został tylko tydzień i w drodze do Abbotsford zoczyłem nieco z trasy, by dostarczyć na Kings's Road opakowanego w celofan siedzącego w królewskiej pozie wielkiego misia w eleganckim brązowym krawacie.

Wysiadłem z taksówki, przyciskając puszystego misia do boku i zadzwoniłem do drzwi. W tym momencie z nosa obficie popłynęła mi krew. Nie mogłem trzymać misia jedną ręką i tamować krwotoku drugą, więc umieściłem zabawkę między nogami.

– Co ty robisz? – usłyszałem zdziwiony głos żony siedzącej w taksówce.

– Zdowu ledzi mi grew z dosa – wyjaśniłem, zasłaniając się chusteczką.

Z misiem między nogami i krwią spływającą po twarzy przedstawiałem zadziwiający widok, nawet jak na King's Road. Zebrał się mały tłum.

– Idź do cukierni obok i poproś, żeby przekazali zabawkę Peterowi – syknęła żona. – Nie możesz tak stać.

Tłum w milczeniu obserwował ten nieco makabryczny spektakl. Dołączyła do niego jakaś zaciekawiona kobieta.

– Co się stało? – spytała bezosobowo.

– Ten facet został pogryziony przez swojego misia – zażartował jeden z mężczyzn i zaśmiał się tubalnie.

Zniknąłem szybko w cukierni, oddałem misia i pognałem z powrotem do taksówki.

– Nie powinienes biegać – ostrzegła mnie żona, gdy ruszyliśmy. – Miałeś się odprężyć.

– Jak barn się odbreżyć – spytałem z pretensją – kiedy ledzi mi grew i busze trzybać tego brzegłatego biśka?

– Połóż się i odpocznij – uspokajała mnie żona.

Tak, odpocznij, pomyślałem, odpocznij. Czekają mnie trzy cudowne tygodnie odpoczynku pod troskliwą opieką uprzejmych pielęgniarek i jedyne poważne decyzje, które będę podejmował, to wybór jedzenia na lunch i temperatury wody do kąpieli. Odpocznij. Całkowity spokój i cisza. Z tą myślą wjechałem do Abbotsford.

Miałem mało czasu na zauważenie czegokolwiek (poza umeblowaniem i wystrojem w najlepszym stylu nadmorskiego pensjonatu lat dwudziestych i niezwykle urodziwymi pielęgniarekami), gdyż od razu zostałem otoczony cudownym płaszczem leków i pozostałem tak śpiąc i wzdrygając się w rozkosznej hibernacji przez dwadzieścia cztery godziny. Obudziłem się rześki, wesoły jak skowronek i zacząłem poznawać otaczający mnie świat. Pierwsze wrażenie co do pielęgniarek okazało się trafne. Każda w swoim rodzaju była niezwykle atrakcyjna. Zupełnie jakby opiekę nade mną sprawowały finalistki wyborów Miss Świata.

Na zmianie dziennej pracowała Lorraine, blondwłosa Szwedka, której oczy zmieniały kolor jak fiord w słońcu, Zena, pół Angielka, pół Niemka o pomarańczowych włosach i idealnie okrągłych, wiecznie zdumionych oczach, oraz Nelly, ślicznotka z plemienia Bantu, niby rzeźba z dobrej mlecznej czekolady, z małym okrągłym noskiem. Zmianę nocną obsługiwała Breeda, niska, o miodowych włosach, opiekuńcza i bez wątpienia najbardziej atrakcyjna i Pimmie (przydomek pochodzący Bóg wie skąd), wysoka, szczupła niczym elf, z ogromnymi zielonoorzechowymi oczami w kolorze strumienia z pstrągami na wiosnę. Były młode, radosne i pracowały ochoczo. Ich pracą kierowały dwie siostry Francuzki, Louise i Renee, mówiące z charakterystycznym akcentem. Z przyjemnością się ich słuchało i patrzyło na francuską

zaradność.

Następnego dnia, jeszcze pod wpływem lekarstw, po części z konieczności, a po części dla urozmaicenia, ruszyłem korytarzem do toalety. Siadłem tam i pogрузyłem się w myślach, gdy nagle zauważyłem dużą plamę krwi na podłodze. Ooo! – pomyślałem z nagłym olśnieniem zamroczonego lekami pacjenta – ktoś się skaleczył... i krwawił. Na pewno przy goleniu. Ale golić się tutaj? W toalecie? Wykluczone. W tym momencie obok pierwszej pojawiła się druga plama i wtedy zdałem sobie sprawę, że mój nos znowu jest pełen krwi. Przycisnąwszy do twarzy kilka metrów papieru toaletowego, pognąłem do swego pokoju i zacząłem szaleńczo dzwonić. Krwawiłem tak obficie, że chusteczki papierowe stały się natychmiast bezużyteczne.

W odpowiedzi na mój *er i de coeur* pojawiła się w drzwiach czekoladowa Nelly w płaszczu. Najwyraźniej miała już wyjść.

– Dobry Boże, człowieku! – przeraziła się, patrząc szeroko otwartymi oczami na krwawe widowisko dokoła. – Pan krwawi!

– Doszedłem do tego samego wniosku – rzekłem. – Czy mogłabyś to zatamować, droga Nelly?

– Proszę chwilę poczekać... nie ruszać się – poleciła Nelly i wybiegła na korytarz. Po chwili wróciła jeszcze bardziej przerażona.

– Nie mogę ich znaleźć, nie mogę ich znaleźć! – wołała prawie wyłamując sobie palce z rozpaczy.

– Czego nie możesz znaleźć?

– Kluczy, kluczy! – jęczała.

Chodzi pewnie o klucze do jakiejś szafki z lekami na krzepliwość krwi, pomyślałem.

– Nie szkodzi – powiedziałem. – Nie możemy użyć czegoś innego?

– Nie, nie. Klucze są najlepsze, kładzie się je na plecach.

Ta uwaga zniweczyła moje nadzieje na przyszły rozwój medycyny w Afryce.

Lorraine i Zena zaalarmowane hałasem pojawiły się w drzwiach.

– Ależ pan krwawi! – zawołała zdumiona Zena.

– Tak – przyznałem.

– Zena, nie mogę znaleźć kluczy. Widziałaś je, Lorraine?

– Kluczy? Nie – zdziwiła się Lorraine. – Nie widziałam żadnych kluczy. Jakich kluczy?

– Żeby je położyć na plecach – wyjaśniła Nelly.

– A nie pali się przypadkiem piór pod nosem? – podsunęła Lorraine.

– Nie, nie – odparła Nelly, specjalistka najnowszej medycyny. – To na omdlenie.

– A może złożyć ofiarę z czarnego koguta w kole zakreślonym białą kredą? – zaproponowałem, zaczynając się dobrze bawić.

– Tego się nie robi w szpitalach państwowych – rzekła z całą powagą Zena.

W tym momencie przyszły Breeda i Pimmie, aby objąć nową zmianę. Pimmie oceniła sytuację jednym przenikliwym spojrzeniem swoich ogromnych, wilgotnych oczu.

– Na łóżko, proszę pana – powiedziała do mnie. – Na łóżko i położyć się zupełnie płasko.

– Ale... ja... – próbowałem protestować.

– Proszę nie gadać i na łóżko! Breeda, leć po trzycentymetrowy bandaż i trochę adrenaliny.

Migiem!

Położyłem się posłusznie i natychmiast poczułem, że krew leci mi teraz wprost do gardła i zacynam się krztusić. Gwałtownie usiadłem.

– Prosiłam, żeby pan leżał – rzekła groźnie Pimmie.

– Pimmie, najdroższa, nie mogę. Zakrztuszę się własną krwią – wyjaśniłem.

Pimmie zręcznym ruchem podłożyła mi kilka poduszek pod głowę.

– Teraz lepiej?

– Tak.

Breeda wróciła z pojemnikiem środków opatrunkowych. Łóżko pokrywały zakrwawione chusteczki, pięć pielęgniarek otaczało mnie ciasnym kręgiem.

– Pocałuj mnie, Flap – zawołałem błagalnie, wyciągając ręce do Pimmie.

– Proszę się nie wygłupiać – powiedziała ostro – i proszę pozwolić mi włożyć to do nosa.

Wepchnęła sprawnie do prawej dziurki metr lub więcej bandażu zwilżonego adrenaliną tak lekko i beznamiętnie, jak gdyby nadziewała kurczaka. Ścisnęła następnie mocno grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym, jednocześnie przykładając mi lód do skroni. Teraz pod pidżamę ściekały mi strużki krwi i wody. Bandaż błyskawicznie przesiąkł krwią, płamiąc prześcieradło i poszewki. Pimmie wymieniła go na świeży. Łóżko i pokój wyglądały jak połączenie rzeźni z salonem markiza de Sade po przyjęciu towarzyskim. Poszło kilka kolejnych bandaży, a krew dalej płynęła radośnie. Wszystkie pielęgniarke z wyjątkiem Pimmie i Breedy opuściły lecznicę.

– To na nic – powiedziała Pimmie marszcząc srogo brwi. – Muszę powiadomić doktora. Proszę leżeć spokojnie. Breeda, przypilnuj go.

Opuściła pokój.

– Mam nadzieję, że nie zwróci się do doktora Grubbinsa – zaniepokoiłem się. – Jakkolwiek nie można mu odmówić uroku, nie mam do niego zaufania jako do lekarza.

– Lepiej byłoby dla pana, żeby po niego nie poszła – powiedziała łagodnie Breeda.

– Dlaczego? – przestraszyłem się.

– No cóż, on wcale nie jest dobrym lekarzem. Mówiąc szczerze, gdybym miała pacjenta tak poważnie chorego, nie zawiadomiłabym Grubbinsa. Z pewnością by go zabił.

– Odniosłem podobne wrażenie – przyznałem. – Jest w nim *coś je ne saisquoi*, i wydaje mi się, że nie potrafiłby nawet zatamować żywicy wyciekającej ze ściętego drzewa.

– Kompletny ignorant – stwierdziła ponuro Breeda. – Myśli, że pasteryzacja to sposób ulepszenia łąk, na których pasą się krowy.

Wynaleziona oczywiście przez Ludwika Pasteura – dodałem, poddając się nastrojowi zabawy. – A może sądzi, że był to sławny kompozytor?

– Prawdopodobnie i jedno, i drugie. I uważa, że Koch przywiązywał ogromną wagę do roli prątków w życiu seksualnym człowieka.

– A w piramidonach chowano zmarłych faraonów.

– Albo weźmy debycilinę.

– Mówisz o chorobie umysłowej?

– Oczywiście. Kiedyś...

Ale jaką plotkę chciała wyjawić mi Breeda, nigdy się nie dowiedziałem, gdyż do pokoju wróciła Pimmie.

– Proszę wstawać – zakomenderowała. – Doktor Grubbins polecił, żebym zawiozła pana do szpitala Waterloo; tam zrobią panu kauteryzację.

– Dobry Boże! – jęknąłem. – Tego się obawiałem. Rozgrzany do czerwoności rylec wciśnięty do nosa!

– Niech się pan nie wygłupia! – obruszyła się Pimmie. – Do tego używa się specjalnego żegadła.

– Żegadła? Rozpalonego żelaza? Podobno przyjechałem tu na odpoczynek!

– Nie może pan odpoczywać, jeśli leci panu krew z nosa – ucięła Pimmie. – Proszę włożyć kurtkę! Jadę z panem. To zalecenie doktora.

– Chyba jedyne rozsądne zalecenie, jakie wydał od czasu ukończenia medycyny – zauważyłem ciepło. – Jak się tam dostaniemy?

– Taksówką – poinformowała Pimmie. – Już czeka.

Kierowca, jak szybko spostrzegliśmy, był Irlandczykiem. Drobny, łysawy mężczyzna, który wyglądał jak orzech włoski na nóżkach.

– Dokąd jedziemy? – spytał.

– Do szpitala Waterloo – wyjaśniła Pimmie.

– Waterloo, Waterloo – zaczął się zastanawiać taksówkarz. – A gdzie to jest?

– Przy Westminster Bridge – rzekła Pimmie.

– Oczywiście, oczywiście. – Taksówkarz uderzył się dłonią w czoło. – Będziemy tam migiem.

Zapakowaliśmy się do samochodu i owinęli kocem, gdyż noc była bardzo zimna. Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

– A miałam dziś wieczorem umyć włosy – odezwała się nagle Pimmie z wyrzutem w głosie.

– Bardzo mi przykro – powiedziałem skruszony.

– Niech się pan nie przejmuj – rzekła i dodała zagadkowo: – Mogę na nich siedzieć.

– Naprawdę? – zdziwiłem się myśląc, że jest to pewnie jakaś nowoczesna metoda mycia włosów.

– Tak – potwierdziła Pimmie z satysfakcją. – Są tak długie. Niedawno proponowano mi za nie siedemdziesiąt funtów.

– Ale łysa nie wyglądałabyś nawet w połowie tak atrakcyjnie – zauważyłem.

– Też tak pomyślałam – przyznała i znów pograżyliśmy się w ciszy. Samochód zatrzymał się na światłach i taksówkarz odwrócił się do nas. Niebieskie i białe oświetlenie ulicy czyniło moją zakrwawioną twarz niezwykle bladą.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał kierowca z niepokojem. – Pełno tam krwi z tyłu. Może chciałby się pan zatrzymać, żeby się położyć?

Spojrzałem na smagane deszczem, zamarzające chodniki.

– Nie, nie sędzę, dziękuję – odrzekłem.

– Próbował pan czymś zatamować krwotok? – spytał olśniony nagłą odkrywczą myślą.

Wyjaśniłem, że mój zapchany nos przypomina miejskie wysypisko śmieci. W szpitalu mają mi zrobić kauteryzację.

– Tak jak robili to dawniej, tak? – spytał z wyraźnym zainteresowaniem.

– Co pan przez to rozumie?

– Przywiążą i poddadzą kauteryzacji, nie?

– Nie, nie. To zupełnie coś innego – zaprzeczyłem. – Mam nadzieję – dodałem po chwili.

Dojechaliśmy do szpitala i zatrzymaliśmy się przed rampą, przy której widniał napis (mógłbym przysiąc): „Protestantom wstęp wzbroniony”, a brzmiał naprawdę: „Pieszym wstęp wzbroniony”. Pomyłkę tę przypisuję bliskiej obecności Irlandczyka.

Pośpiesznie weszliśmy do środka. Nie było tam zwyczajowo naćpanych hipisów, pijaczków denaturatu i małych chłopców z głowami uwięzionymi w metalowych nocnikach. W pustej poczekalni zastaliśmy dyżurną pielęgniarkę. Zaprowadziła nas do czegoś w rodzaju tabernaculum i położyła mnie delikatnie na stole przypominającym stół operacyjny.

– Za chwileczkę przyjdzie do pana doktor – powiedziała nabożnie, jakby ogłaszała drugie przyjście Mesjasza. Pojawił się niebawem wyglądający na czternastolatka doktor w białym fartuchu, najpewniej praktykujący na ekskluzywnej Harley Street.

– Dobry wieczór panu, dobry wieczór – przywitał się serdecznie zacierając ręce. – Rozumiem, że ma pan krwotok z nosa.

Widząc moją brodę i wąsy oblepione zakrzepłą krwią, strużkę ciekącą z prawej dziurki i ubranie pełne czerwonych plam, nie postawił zbyt błyskotliwej diagnozy.

– Tak – potwierdziłem.

– No cóż – westchnął doktor wyjmując dwie pary szczypiec – Przyjrzymy się naszej ranie,

dobrze?

Jednymi szczypcami rozwarł mi nozdrza na szerokość nozdrzy Buszmena, a drugimi zaczął wyciągać zwoje bandażu.

– Ach, tak – mruknął inteligentnie, zaglądając do środka krwawej jamy – ma pan tu tego więcej.

– Wepchnęli wszystko, co było pod ręką – wyjaśniłem. – Nie zdziwiłbym się, gdyby znalazł pan parę pielęgniarek lub jedną czy dwie siostry przełożone wylegujące się w korytarzach moich zatok.

Doktor zaśmiał się nerwowo i wyciągnął mi z nosa kawałek waty.

– Ach, tak. Znalazłem krwawiące miejsce. Widzę tutaj dwie duże żyły, na które miałbym oko na pana miejscu.

– Dziękuję – odrzekłem. Ciekawe, jak mam mieć oko na żyły, które ukryte są w ciemnych zakamarkach mojego nosa.

– Teraz trochę kokainy – powiedział. – Dla znieczulenia. – Wziął do ręki jakiś rozpylacz i psiknął mi w nos. – Wystarczy – uśmiechnął się radośnie. – Siostró, poproszę o żegadło. Dobrze. To nie będzie bolało.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie kłamał.

– Dobrze – powtórzył doktor i odsunął się ruchem iluzjonisty, któremu udało się wykonać szczególnie skomplikowaną sztuczkę.

– To znaczy, że już koniec? – spytałem zdumiony.

– Tak – rzekł doktor, oświetlając wnętrze nosa małą latarką. – Nie będę pana dłużej niepokoił.

– Jestem niezmiernie wdzięczny – powiedziałem, opuszczając skwapliwie stół operacyjny.

Razem z Pimmie wyszliśmy ze szpitala do czekającej taksówki.

– Rany! Szybko się uwinęliście! – rzekł z podziwem taksówkarz. – Byłem pewien, że zejdzie wam co najmniej z godzinę.

– Szybko się uporali – przyznałem, biorąc głęboki i radosny wdech przez oczyszczony nos.

Taksówka stoczyła się z rampy na ulicę.

– Święta Mario, Matko Boża! – krzyknęła nagle Pimmie.

– Co się stało? – zapytaliśmy jednocześnie, zdumieni.

– Pojechaliśmy nie do tego szpitala – wyjaśniła słabym głosem.

– Jak to nie do tego? Nie rozumiem.

– To był przecież szpital, o który prosiliście – powiedział taksówkarz lekko urażonym tonem.

– Nie. To był szpital św. Tomasza. Mieliśmy jechać do Waterloo.

– Ale szpital mieści się koło mostu. Powiedzieliście koło mostu – wskazał kierowca. –



Proszę, tam jest most.

Życie było dla niego wystarczająco trudne i nie życzył sobie, by ktoś jeszcze je komplikował, zmieniając nazwy szpitali.

– Nieważne, gdzie on jest – powiedziała Pimmie – ale to nie ten szpital.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – spytałem. – Przecież sprawa została załatwiona.

– Tak, aleja zawiadomiłam Waterloo. Czeka na nas nocna zmiana.

– Jak się zastanowić – powiedział powoli taksówkarz – Waterloo brzmi podobnie jak św. Tomasz, jeśli wiecie, o co mi chodzi, szczególnie gdy jest się taksówkarzem.

Nawet nie starałem się go zrozumieć.

Wróciliśmy do Abbotsford i podczas gdy ja zająłem się piciem hektolitrów ciepłej herbaty, Pimmie dzwoniła do Waterloo, żeby wytłumaczyć nieporozumienie.

– Zwaliłam winę na pana – rzekła później triumfalnie. – Powiedziałam, że był pan lekko zamroczony i podał kierowcy złą nazwę.

– Bardzo dziękuję.

Następna noc i dzień minęły spokojnie, poza tym, że jeden z pacjentów próbował sprzedać mi w holu recepcji stół jadalny rzekomo w stylu Ludwika XV, a drugi bardzo chciał przećwiczyć alfabet Morse’a na moich drzwiach. Były to jednak drobne niedogodności, a nos zachowywał się nienagannie.

Wieczorem na nocną zmianę przyszła Pimmie. Zmierzyła mnie wzrokiem bazyliuszka.

– I jak? – spytała. – Ma pan jakieś problemy z nosem?

– Żadnych – odparłem dumnie i nim zdążyłem dokończyć, z nosa poszła krew..

– Dobry Boże! Dlaczego musi pan czekać na moją zmianę? – zawołała Pimmie. – Nie może pan przywitać w ten sposób pielęgniarki rano?

– To twoja uroda, Pimmie. Podwyższa mi ciśnienie i wywołuje krwotok.

– Mówił pan, że z jakiej części Irlandii pochodzi? – zapytała Pimmie zajęta wciskaniem mi do nosa bandaża nasączonego adrenaliną.

– Z Gomory, na granicy z Sodomą – odparłem natychmiast.

– Nie wierzę panu, chociaż takiego bajdurzenia wystarczyłoby dla pięciu Irlandczyków.

Jej zabiegi z bandażem nie zdały się na nic. Z nosa kapała krew jak z kranu z uszkodzoną uszczelką. W końcu wyczerpana Pimmie zrezygnowała i zadzwoniła do doktora Grubbinsa po dalsze instrukcje.

– Doktor Grubbins polecił panu jechać do szpitala Waterloo – wyjaśniła po powrocie. – Prosi, by tym razem nie pomylił pan szpitali.

– A ty nie jedziesz? – Nie.

– Ale dlaczego? – zaprotestowałem.

– Nie wiem, do licha! Jedzie pan samochodem służbowym z kierowcą.

– Kierowca postanowił, że za wszelką cenę odciągnie uwagę swojego pasażera od kłopotów. Okropna rzecz, krwotok z nosa – zaczął pogawędkę. – Często go dostawałem, gdy grałem w rugby. Ale jestem już na to za stary.

– Za stary na krwotok?

– Nie, nie, na rugby, chciałem powiedzieć. A pan gra?

– Nie. Nie lubię gier grupowych z wyjątkiem jednej.

– A której? – dopytywał się.

Nie wątpiłem, że mógł tak gadać bez sensu o każdej grze, jaka tylko została wymyślona. Musiałem uciszyć go za wszelką cenę.

– Z wyjątkiem seksu – rzekłem brutalnie i resztę podróży odbyliśmy w milczeniu.

W szpitalu miła siostra zaprowadziła mnie do sali, która wydawała się opustoszała. Później zobaczyłem na jednym z bardziej oddalonych łóżek starszego mężczyznę charczącego i trzęsącego się tak, jakby zaraz miał zejść z tego świata, a przy stoliku w odległości półtora metra z mojej prawej strony, rodzinę: ojca, matkę, córkę i syna grających w monopol. Słyszałem przypadkowo ich rozmowę, gdy kładłem się do łóżka.

– Jesteś pewna mamo, że to nie będzie bolało? – spytał chłopiec potrząsając energicznie kostką.

– Oczywiście, że nie kochanie – uspokajała matka. – Słyszałeś, co powiedział doktor.

– Oczywiście, że nie – powtórzył jak echo ojciec. – To tylko migdałki. To nic strasznego.

– Tak, tylko mała operacja – dodała matka. – Nic nie będziesz czuł.

– Chcę kupić Picadilly! – odezwała się ostro dziewczynka.

– Widziałeś to w telewizji, pamiętasz? – spytał ojciec. – Nic nie czują. Nawet jeśli operacja jest tak poważna jak wyjmowanie serca.

– Henry! – powiedziała matka zduszonym głosem.

– Piccadilly, Piccadilly! Chcę Piccadilly! – powtarzała uparcie dziewczynka.

– A po operacji? – jęczał chłopiec. – Gdy się obudzę? Wtedy będzie chyba bolało.

– Nie – uspokajał ojciec. – Oczywiście, że nie. Dadzą ci znieczulenie.

– A co to takiego? – spytał chłopiec.

– Lekarstwa i tym podobne, kochanie – wyjaśniła łagodnie matka. – Naprawdę, nie będziesz nic czuł. Dalej, teraz twoja kolej.

Biedny chłopczyk, pomyślałem. Przerażony jak diabli, a mój widok na pewno nie jest budujący. Porozmawiam z nim, gdy mnie umyją.

W tym momencie przyszła pielęgniarka.

– Doktor już do pana idzie – oznajmiła, zaciągając dokoła łóżka zasłonę.

– Czy znowu będę miał kauteryzację? – spytałem z nadzieją.

– Nie sędzę – odparła pielęgniarka. – Doktor Veraswami preferuje zatykanie.

Zatykanie, pomyślałem, cóż za piękne słowo. W nadzwyczaj zwięzły sposób podsumowuje pracę hydraulików.

Ja zatykam, ty zatykasz, on zatyka, zacząłem odmieniać. My zatykamy, oni zatykają. Ja wpycham, ty wpychasz...

Moje rozmyślenia nad formami czasownikowymi zostały przerwane przybyciem doktora Veraswamiego, mężczyzny o ciemnej karnacji, który przyglądał się światu przez ogromne cylindryczne okulary. Zauważyłem z ulgą, że dłonie ma szczupłe jak dziewczyna, o palcach niewiele grubszych niż papieros, delikatnością przywodzące na myśl motyla. Eleganckie, kruche, trzepoczące, niezdolne do zadania bólu. Dłonie uzdrowiciela. Doktor zbadał mi nos, wydając piskliwe pomruki, zaniepokojony tym, co znalazł.

– Musimy zatkać nos – oznajmił uśmiechając się do mnie.

– Proszę bardzo – zgodziłem się uprzejmie. – Wszystko, co powstrzyma krwotok.

– Siostró, proszę o narzędzia i możemy zaczynać. Pielęgniarka oddaliła się truchtem, a doktor stał w nogach łóżka i czekał.

– Z jakiej części Indii pan pochodzi? – rozpocząłem rozmowę.

– Nie jestem z Indii. Pochodzę z Cejlonu – sprostował. Wpadka, pomyślałem. Muszę być uważniejszy.

– Cejlon to cudowny kraj – rzuciłem szybko głosem pełnym wyrazu.

– Zna go pan?

– Niezupełnie. Kiedyś spędziłem tydzień w Trincomalee. Nie nazwałbym tego poznaniem Cejlonu. Ale domyślałem się, że jest piękny.

Doktor najwyraźniej zachęcony zaczął wywód jak z folderu turystycznego.

– Bardzo piękny. Mamy wybrzeża z palmami, piaszczyste plaże i morskie bryzy. Mnóstwo zwierzyny łownej. Pogórza, plantacje bananów i tak dalej. I oczywiście góry. Bardzo wysokie, bardzo zielone, rześkie morskie powietrze. Krajobrazy przekraczające wszelką wyobraźnię. Doprawdy mnóstwo zwierzyny.

– Brzmi wspaniale – powiedziałem niepewnie.

Stałem się oszczędny w słowach na widok pielęgniarki niosącej niezbędne przybory do zatykania nosa.

– Proszę przytrzymać panu głowę – polecił pielęgniarce. – Tak, dobrze.

Długimi, ostrymi szczypcami chwycił koniec, jak mi się wydawało, trzymilowego bandaża. Następnie założył lampkę na głowę i podszedł bliżej. Ręce pielęgniarki mocniej zacisnęły się na mojej głowie. Ciekawe dlaczego. Pimmie wciskała mi zwoje bandaża zupełnie bezboleśnie. Doktor wsadził mi do nosa szczypcę z bandażem, ostre końce zatrzymały się chyba gdzieś u podstawy czaszki, wywołując w zatokach przejmujący ból. Tak dotkliwy, że sparaliżował mi struny głosowe, nie byłem zdolny do najmniejszego protestu. Veraswami wyciągnął szczypcę

i sięgnął po dalszy kawałek bandaża. Zaczął go upychać z determinacją pojedyńkowicza, ładującego broń. Chwilami tak go ponosił entuzjazm, że szczypcy cięły delikatną tkankę i czułem, jakbym w nosie miał rozżarzone węgle. Chociaż odzyskałem głos, coś mnie powstrzymało przed zgłoszeniem sprzeciwu. Przy stoliku, gdzie odbywała się gra w monopol, zapadła cisza, cała rodzina z napięciem wsłuchiwała się w odgłosy dochodzące zza osłoniętego łóżka. Gdybym, jak nakazywał mi rozsądek, zaczął krzyczeć z bólu, kopnął Veraswamię w krocze i wyskoczył zza zasłony, ciągnąc za sobą bandaż w szaleńczej próbie uwolnienia się, chłopiec nerwowo oczekujący na operację mógłby się załamać. Musiałem wytrwać. Pielęgniarka, chcąc utrzymać moją głowę nieruchomo, ścisnęła ją jak w imadle. Sine ślady po kciukach pozostały mi na czole jeszcze przez kilka dni.

Veraswami centymetr za centymetrem utykał miarowo bandaż z zapalem kosa wydziobującego rankiem dżdżownicę na łące. Kiedy doszliśmy, jak sądziłem, do połowy, poprosiłem nieco chrapliwym głosem o przerwę w tej torturze.

– Czy to boli? – spytał Veraswami z zainteresowaniem studenta medycyny, ale i z zadowoleniem.

– Tak – powiedziałem krótko.

Prawa strona czaszki, twarz i szyja pulsowały z bólu, jakby ktoś walił mnie młotem kowalskim. Jajko wrzucone do zatok z pewnością by się usmażyło.

– Trzeba być okrutnym, żeby potem móc być miłym – odparł Veraswami, rozkoszując się znajomością angielskiego, która pozwoliła mu na zacytowanie oklepanej angielskiej maksymy. Resztę bandaża, jak odkryłem później, ponad trzy metry, doktor wepchnął mi do nosa kciukami, które nagle straciły swoją delikatność i motylą kruchość. Czytając, jak to różni bohaterowie pod wpływem bólu czy też smutku zanosili się łkaniem, traktowałem to jako licencję poetycką. Teraz dopiero pojąłem. Pod uciskiem palców doktora łyzy tryskały mi z oczu jak pociski z pistoletu maszynowego. Veraswami zakończył pracę i odsunął się, by podziwiać swe dzieło.

– Dobrze – odetchnął. – To powinno wystarczyć.

Podniosłem obolałą głowę i spiorunowałem go spojrzeniem.

– Czy nie pomyślał pan nigdy, żeby porzucić zawód lekarza i zająć się wypychaniem ptaków? – spytałem.

– Nie, nigdy – odparł zdziwiony doktor.

Zsunąłem się z łóżka i zacząłem się ubierać.

– Na pana miejscu bym spróbował – rzekłem. – Nie ma wtedy problemu z narzekaniem pacjentów.

Veraswami patrzył, jak się ubieram, z rosnącym niepokojem.

– Dokąd pan idzie? – spytał. – Nie może pan tak wyjść. Jeszcze nie teraz. Co będzie, jak nos znów zacznie krwawić? Mogę mieć kłopoty.

– Proszę sobie wziąć te szczypce w ustronne miejsce i na nich sięgnąć – doradziłem zmęczonym głosem. – Ja wracam do Abbotsford.

Złapałem taksówkę i po drodze przeklinałem w myślach medycynę w ogóle i doktora Veraswamię w szczególności. Pamiętam, że nawet w latach dwudziestych we Francji, jeśli ukończyło się krótki kurs medycyny, nie można było wykonywać zawodu lekarza, choć w papierach widniała adnotacja: „Odpowiedni do pracy na Dalekim Wschodzie”. Zastanawiałem się, czy nie była to zemsta Dalekiego Wschodu.

Przypomniałem też sobie opowiadanie, pewnie apokryficzne, o Indianinie, który ponad wszystko marzył o zrobieniu kariery w naukach ścisłych. Podchodził do egzaminów rok po roku, ale oblewał. Wreszcie władze zaproponowały, by zamiast walczyć o stopień, skierował swoje talenty w inną stronę. Został wtedy doradcą od zdawania egzaminów i dla udowodnienia swoich możliwości posługiwał się wizytówką: „Pan Ram Sing, mgr (bez dyplomu)”. Użalając się nad bolącą głową pomyślałem, że Veraswami znany jest pewnie jako Veraswami, mgr (bez dyplomu).

Gdy pojawiłem się w klinice, Pimmie zmierzyła mnie wzrokiem.

– Udało się im zatamować krwotok?

– Tylko mnie nie dotykaj! – poprosiłem. – To rzeźnicy. Jestem jednym żywym nerwem. Zaproponuj mi eutanazję, a będę twoim dozgonnym dłużnikiem.

– Do łóżka! – poleciła Pimmie. – Zaraz wracam.

Z trudem się rozebrałem i padłem na łóżko. Śmierć byłaby miłsza niż ten ból. Przyjechałem tu przecież, by odpocząć. Pimmie wróciła z zastrzykiem.

– Proszę odsłonić pośladek. To morfina. Zalecenie lekarza.

Zręcznie wkuła igłę i zaczęła wpatrywać się we mnie z niepokojem. Nie wyglądałem zachęcająco. Prawe oko napuchnięte, nozdrza rozszerzone jak u boksera, broda i wąsy zlepione krwią. Wciągnęła szybko powietrze i zmarszczyła brwi.

– Już ja im bym powiedziała, co o tym myślę – zdenerwowała się nagle.

– To miłe, że troszczysz się o mnie – mruknąłem sennym głosem. – Nie wiedziałem, że się o mnie martwisz.

Pimmie poderwała się na nogi.

– Martwić się o pana? – rzuciła lekceważąco. – Nie o pana się martwię. Ale pracę, której mi tu narobili. Proszę teraz iść spać i już nie gadać głupstw. – Podeszła do drzwi. – Zaraz wracam i sprawdzę, czy pan śpi.

Veraswami – pomyślałem, ukojony dawką morfiny – mgr (bez dyplomu). Pimmie mogłaby go niejednego nauczyć.

## VI Urszula

Między szesnastym a dwudziestym rokiem życia poznałem wiele atrakcyjnych młodych dam, ale żadna nie wywarła na mnie tak głębokiego wrażenia jak Urszula Pendragon White. Pojawiała się i znikwała w ciągu kilku lat z jednostajną regularnością, jak kukułka z zegara. Odkryłem, że jest jedyną dziewczyną, która wzbudza we mnie uczucia zarówno przerażenia i zwątpienia, jak i bezgranicznego podziwu i czystej zgrozy.

Urszulę po raz pierwszy zobaczyłem na piętrze autobusu numer 27, który dostojnie sunął po ulicach Bournemouth, jednego z najzdrowszych morskich kurortów, gdzie wtedy mieszkałem. Zajmowałem miejsce z tyłu, Urszula wraz z eskortą z przodu. Pewnie nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby nie jej głos, melodyjny i przenikliwy jak śpiew kanarka, o wyszukanym akcencie absolwentki ekskluzywnej szkoły w Roedan. Rozglądając się w poszukiwaniu źródła tych słodkich dźwięków, napotkałem jej profil i już nie mogłem oderwać wzroku.

Miała ciemne, naturalnie kręcone włosy, krótko i równo obcięte, pięknie obrysowujące jej niezwykłą twarz. Oczy olbrzymie, ciemnoniebieskie, prawie fioletowe, jak niezapominajki w słońcu, otoczone ciemnymi, długimi rzęsami pod czarnymi, wiecznie uniesionymi brwiami. Kształt i delikatność jej ust sugerowały, że nigdy nie tknęłyby one wędzonych śledzi ani żabich udek czy tłustej, wieprzowej kiełbasy. Zęby równe i białe.

Ale dech zapierało, gdy patrzyło się na jej nos. Nigdy takiego nie widziałem. Był długi, ale nie za bardzo, łączący w sobie trzy style. Od góry czysto grecki, ku dołowi lekko się zaginał jak nos eleganckiego pekińczyka, na samym koniuszku spłaszczył, jakby go ktoś uciał. Nie sposób ująć tego słowami, ale efekt był zachwycający. Młodym mężczyznom wystarczyło tylko raz spojrzeć i od razu tracili dla niego głowę. Nos był tak uroczy i niezwykły, że prowokował do nawiązania znajomości.

Patrzyłem jak urzeczony i dopiero po chwili zaczęły do mnie docierać słowa ich rozmowy. Wtedy odkryłem kolejną zaletę Urszuli. Jej sposób wysławiania się, pełen stanowczości i bezkompromisowy. Inni posługują się językiem cicho i łagodnie, tak jak zostali nauczeni, Urszula traktuje go jak wyzwanie. Chwyta słowa za kark, potrząsa zapamiętałe, wywraca na drugą stronę, zmuszając, by podporządkowały się całkowicie jej woli. Teraz siedziała pochylona nad swoim partnerem i coś mu tłumaczyła:

– A tata mówi, że to taka różnica jak między kilogramem pierza i kilogramem gwoździ, ale nie wydaje mi się. Sądzę, że jest dym bez ognia i ktoś musi jej to powiedzieć. Nie uważasz?

Młody mężczyzna, który wyglądał na cierpiącego na niestrawność psa gończego, wydawał się tak samo dezorientowany jej uwagą jak ja.

– Nie wiem – odparł. – Zabawna sytuacja, nie?

– Nie ma w tym nic śmiesznego, kochanie. To poważna sprawa.

– U niektórych ludzi – rzekł młody mężczyzna tonem greckiego filozofa głoszącego swoją doktrynę – prawa ręka nie wie, co robi lewa.

– Mój Boże! – wykrzyknęła zaskoczona Urszula. – Moje obie ręce nigdy nie wiedzą, co robią, ale nie o to chodzi. Miałam na myśli... Oooo! Tutaj wysiadamy! Kochanie, pospiesz się!

Patrzyłem, jak przesuwają się do wyjścia. Ona wysoka, o długich, kształtnych nogach, ubrana swobodnie, ale elegancko, o ruchach gibkich i zalotnych, wywołujących zwykle u młodych mężczyzn lubieżne myśli. Stała na chodniku i wciąż mówiąc coś do przyjaciela zniknęła w tłumie przechodniów.

Westchnąłem ciężko. Była tak uroczą dziewczyną, że los wydał mi się okrutny, dając mi zwodniczą okazję ujrzenia jej, by po chwili wyrzucić ją z mego życia. Myliłem się jednak, gdyż trzy dni później trafiła do niego znowu i pozostała, z przerwami, na następne pięć lat.

Zostałem zaproszony na urodziny do przyjaciela i gdy wszedłem do salonu, usłyszałem czysty, dźwięczny głos dziewczyny z autobusu.

– Jestem podglądaczką miejsc – tłumaczyła z przejęciem młodemu mężczyźnie. – Podróże mam we krwi. Nie ogrzewam tych miejsc wiele.

Wszystkiego najlepszego – zwróciłem się do gospodarza. – A w zamian za ten niezwykle drogi prezent chciałbym, żebyś przedstawił mnie tej dziewczynie z niesamowitym nosem.

– Co? Urszuli? – spytał zdziwiony. – Chyba nie mówisz poważnie.

– To mój cel życiowy – oświadczyłem.

– Na twoją odpowiedzialność. Jeśli cię poderwie, oszalejesz. Miejscowe wariatkowo pęka w szwach od jej różnych chłopaków.

Przeszliśmy przez pokój w stronę dziewczyny z zachwycającym nosem.

– Urszulo – powiedział mój przyjaciel, starając się nadać głosowi normalny ton – jest tu ktoś, kto chciałby cię poznać. Gerry Durrell... Urszula Pendragon White.

Urszula ogarnęła mnie jasnym, przenikliwym spojrzeniem i obdarowała uroczym uśmiechem. Jej nos *en face* był jeszcze cudowniejszy niż z profilu. Wpatrywałem się w nią i wiedziałem, że jestem zgubiony.

– Hej! – przywitała się. – To ty jesteś ten irytujący gość?

– Wolałbym usłyszeć: elegancki, przystojny, dowcipny, diabelski i światowy – odparłem z goryczą – ale jeśli twoim życzeniem jest nazywać mnie dziwakiem, stanę się nim.

Jej śmiech przypominał dzwoneczki u sań.

– Przepraszam. Jestem okropna. Ale to ty zajmujesz się zwierzętami?

– Tak – przyznałem.

– Więc jesteś tym, z kim chciałam porozmawiać. Kłóciłam się o to z Cedrikiem całymi dniami. Jest straszliwie uparty, ale wiem, że mam rację. Psy mogą mieć przywidzenia, prawda?

– No cóż – rzekłem mądrze – jeśli będzie się biło je siedem dni w tygodniu...

– Nie, nie – zniecierpliwiła się jak małe dziecko – przywidzenia. No wiesz, że widzą duchy i mogą przepowiedzieć kiedy umrzesz, i tego rodzaju rzeczy.

– Masz na myśli przeczucia? – podsunąłem.

– Wiem, co mam na myśli – powiedziała chłodno.

Po krótkiej rozmowie o szlachetności psów i ich wróżbiarskich możliwościach udało mi się przejść do tematu muzyki. W Pavilionie miał odbyć się koncert, na który udało mi się zdobyć miejsca, i pomyślałem sobie, że byłby to elegancki i kulturalny sposób rozpoczęcia znajomości z Urszulą. Spytałem, czy lubi muzykę.

– Wprost uwielbiam – rzekła zamykając z błogością oczy. – Jak powiedział chyba Milton w „Wieczorze Trzech Króli”: „Jeśli muzyka jest miłości strawą, dajcie mi waszej muzyki do zbytku”. [Szekspir, „Wieczór Trzech Króli”] – Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– Czy nie myślisz... – zacząłem nieostrożnie.

Z ciepłych i miłośnie zamglonych, oczy Urszuli stały się ostre i złe jak zamrożone barwinki.

– Tylko nie zaczynaj mi znowu mówić, co myślę – rzuciła buntowniczo. – Robili to wszyscy moi chłopcy i dostawałam szału. Ciągłe mnie tylko poprawiają i poprawiają jakbym była... testem egzaminacyjnym albo co.

Nie pozwoliłaś mi skończyć – powiedziałem łagodnie. – Chciałem powiedzieć, czy nie myślisz, że twoja miłość do muzyki jest tak wielka, że zgodziłabyś się przyjąć ode mnie zaproszenie na koncert do Pavilonu na jutro wieczór?

– Oooo! – Oczy Urszuli zabłyśły. – Chcesz powiedzieć, że masz bilety?

– Bez nich nie dostaniemy się na koncert – zauważyłem.

– Taki jesteś sprytny? Próbowałam dostać bilety w zeszłym tygodniu, ale były wyprzedane. Pójdę z wielką chęcią.

Gdy zacząłem się zbierać do wyjścia, niezwykle z siebie zadowolony, mój gospodarz spytał, jak mi poszło z Urszulą.

– Cudownie – odparłem dumny z sukcesu. – Zabieram ją jutro na lunch, a potem na koncert.

– Co?! – wykrzyknął przerażony.

– Zazdrość ci nie pomoże. Jesteś na swój sposób miłym facetem, ale gdy przychodzi do atrakcyjnych dziewcząt jak Urszula, przydałaby ci się odrobina uroku, trochę szampańskiego humoru i tego nieokreślonego *je ne saisquoi*.

– Nie pozwolę – zaczął uroczyście. – Pomimo twojej przerażającej arogancji, nie pozwolę, by mój przyjaciel pograżył się w otchłani piekielnej, muszę mu podać pomocną dłoń.

– O czym ty mówisz? – spytałem szczerze zainteresowany, gdyż najwyraźniej nie żartował.



Posłuchaj – rzekł z powagą. – Ostrzegam cię. Najlepiej, jeśli zadzwonisz do niej dziś wieczorem i powiesz, że złapałeś grypę albo wściekliznę, czy coś innego, ale wiem, że tego nie uczynisz. Jesteś zaślepiony. Ale, na miłość boską, wysłuchaj mojej rady. Jeśli zaprosisz ją na lunch, staraj się trzymać ją z daleka od karty dań, chyba że ktoś ci umarł i zostawił w spadku kilkaset funtów. Ma apetyt jak wygłodzony pyton i żadnych względów dla pieniędzy. A jeśli chodzi o koncert... Czy nie wiesz, że kierownictwo koncertu blednie i trzęsie się na samą wzmiankę o niej? Że od lat próbują wymyślić legalny sposób, by zabronić jej wstępu na koncerty?

– Ale powiedziała, że lubi muzykę – zaniepokoiłem się.

– O tak, i muzyka ma na nią zgubny wpływ. Ale nie tak tragiczny jak jej wpływ na muzykę. Widziałem dyrygenta po przedstawieniu „Zaczarowanego fletu”; cały we łzach, pociągał krople uspokajające jak niemowlę mleko z butelki. Słyszałem poza tym, i wydaje się to wielce prawdopodobne, że po jednym z wykonań „Święta wiosny” Strawińskiego, na którym była Urszula, dyrygent całkiem osiwił. Czy wiesz, że gdy Eileen Joyce miała tutaj recital Urszula wywarła na nią tak deprymujący wpływ, że nieszczęsna pianistka zapomniała zmienić sukienkę między występami?

– Może było to jedynie przeoczenie – zauważyłem.

– Przeoczenie?! Przeoczenie?! Czy możesz sobie wyobrazić, że Eileen Joyce zabrakło sukienek?

Musiałem przyznać mu rację.

Z delikatnością uprzejmego kata odprowadził mnie do drzwi.

– Nie zapomnij – powiedział niskim głosem, ściskając mnie życzliwie za ramię – że jestem twoim przyjacielem. Jeśli będziesz mnie potrzebował, dzwoń. W dzień i w nocy. Będę tutaj.

Zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Wracałem do domu z dziwnym niepokojem.

Ale następnego ranka nastrój mi się poprawił. Urszula to przecież wyjątkowo śliczna dziewczyna i nie wierzyłem, żeby ktoś tak atrakcyjny mógł się zachowywać prostacko, jak opisał to mój przyjaciel. Prawdopodobnie starał się z nią umówić, a ona równie mądra, jak piękna, dała mu kosza. Pocieszając się tą myślą, ubrałem się niezwykle starannie i poszedłem na dworzec. Wyjaśniła, że z Lyndhurst w New Forest, gdzie mieszka, musi przyjeżdżać do Bournemouth pociągiem, gdyż „tata zawsze bierze roysa, kiedy go potrzebuję”. Stałem podekscytowany na peronie, czekając na przyjazd pociągu. Gdy po raz dwudziesty poprawiałem krawat, zaczęła mnie starsza dama, filar miejscowego kościoła, która z niezrozumiałych powodów była przyjaciółką mojej matki. Przystępując nerwowo z nogi na nogę, modliłem się, żeby ta wiedźma wreszcie odeszła.

Ostatnią rzeczą, którą można sobie życzyć na spotkaniu z nową dziewczyną, jest świętoszkowata i krytyczna publiczność. Ale ona przyssała się jak pijawka i wciąż opowiadała

mi o niedawnej akcji dobroczynnej, gdy na stację wtoczył się z hukiem brudny pociąg. Jednym uchem słuchałem relacji o wikarym, zbyt zajęty wypatrywaniem Urszuli w otwierających się drzwiach wagonu.

– A wikary powiedział: „Pani Darlinghurst, osobiście opowiem biskupowi o pani bezinteresownym oddaniu sprawie zbierania funduszy na organy”. Oczywiście nie musiał tego mówić, ale nie sądzisz, że postąpił bardzo po chrześcijańsku?

– O tak... tak... Bardzo, ehm bardzo przytomnie.

– Tak właśnie myślałam. Więc powiedziałam mu: „Proszę księdza, jestem tylko skromną wdową...”

Nie było mi dane usłyszeć, jakie sekrety powierzyła wdowa wikaremu, gdyż nagle z tyłu rozległ się przeszywający okrzyk radości.

– Kochanie! Kochanie, jestem tutaj!

Obróciłem się i w tym momencie Urszula rzuciła mi się w ramiona i przycisnęła usta do moich z chciwością wygłodzonej pszczoły, która dojrzała swój pierwszy kwiat koniczyzny na wiosnę. Gdy w końcu udało mi się uwolnić z tego uścisku ośmiornicy, rozejrzałem się za panią Darlinghurst. Zobaczyłem, jak wycofuje się peronem z wyrazem twarzy świętoszka, który nagle znalazł się na rzymskiej orgii. Uśmiechnąłem się do niej słabo i pomachałem na pożegnanie. Chwyciwszy Urszulę mocno za ramię, wyprowadziłem ją ze stacji, starając się zetrzeć z twarzy kilogramy, jak mi się wydawało, szminki.

Urszula ubrana była w elegancki niebieski kostium, który podkreślał jej niewiarygodnie duże oczy, i białe koronkowe rękawiczki. W ręku trzymała dziwny koszyk z pokrywką i malutką rączką, który zawierał prawdopodobnie zapas kosmetyków, zdolnych odeprzeć atak upływających lat.

– Kochanie – powiedziała zatapiając we mnie wzrok. – Czuję, że będę się świetnie bawić. Taki piękny dzień. Lunch z tobą, a potem koncert... Mhmm...! Raj na ziemi!

Kilku mężczyzn w poczekalni, słysząc zmysłowe łkanie w słowie „raj”, które trzeba było usłyszeć, by uwierzyć, popatrzyło na mnie z zazdrością. Humor od razu mi się poprawił.

– Zamówiłem stolik... – zacząłem.

– Kochanie – przerwała. – Muszę iść do toalety. Nie mogłam znaleźć żadnej w pociągu. Kup mi szybko gazetę.

Kilka osób zatrzymało się i spojrzało niepewnie.

– Ciszej – syknąłem. – Nie tak głośno. Po co ci gazeta? W toalecie jest papier.

– Tak, ale za cienki. Potrzebuję grubego papieru do podłożenia.

– Do podłożenia?

– Nigdy nie siadam bezpośrednio na desce. Kiedyś znałam dziewczynę, co dostała świadziku.

– Chodzi ci chyba o trądzik?

– Ależ nie – odparła zniecierpliwiona. – Świądzik, dostajesz okropnych świądziących czerwonych krost na całym cieie. Pospiesz się, kup mi gazetę, kochanie. Nie wytrzymam!

Kupiłem jej gazetę i patrzyłem, jak znika w toalecie, wymachując nią jak środkiem przeciw zarazkom.

Pojawiła się po kilku minutach, uśmiechnięta i sterylna. Wpakowałem ją do taksówki i zawiozłem do wybranej wcześniej restauracji. Gdy usadowiliśmy się wygodnie, kelner rozłożył przed nami wielkie karty dań. Pomny rady przyjaciela zwinnie wyciągnąłem kartę z jej rąk.

– Wybiorę za ciebie. Jestem smakoszem.

– Naprawdę? Ale nie jesteś Indianinem?

– A co to ma z tym wspólnego? – spytałem zdeorientowany.

– Myślałam, że pochodzą z Indii.

– Kto? Smakosze?

– Tak. Czyż to nie ci, którzy cały swój czas spędzają, wpatrując się w swój brzuch?

– Ależ nie. Myślisz o czymś zupełnie innym. Pozwól mi już zamówić, dobrze?

Wybrałem posiłek skromny, ale treściwy, oraz butelkę wina. Urszula nie przestawała mówić. Miała mnóstwo przyjaciół, których oczywiście należało znać. Każde ich zmartwienie bardzo ją zajmowało. Z jej opowieści wywnioskowałem, że większą część życia spędzała na organizowaniu życia innym, czy tego chcieli, czy nie. Słowa lały się z niej strumieniem, słuchałem urzeczony.

– Niepokoję się Tobym – wyznała podczas pochłaniania koktajlu z krewetek. – Naprawdę bardzo się martwię. Wydaje mi się, że w kimś się potajemnie zakochał i cała ta sprawa go zżera. Ale tatuś się ze mną nie zgadza. Twierdzi, że on jest bliski bezładu.

– Bezładu?

– No tak. Wiesz, kiedy pije za dużo.

Język jest rzeczywiście bogaty, pomyślałem, jeśli można użyć takiego słowa dla określenia pijaka.

– Powinien zapisać się do klubu Anonimowych Bezładnych – rzuciłem bezmyślnie.

– A kto to taki? – Urszula otworzyła szeroko oczy.

– To takie tajne stowarzyszenie... tych no... bezładnych, które stara się... ehm, pomóc sobie nawzajem... aby... aby... przestać pić... i... stać się...

– Ładnymi! – pisnęła zachwycona.

Muszę przyznać, że nie przyszło mi to do głowy. Później przy spożywaniu *filet mignon* pochyliła się nagle i wbiła we mnie swoje jasne, przenikliwe spojrzenie.

– Czy wiesz o Susan? – syknęła. Syk był donośniejszy niż jej normalny głos.

– Eee... nie – odparłem.  
– Zaszła w ciążę. Będzie miała bezprawne dziecko. Zacząłem się nad tym zastanawiać.  
– Przy nowoczesnych metodach edukacji... – zacząłem.  
– Nie bądź głupi! Niczego nie brała. Bez sensu! Jej ojciec oczywiście powiedział, że nie zamierza przyjmować w swoim domu kolejnych bezprawnych.  
– Jasne.  
– No właśnie! Więc ojciec polecił jej wykonać ablucję.  
– Aby zmyć grzechy?  
– Nie, głupi. Aby pozbyć się dziecka!  
– I zrobiła to?  
– Tak. Ojciec posłał ją do Londynu. Wydał masę pieniędzy. Biedaczka wróciła w strasznym stanie. Uważam, że ojciec postąpił nieuczciwie.

Większość osób przy stolikach przysłuchiwała się nam z zapartym tchem.

Przy kawie Urszula opowiadała mi bardzo wciągającą historię o jednym przyjacielu, który miał poważny problem i któremu chciała pomóc. Słuchałem nieuważnie do momentu, gdy usłyszałem:

– Niewiele mogłam wtedy zrobić, mama leżała przeziębiona w łóżku, a tata poprosił mnie, żebym przygotowała mu szybko lunch, gdyż musiał jechać do weterynarza z bykiem do skrócenia... i...

– Gdzie musiał jechać? – przerwałem zdumiony.

– Do weterynarza, aby skrócić byka. Stawał się coraz bardziej gwałtowny i niebezpieczny.

Ciekawe, jak można skrócić gwałtownego i niebezpiecznego byka, zastanawiałem się zauroczony jej słowami. Ale byłem na tyle mądry, że się nie zapytałem.

– Pospiesz się i kończ kawę – rzekłem. – Bo spóźnimy się na koncert.

– Oooo, tak. Nie możemy się spóźnić.

Dopiła szybko kawę i po zapłaceniu rachunku wyprowadziłem ją z restauracji. Przeszliśmy przez park zwany ironicznie Ogrodem Rozkoszy Bournemouth, wśród zwiędłych rododendronów, obok baseniku dla dzieci, aż dotarliśmy do Pawilonu.

Urszula oznajmiła, że chce wziąć ze sobą koszyczek.

– Dlaczego nie zostawisz go w szatni? – zaproponowałem, gdyż zajmował sporo miejsca.

Nie ufam szatniom – powiedziała tajemniczo. – Robią tam dziwne rzeczy. Przezornie nie pytałem, co takiego tam robią. Zajęliśmy miejsca i postawiliśmy koszyk pod nogami.

Sala powoli zaczęła wypełniać się melomanami. Gdy pojawił się dyrygent, Urszula zaczęła z zapałem klaskać. Pochyliła się ku mnie i szepnęła:

– Czyż on nie jest przystojny?

Czułem, że nie jest to najlepszy moment na wyprowadzenie jej z błędu. Ponowne pojawienie

się dyrygenta Urszula przyjęła żywiolową owacją, po czym z ciężkim westchnieniem zagłębiła się w fotel. Spojrzała na mnie i posłała mi zachwycający uśmiech.

– Och, będę się świetnie bawiła, kochanie!

Koncert był wiązanką utworów Mozarta, którego zresztą bardzo lubiłem. Szybko odkryłem, co miał na myśli mój przyjaciel, mówiąc o deprymującym wpływie Urszuli na muzyków. Jeśli podczas wykonywania utworu nastąpiła najmniejsza sekundowa przerwa, Urszula podnosiła natychmiast ręce i szaleńczo klaskała. Ludzie syczeli uciszająco. Po jakimś czasie nauczyłem się zręcznie łapać ją za ręce, zanim zdążyła klasnąć. Za każdym razem zwracała ku mnie udręczone spojrzenie, mówiąc:

– Kochanie, przepraszam. Myślałam, że to już koniec. Skończył się chyba właśnie czwarty utwór, gdy usłyszałem, że w koszyku coś się rusza. Z początku myślałem, że tylko mi się wydawało, ale przyłożywszy nogę do koszyka poczułem wyraźne drgania. Spojrzałem na Urszulę, która wywijiała palcem wskazującym w takt muzyki.

– Urszula! – szepnąłem.

– Tak, kochanie – rzekła nie otwierając oczu.

– Co masz w koszyku?

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie zaskoczona.

– O co chodzi? – spytała zaczepnie.

– W koszyku coś się rusza.

– Szszsz... – rozległy się dokoła gniewne głosy.

– Niemożliwe – rzekła zdziwiona. – Chyba że pastylki przestały działać.

– Co masz w koszyku?

– Och, nic takiego. Prezent dla kogoś.

Pochyliła się, podniosła pokrywkę i wyjęła ze środka malutkiego śnieżnobiałego pekińczyka o ogromnych czarnych oczach.

Oględnie mówiąc, doznałem szoku. Bywalcy koncertów w Bournemouth traktowali muzykę poważnie i ostatnią rzeczą, którą chcieliby widzieć, czy też na którą by się zgodzili w tym świętym miejscu, był pies.

– A niech to szlag! – mruknęła Urszula, patrząc na uroczy zadarty nosek pieska. – Pastylki przestały działać.

– Włóż go z powrotem – syknąłem.

Wokół znów rozległy się psykania.

Gdy Urszula schyliła się, by go schować, pekińczyk ziewnął potężnie, nagle wygiął się gwałtownie i wyrwał jej się z rąk.

– Oooo! Wypadł mi! Wypadł mi!

– Zamknij się! – warknąłem.

– Cisza!

Wyciągnąłem rękę, by go pochwycić, ale szczeniak ożywiony odzyskaną wolnością podreptał przed siebie w gąszczu nóg.

– Co teraz zrobimy? – jęknęła Urszula.

– Bądź cicho i zostaw to mnie!

– Tss... – Znów rozległy się gniewne syki.

Przez chwilę siedzieliśmy nieruchomo. Jak znajdę tego psiaka wśród tylu foteli i nóg, nie zakłócając przy tym koncertu, zastanawiałem się nerwowo.

– Musimy go zostawić – zdecydowałem. – Poszukam go po koncercie, jak wszyscy wyjdą.

– Nie ma mowy! – sprzeciwiła się Urszula. – Nie możesz go tak zostawić. Ktoś go może nadepnąć i zranić.

– To co mam zrobić?

– Kochanie, musisz coś wymyślić. On jest teraz straszliwie samotny.

Na sali znajdowało się w przybliżeniu siedemset osób.

– Dobrze – zgodziłem się. – Będę udawał, że idę do toalety.

– Świetny pomysł – uradowała się. – Na pewno poszedł w tamtą stronę.

Podniosłem się i klnąc w duchu, jak mogłem najszybciej przedostałem się pod gradem wściekłych spojrzeń do przejścia. Zobaczyłem przed sobą rozkraczonogo pekińczyka z pupą przy ziemi, dekorującego czerwony dywan, jak robią to wszystkie szczeniaki, zanim nauczą się podnosić nogę. Ostrożnie podszedłem i szybko go chwyciłem. Wydał wtedy z siebie przenikliwy pisk zagłuszający dźwięki muzyki. Po sali rozszedł się szmer i ludzie spojrzeli oburzeni w moją stronę. Szczeniak nie przestawał piszczeć. Wcisnąłem go bezceremonialnie pod marynarkę i pośpiesznie opuściłem salę.

Poszedłem do szatni, gdzie na szczęście zobaczyłem znajomą dziewczynę.

– Jak się masz! Wychodzisz już? Nie podoba ci się koncert?

– Nie, nie... siła wyższa... – wyjaśniłem, wyjmując szczeniaka spod marynarki.

– Zaopiekujesz się nim przez chwilę? – spytałem, wyciągając do niej rękę ze szczeniakiem.

– Ależ on jest słodki! – zachwyciła się. – Chyba nie wzięłeś go ze sobą na koncert? Psów nie wolno wprowadzać.

– Wiem, dostał się przypadkiem. Zajmiesz się nim do końca koncertu?

– Oczywiście! Jest słodki.

– Ale nie podczas koncertu.

Przekazałem psa pod troskliwą opiekę i wróciłem na salę. Stałem przy ścianie czekając, aż orkiestra zrobi przerwę. Wtedy przecisnąłem się między fotelami do Urszuli.

– Masz go, kochanie? – spytała.

– Nie – odparłem. – Oddałem szatniarce, to moja znajoma.

– Na pewno nic mu nie będzie? – Urszula wyobrażała już sobie, co się stanie w szatni z pekińczykiem.

– Jest w dobrych rękach. Będzie tulony i pieszczony aż do końca koncertu. Nie rozumiem, co ci przyszło do głowy z tym psem.

– Ależ, kochanie, to miał być prezent dla mojej znajomej. Chciałam ci o tym powiedzieć, ale tak dużo mówiłeś, że nie mogłam dojść do słowa. Chcę jej go zanieść po koncercie.

– Nie rób tego na drugi raz. Pavilion nie jest miejscem dla psów. Teraz uspokój się i wysłuchaj do końca koncertu.

– Oczywiście, kochanie.

Po zakończeniu koncertu, gdy Urszula, jak to określiła, zachrypla od oklasków, odebraliśmy szczeniaka i włożyliśmy go z powrotem do koszyka. Zaczęliśmy torować sobie drogę wśród tłumu melomanów, zawzięcie dyskutujących nad umiejętnościami orkiestry symfonicznej Bournemouth.

– Kochanie, było cudownie. Te arpegi przebiegające mi po kręgosłupie z dołu do góry. Nie ma nic piękniejszego od Beethovena, prawda? – spytała głośno i wyraźnie, wieszając mi się na ramieniu niczym wymizerowana, niezamężna ciotka i patrząc mi głęboko w oczy. W rękę ścisnęła program, na którym wielkimi literami widniał napis: „Koncert Mozarta”.

– Zgadzam się całkowicie. A co z tym szczeniakiem?

– Chciałabym zanieść go mojej znajomej, która mieszka na przedmieściach Poole. Nazywa się Golightly.

– A po co jej ten psiak?

– Potrzebuje go – wyjaśniła. – Potrzebuje rozpaczliwie. Właśnie straciła swojego Bow-wow.

– Co straciła?

– Bow-wow.

– Mówisz o psie?

– Tak się nazywał.

– Chce następnego?

– Nie chce, ale potrzebuje.

– Dajesz go jej, bo sądzisz, że go potrzebuje? – spytałem zaskoczony.

– Każdy nawet kątem oka by to spostrzegł.

– Wiesz co, dziwi mnie, że cały czas wtrącasz się w cudze życie, chociaż nikt tego sobie nie życzy.

– Nieprawda – rzekła stanowczo Urszula. – Oni chcą, tylko nie zdają sobie z tego sprawy.

Poddałem się.

– Dobra. Jedźmy więc do Poole.

Gdy znaleźliśmy się w Poole, Urszula natychmiast skręciła w boczne uliczki. Wkrótce

dotarliśmy do grupy małych domków. Ten, przed którym stanęliśmy, miał pięknie wypolerowaną mosiężną gałkę i pracownie wyczyszczone schody. Urszula zastukała energicznie kołatką. Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich drobna starsza pani o siwych włosach.

– Ach, Urszula! – zawołała. – To pani!

– Emma, najdroższa! – rzekła czule Urszula. Drobna figurka staruszki całkowicie zniknęła w jej ramionach.

– Przyszliśmy cię odwiedzić – oznajmiła odkrywco. – To jest Gerry.

– Och, proszę, proszę, wejdźcie – rzekła mała staruszka. – Ale szkoda, że mnie nie uprzedziliście. W domu taki bałagan.

Wprowadziła nas do pokoju gościnnego z mnóstwem mebli, najbrzydszych, jakie kiedykolwiek widziałem, ale lśniących czystością i troską, hołubionych jak eksponaty w muzeum. Świadczyło to o nienagannym złym guście. Nic nie znalazło się tu przypadkiem. Wszystko błyszczało, a w powietrzu unosił się zapach środków do czyszczenia i dezynfekcji. Na pianinie, chyba nigdy nie używanym, stały starannie rozmieszczone fotografie. Dwie przedstawiały wąsiastego mężczyznę o wyniosłej postawie, pozostałe puszystego kundla w różnych pozach. To pewnie Bow-wow. Większość była zamazana i nieostra, ale niewątpliwie mężczyzna z wąsami znajdował się na drugim planie.

– Proszę, siadajcie, siadajcie – zapraszała staruszka. – Zrobię wam filiżankę herbaty. Mam trochę ciasta. Co za szczęście, że upiekłam je wczoraj. Zjecie kawałek i napijecie się herbaty?

W tym momencie miałem ogromną ochotę jedynie na kilka kufli piwa, ale odpowiedziałem oczywiście, że będę zachwycony.

Przy herbacie i kawałku gąbczastego ciasta, lekkiego jak funt ołowiu, Urszula bez przerwy mówiła. Z rozmowy wywnioskowałem, że Emma Golightly pracowała kiedyś u taty Urszuli i najwyraźniej żywiła dla niego podziw. Niesamowite, jak wylewność Urszuli potrafiła odmienić Emmę. Gdy otwierała drzwi, była przygaszona i smutna. Teraz porwana entuzjazmem Urszuli promieniała radością i szczęściem.

– Tak, tak! – mówiła co jakiś czas – A pamiętasz, jak...

– Ależ oczywiście! – przytakiwała Urszula.

– A później, jak...

I tak bez końca. Wreszcie Urszula sprytnie sprowadziła rozmowę na temat Bow-wow.

– Ehm... Gerry nie wie o Bow-wow – powiedziała spoglądając na Emmę ze współczuciem. – Opowiedz mu.

Oczy Emmy napelniły się łzami.

– To był wspaniały pies – zaczęła. – Wspaniały. Prawie mówił, naprawdę potrafił mówić. I pewnego dnia wypuściłam go, a jakiś typek przejeżdżał tędy i go potrafił. Nawet się nie



zatrzymał... nie zatrzymał. Zabrałam go do weterynarza... był cały we krwi. Więc powiedziałam, że... że zapłacę każdą sumę, żeby tylko żył. Rozumie pan, po śmierci męża miałam tylko jego. Taki wspaniały pies. Pokochałby go pan, gdyby pan go poznał. Cały we krwi, nie cierpiało bardzo, ale powiedzieli, że niewiele da się zrobić i najszlachetniej by było skrócić jego męki. Był moim przyjacielem od śmierci męża. Przez... przez lata... miałam go przez całe lata. Prawie dwanaście lat. Może pan sobie wyobrazić, jaki to był dla mnie szok. Gdy powiedzieli, że to jedyna rzecz, jaką mogą zrobić, cóż, zgodziłam się. I... i uspili go.

Przerwała i głośno wytarła nos.

– To straszne przeżycie – przyznałam.

– O tak, straszne. Jakby ktoś zabrał mi część życia, gdyż, jak mówiłam, od śmierci męża, Bow-wow był jedynym moim towarzyszem.

Widziałem, że lada chwila Emma się załamie, a to oznaczało kłopoty. Zacząłem się zastanawiać, co teraz powiedzieć. Ale w tym momencie wkroczyła Urszula.

– Emma, kochanie – wtrąciła. – Właśnie dlatego, że tak traktowałaś Bow-wow... sposób, w jaki się nim opiekowałaś, że dałaś mu taki szczęśliwy żywot... chciałam... chciałam prosić cię o wielką przysługę. Możesz odmówić, ale proszę cię, żebyś to rozważyła.

– Przysługę? – powtórzyła. – Oczywiście, moja droga. O co chodzi?

– A więc – zaczęła Urszula z wyrazem udręki na twarzy. – Mój przyjaciel dostał szczeniaka. Niestety z powodu choroby w rodzinie, jego żona jest ciężko, bardzo ciężko chora, nie może zapewnić mu opieki, na jaką zasługuje, tak że na tydzień lub dwa... szuka kogoś, kto mógłby się nim zająć. Kogoś, kto ofiaruje mu swoją miłość i oddanie. Od razu pomyślałam o tobie.

– Och! Szczeniak? No... nie wiem. To znaczy po Bow-wow... rozumiesz, nie mogłabym teraz... mieć drugiego psa.

– Ale to tylko szczeniak. – Oczy Urszuli zwilgotniały. – Malutki szczeniaczek. Tylko na tydzień lub dwa. Wiem, że wspaniale się nim zaopiekujesz.

– Nie wiem, naprawdę – wahała się. – Nie chcę teraz mieć drugiego psa.

– Ja cię nie proszę, żebyś go wzięła. Chciałam tylko, żebyś się nim zaopiekowała, proszę w imieniu tego pana, którego żona jest tak strasznie chora. On jest rozdarty między żoną i psem.

– Ach, tak jak ja wtedy, gdy Bill był chory. Przypominam sobie teraz. Czasami nie wiedziałam, czy wziąć psa na spacer, czy zostać przy mężu, tak był chory. Jaki to pies, Urszulo?

– Pokażę ci – rzekła Urszula i otworzyła koszyk. Pekińczyk leżał zwinięty w kłębuszek, wyczerpany kulturalnymi doznaniem na koncercie, i spał. Urszula chwyciła go bezceremonialnie za kark i podsunęła zdumionej Emmie pod nos.

– Spójrz na niego! Biedne maleństwo!

– Och, biedne maleństwo – powtórzyła bezwiednie Emma. Urszula próbowała przytulić szczeniaka, który, ku mej satysfakcji, ugryzł ją w palec.

– Tylko spójrz na niego! – Głos jej drżał, gdy próbowała utrzymać wyrywającego się szczeniaka. – Biedactwo samo nie wie, czego chce. Został brutalnie oderwany od swojej rodziny. Emmo, nie zostawisz go w takim stanie?

Byłem tak zafascynowany wirtuozerskim rozegraniem sprawy przez Urszulę, że tylko patrzyłem w milczeniu.

– To małe opuszczone stworzonko – ciągnęła, starając się uwolnić palec z jego zaciśniętych szczęk – to małe stworzonko pragnie tylko trochę towarzystwa, odrobinę pomocy w swoich zmaganiach... tak jak mój przyjaciel.

– Rzeczywiście, muszę przyznać, że jest miłutki – powiedziała wyraźnie poruszona Emma.

– O tak! – Urszula chwyciła go zdecydowanie za pysk, zapobiegając w ten sposób dalszemu gryzieniu. – Absolutnie uroczy i wydaje mi się, nie jestem pewna, ale na pewno przyuczony do życia w mieszkaniu... Tylko na tydzień, droga Emmo... Mogłabyś spojrzeć na to jak na... na przyjęcie pod swój dach pensjonariusza czy coś w tym rodzaju?

Nie dla każdego bym to zrobiła – powiedziała Emma, nieruchomo wpatrując się w wijącego się szczeniaka o różowym, tłustym brzuszku, białym gęstym futrze i dużych wylupiastych oczach. – Ale rzeczywiście szczeniak jest uroczy i ponieważ tak prosisz... myślę, że... chyba go wezmę na tydzień.

– Kochanie! – uradowała się Urszula. – Niech cię Bóg błogosławi! – Wcisnęła szczeniaka z powrotem do koszyka. Podeszła do Emmy, uściśnęła ją i ucałowała w oba policzki. – Zawsze wiedziałam – zajrzała jej w oczy swoim cudownie jasnym spojrzeniem, przejmującym i, jak zdażyłem zauważyć, także niszczącym – że ze wszystkich ludzi ty jedna nie odwrócisz się od tego maleństwa.

Mówiła z takim uczuciem, że chciałem już wyjąć chusteczkę, by otrzeć napływające łzy.

Podziękowaliśmy za następną filiżankę herbaty, kawałek niejadalnego ciasta i w końcu udało się nam wyjść. Szliśmy ulicą w stronę dworca, Urszula objęła mnie ramieniem i mocno przytuliła.

– Bardzo ci dziękuję, kochanie. Tak mi pomogłeś.

– Pomogłem? Nic nie zrobiłem.

– Ale byłeś tam, rozumiesz... siłą swojej obecności.

– Czy możesz mi wyjaśnić – poprosiłem zaciekawiony – dlaczego narzucasz tej biednej kobiecie towarzystwo mściwego szczeniaka, kiedy ona wcale sobie tego nie życzy?

– Nie znasz Emmy – stwierdziła Urszula, co było oczywiście prawdą.

– Więc powiedz mi.

– Zaczęło się od choroby jej męża, potem kupili Bow-wow i Emma była rozdarta między mężem a psem, potem zmarł mąż i Emma skonsternowała się, czy jak tam to nazwiesz, wyłącznie na psie. Później potracono Bow-wow i od tego czasu ona się zapada. Kochanie, to

przecież widać. Za każdym razem, gdy ją odwiedzam, widzę jak staje się coraz bardziej no... jędzowata.

– W jaki sposób ma jej pomóc ten pies?

– To oczywiście. Jest najbardziej wściekłym psem z całego miotu. Bez wątpienia pogryzie listonosza czy dostawcę warzyw, czy kogokolwiek, kto pojawi się w drzwiach. Poza tym jak na pekińczyka ma długie włosy i będzie je zostawiał po całym mieszkaniu, nie jest nauczony załatwiać się na dworze, więc będzie siusiał gdzie popadnie.

– Chwileczkę – przerwałem. – I ty sądzisz, że to odpowiedni prezent dla kruchej staruszki, która właśnie straciła swojego ukochanego psa?

Ależ to jedyny możliwy prezent w tej sytuacji. – Zatrzymała się pod uliczną latarnią i spojrzała mi w oczy. – Bow-wow był dokładnie taki sam. Wszędzie zostawiał sierść i jeśli nie wyprowadzono go na dwór, siusiał w korytarzu, a Emma miała powód, żeby narzekać przez kilka następnych dni... Dzięki temu coś robiła. Po śmierci męża, a potem psa, siedziała beczynnienie i zaczęła się pograżać w szarej nicości. Ten szczeniak zacznie ją gryźć i wszystkich naokoło, będą sprawy w sądzie, sierść po całym domu, plamy po moczu, a Emma będzie szczęśliwa jak nigdy.

Przyjrzałem się uważnie Urszuli i po raz pierwszy zobaczyłem, jaka jest naprawdę.

– Wiesz co – powiedziałem, obejmując ją czule ramieniem i całując – jesteś całkiem miła.

– Tu nie chodzi o bycie miłym – zaproponowała, uwalniając się z moich objęć. – Ona jest po prostu uroczą staruszką i chciałabym, żeby zaznała w życiu jeszcze trochę radości. Z pieskiem będzie jej weselej.

– Nigdy bym o tym nie pomyślał.

– Pomyślałbyś, kochanie – zapewniła uśmiechając się do mnie uroczo. – Jesteś taki sprytny.

– Czasami – rzekłem biorąc ją pod ramię – czasami zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście jestem taki sprytny.

W ciągu następnych kilku miesięcy przeżyłem wiele wspaniałych chwil. Urszula była tak absolutną ignorantką, że trudno jej było nie szanować. Szybko zrozumiałem, że dla uniknięcia kłopotliwych sytuacji należy zabierać ją raczej na wieś niż do restauracji i innych miejsc publicznych. Przynajmniej w lesie kukułki, skowronki i jeże akceptowały ją bez zastrzeżeń, jako naturalną i miłą. W Bournemouth zaraz siała zamęt i zgorszenie, brykając jak młody, dziki koń.

Jednakże nawet las nie okazał się całkiem bezpieczny. Pokazałem jej kiedyś pas zalesionego terenu, na którym leżało się niesamowicie dużo ptaków. Urszula oszalała z radości i wydając okrzyki zachwyty, zaczęła zaglądać do gniazd pełnych spasionych piskląt z szeroko otwartymi dziobami oraz niebieskich i brązowych jajek. Domagała się ode mnie codziennych wizyt w lesie i składania jej telefonicznych sprawozdań na temat wykluwania się i rozwoju piskląt. Kilka tygodni później odwiedziliśmy nasze miejsce i z przerażeniem stwierdziliśmy, że przechodziła

tedy prawdopodobnie grupka uczniów, którzy po kolei zniszczyli wszystkie gniazda. Pisklaki leżały nieżywe, a jajka zostały zabrane. Rozpacz Urszuli *me* miała granic. Łkała ze smutku i wściekłości i długo nie mogłem jej uspokoić.

Wciąż wstrząsały nią tkania, gdy zdążaliśmy do obskurnego baru w Square and Compass, jednego z moich ulubionych w tej okolicy. Zbierali się tu każdego wieczoru wszyscy starzy mieszkańcy, niczym ciężkie konie pociągowe, o twarzach pomarszczonych jak orzechy włoskie i obwisłych wąsach, szczeciniastych i białych jak letnia trawa pokryta szronem. Byli to wspaniali mężczyźni i pomyślałem, że spotkanie z nimi oderwie myśli Urszuli od zdewastowanych gniazd. Ciekawy też był reakcji zebranych na jej przybycie.

Z początku siedzieli nieruchomo, cicho i podejrzliwie, ściskając w rękach kufle, z oczami bez wyrazu. Znali mnie, ale wprowadzając obcą osobę do ich zadymionego baru, na dodatek bardzo atrakcyjną osobę płci żeńskiej, dopuściłem się świętokradztwa. Niepisane prawo głosiło, że kobiety nie mają tu wstępu. Urszula nie była tego świadoma i nawet by się tym nie przejęła. Przypudrowała nos, jednym haustem wypłała duży dżin i skierowała swoje jasne, słodkie spojrzenie na starszych mężczyzn. Rozpogodzili się w kilka minut i niektórzy zaczęli niepewnie chichotać. Nagle Urszula wypatrzyła w kącie drewniany stół.

– Oooo! – pisnęła radośnie. – Zagramy w pchełki? Mężczyźni wymienili między sobą przerażone spojrzenia. Potem spojrzeli na najstarszego towarzysza, osiemdziesięcioletniego patriarchę, który, jak wiedziałem, był miejscowym mistrzem ich ulubionej gry.

– Nie, proszę pani – powiedział stanowczo. – To nie są pchełki, tylko cymbergaj.

– Proszę, niech mnie pan nauczy – błagała Urszula, wpatrując się w niego z takim uwielbieniem, że jego brązowa twarz poczerwieniała jak przejrzwały pomidor.

– Dalej George, naucz pania! – zawołali chórem pozostali, ciesząc się z zakłopotania George'a, który zachowywał się jak uczeń.

Niechętnie podniósł się i razem z Urszulą podeszli do stołu.

Obserwując ich, zdałem sobie nagle sprawę, i to nie po raz pierwszy, z przebiegłości kobiet w ogóle i Urszuli w szczególności. Było jasne, że Urszula znała zasady gry i mogłaby pewnie pokonać George'a. Z przyjemnością patrzyłem na jej udawaną niezdarność i na George'a, który delikatnie klepał ją po plecach swoją ogromną ręką, jakby chwalił szczeniaka. Urszula wspaniałomyślnie przegrała i zaproponowała, że postawi wszystkim drinki, za które oczywiście musiałem płacić ja.

Mężczyźni, podochoceni i rozemocjonowani, omal nie zaczęli się bić o prawo do następnej partii z Urszulą. Zanim podjęła kolejne wyzwanie, zniknęła na chwilę w toalecie, wyposażona w nieodłączną gazetę.

George wycierając pianę ze swoich imponujących wąsów usiadł na stojaku poniżej za moimi

plecami i przyjął ode mnie papierosa.

– Bardzo przyjemna młoda kobieta – rzekł. – Bardzo przyjemna, chociaż jest cudzoziemką.

Dziwne, ale nie użył słowa „cudzoziemka” w znaczeniu, jakie nadaje mu większość Anglików dla określenia przybysza spoza ich rejonu. Był przekonany, pewnie ze względu na specyfikę języka Urszuli, że pochodzi ona rzeczywiście z kontynentu czy innego dzikiego miejsca. Nie wyprowadziłem go z błędu.

Znałem Urszulę już ponad rok, gdy pewnego dnia zadzwoniła do mnie z sensacyjną wiadomością.

– Gerry! – Jej głos był tak przenikliwy, że musiałem odsunąć słuchawkę od ucha. To nie mógł być nikt inny.

– Tak? – odrzekłem apatycznie.

– Kochanie, to ja, Urszula.

– Nigdy bym nie zgadł. Taki masz dziwnie spokojny, słodki głos, jak gruchające gołębie dziecko...

– Nie wygłupiaj się, kochanie. Dzwonię do ciebie, gdyż mam wspaniałą wiadomość i tobie pierwszemu chciałam ją przekazać – powiedziała jednym tchem.

Co tym razem, zastanawiałem się. Jakie znów intrygi musiała zawiązać, aby któryś z jej licznych przyjaciół mógł dokonać czegoś niezwykłego?

– Opowiedz mi wszystko po kolei – rzekłem, nastawiając się co najmniej na półgodzinną rozmowę.

– Kochanie, zaręczyłam się!

Muszę przyznać, że zamarłem i nagle uczucie osamotnienia rozlało się w mej duszy. Nie byłem zakochany i wcale nie myślałem o małżeństwie – Boże uchowaj! – ale nagle zdałem sobie sprawę, że zostanę pozbawiony kogoś, kto wypełniał ponure dni mojego życia ożywczą radością. A teraz Urszula wychodzi za mąż, pewnie za jakiegoś kompletnego idiotę, i nasza przyjaźń zostanie zerwana.

– Kochanie? Jesteś tam?

– Tak, jestem.

– Kochanie, dlaczego masz taki smutny głos? Czy coś się stało? Myślałam, że się ucieszysz!

– Jej głos brzmiał niepewnie.

– Oczywiście, że się cieszę – zapewniłem starając się stłumić w sobie egoizm i wspomnienie Urszuli opowiadającej mi o przyjacielu z Wenecji, który pływał każdego wieczora gondolą. – Naprawdę, kochanie, jestem radosny jak skowronek. Kto jest tym nieszczęśliwcem?

– Toby. Znasz Tobiego.

– Myślałem, że on jest bliski beżładu.

– Ależ nie, wariacie. Nie ten Toby, zupełnie inny.

– Cieszę się. Pomyślałem sobie, że jeśli jest bezładny, mógł mieć problemy przy oświadczeniach.

– Kochanie, nie poznaję cię – zaniepokoiła się. – Czy jesteś zły, że się zaręczyłam?

– Ależ skąd – rzekłem lodowato. – Jestem zachwycony, że znalazł się ktoś, komu udało się przerwać twój monolog i zdążył się oświadczyć. Ja nie dałem rady.

– Oooo! – zawołała. – Jesteś zazdrosny. Kochanie, to cudowne! Nie miałam zielonego pojęcia, że chciałeś mi się oświadczyć. Kiedy to było?

– Wiele razy – odparłem krótko. – Ale na szczęście zdołałem stłumić to pragnienie.

– Kochanie, tak mi przykro. Czy teraz nie będziesz się już do mnie odzywał i zanurzysz się w rozpacz?

– Nie zamierzam w nic się zanurzać z twojego powodu – oświadczyłem nieco opryskliwie.

– Kochanie, nie bądź głupi. Naprawdę myślałam, że się ucieszysz. Właściwie miałam nadzieję, że się spotkamy...

Ależ jestem podły, pomyślałem. Cóż za potwór bez uczuć. Dziewczyna prosi mnie, żebym przypieczętował ich związek, a ja zachowuję się jak piętnastolatek.

– Oczywiście, że możemy się spotkać – odparłem już nieco skruszony. – Przepraszam za moją arogancję. Po prostu nie mogę się przyzwyczaić do myśli, że jesteś zaręczona. Gdzie się spotkamy?

– Och, kochanie, tak już lepiej. A może wytańczymy ten wieczór? Chodźmy do Tropicany. Och, proszę, zróbmy tak!

Tropicana należała do tych raczej obskurnych nocnych klubów, które rozkwitają jak purchawki, przez krótki moment przyczyniając się do ludzkiej niedoli, po czym litościwie nikną w mroku. Ze wszystkich miejsc Urszula nie mogła wybrać dla mnie gorszego.

– W porządku. Ale czy moglibyśmy wpierw zjeść obiad?

– O tak, kochanie! Gdzie?

– Może w Grill Room? Zarezerwuję stolik.

– Kochanie! – jęknęła z rozkoszą. – Tam zjedliśmy nasz pierwszy lunch. Jesteś taki romantyczny!

– Raczej nie. To po prostu jedyne miejsce, gdzie można dobrze zjeść – sprostowałem.

– Kochanie, uwielbiam cię... nawet jeśli mnie dręczysz. Dobrze jedzenie, a potem tańce. Spotkamy się o ósmej w Grill Room. Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że ty się cieszysz. Kocham cię i będę cię kochała zawsze!

Odłożyłem słuchawkę i zrozumiałem, co straciłem.

Dotarło to do mnie wyraźniej, gdy się spotkaliśmy. Urszula przyprowadziła ze sobą narzeczonego, przystojnego młodego mężczyznę, wyraźnie nią zauroczonego. Grill Room, jak

podejrzewałem, był zatłoczony, więc musieliśmy ścieśnić się we trójkę przy stoliku dwuosobowym. Tobi miał niewiele do powiedzenia, ale Urszula i tak mówiła za dwoje. Po obiedzie udaliśmy się do Tropicany. Muzyka zagłuszała wszystko. Razem z Tobym na zmianę z namaszczeniem okręcaliśmy Urszulę na parkiecie. Mówiła bez przerwy. Z mojego punktu widzenia był to bardzo nieudany wieczór.

Później przez długi czas nie widziałem Urszuli. Słyszałem, że wyszła za mąż i ma dziecko. Czulem, że teraz, gdy usadowiła się wygodnie w swym małżeńskim łóżu, zniknie z mego życia na dobre. Ale znów się myliłem. Któregoś dnia zadzwonił telefon.

– Kochanie! To ja, Urszula! – odezwał się głos w słuchawce.

– Wielkie nieba! – zawołałem zdziwiony. – Gdzie się podziewałeś przez te wszystkie lata?

– Kochanie, wyszłam za mąż i urodziłam dziecko.

– Słyszałem. Gratuluję.

– Kochanie, od dawna już tkwię na tej wsi. Muszę dziś pojechać do Bournemouth zrobić zakupy. Możemy się spotkać?

– Czy będzie z tobą mąż? – spytałem ostrożnie.

– Nie, kochanie, przyjeżdżam sama.

– W takim razie musimy się spotkać. Postawię ci lunch. Ale najpierw wypijemy kawę w Cadena.

– Cudownie, kochanie. Będę o jedenastej.

Punktualnie o jedenastej Urszula pojawiła się w drzwiach kawiarni. Od razu zauważyłem, że spodziewa się drugiego dziecka. Oprócz zaokrąglenia kształtów nad głową miała jasną poświatę jak płatki róży w słońcu.

Zarzuciła mi ręce na szyję i złożyła na mych ustach długi pocałunek, który zwykle cenzorzy angielscy wycinają w filmach francuskich. Wydawała przy tym brzęczące dźwięki jak ul pełen podnieconych pszczół. Przycisnęła się do mnie całym ciałem, aby zaczerpnąć jak najwięcej przyjemności z uścisku i abym odczuł, jak bardzo jej na mnie zależy. Kilka starszych pań i mężczyzna zakonserwowany jak śliwka w winie, wyglądający na dowódcę brygady, wpatrywali się w nas zafascynowani i oburzeni jednocześnie. Z wyrazu ich twarzy można było odczytać, że spodziewają się po mnie, iż zedrę z Urszuli ubranie i zgwałcę ją na podłodze kawiarni. Z trudem uwolniłem się z jej objęć.

– Myślałem, że wyszłaś za mąż?

– Bo wyszłam – odparła. – Nie uważasz, że teraz całuję lepiej?

– Tak. Usiądź i napij się kawy.

– Mogę zamówić lody?

– Proszę bardzo. Zamówiłem kawę i lody.

– Muszę powiedzieć, że wyglądasz kwitnąco – zauważyłem.

– Naprawdę?

– Wprost cudownie. Spodziewasz się następnego dziecka? Włożyła do ust pełną łyżkę lodów i powiedziała niewyraźnie:

– Dzieci są absolutnie zachwycające.

– Też tak sędzę.

Przełknęła lody, pochyliła się w moją stronę i poklepała mnie wilgotną łyżką po ręce dla zwrócenia mojej uwagi.

– Wiesz, czego się dowiedziałam? – spytała przenikliwym głosem. Ludzie przy stolikach zamarli, oczekując z niecierpliwością. Nic nie mogłoby jej powstrzymać.

– Nie wiem – powiedziałem zrezygnowany.

– Antykoncepcja to podobno sprawa kobiety – rzekła wymachując radośnie łyżeczką.

Później zabrałem ją na zakupy i na lunch.

– Tęsknisz za mną, kochanie? – spytała popijając wino.

– Oczywiście, że tęsknię. Byłaś zawsze najulubieńszą z moich dziewczyn.

– Czyż to nie smutne, że nie można mieć chłopców i jednocześnie być mężatką?

– Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby spróbować – zaproponowałem.

– Jesteś słodki, ale nie mogłabym tego zrobić – rzekła.

– Nie ma się czym przejmować.

– I tak już byś mnie nie lubił – powiedziała smutno. – Zmieniłam się. Stałam się bardzo nudna.

– Naprawdę? – Wciąż wydawała mi się pełna życia i uroku.

– O tak. – Spojrzała na mnie poważnie swoimi dużymi, błękitnymi oczami. – Niestety jestem chyba, jak to nazywają, gorszym gatunkiem *beaujolais*.

– Ale z dobrego rocznika.

*Wiadomość od Geralda Durrella, założyciela Organizacji na rzecz Zachowania Przyrody.*

*Gerald Durrell w zabawny sposób przedstawiając swe młodzieńcze lata, wykazał niezwykle dar obserwacji, charakteryzujący całe jego życie, które poświęcił zwierzętom. Zaczynał jako pomocnik w sklepie zoologicznym, potem założył własny ogród zoologiczny i przez całe życie walczył o ocalenie wymierających gatunków zwierząt.*

*Ta batalia o przetrwanie zagrożonych gatunków nie zakończyła się wraz ze śmiercią Geralda Durrella w 1995 roku. Dzieło Durrella trwa nadal dzięki nieustrudzonym wysiłkom jego trzech organizacji. Mamy nadzieję, że przyjmiecie Państwo wyzwanie, jakie rzucił autor i uzasadnił w swoich książkach i życiu. „Zwierzęta stanowią w naszym świecie większość pozbawioną głosu i praw – pisał – i mogą przetrwać tylko dzięki naszej pomocy”.*

*Zależy nam na tym, by zainteresowanie Państwa tym problemem nie wygasło po zamknięciu*



*książki. Proszę do nas napisać. Udzielimy Państwu informacji, jak wziąć udział w naszej walce o ocalenie zagrożonych gatunków zwierząt.*

*Jeżeli chcecie Państwo uzyskać dalsze informacje albo wesprzeć finansowo naszą akcję, prosimy pisać na adres:*

*Jersey Wildlife Preservation Trust Les Augres Manor Jersey, English Channel Islands JB3 5  
BP Wildlife Preservation Trust International 3400 West Girard Avenue Philadelphia, USA  
19104-1196*

*Wildlife Preservation Trust Canada 120 King Street, Guelph Ontario, Canada M5P2A7*